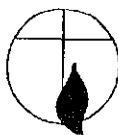


przegląd powszechny

5/873/94

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI - Warszawa

WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ, ks. Ignacy Bokwa, ks. Waldemar Chrostowski,
Grzegorz Dobroczyński SJ, Aniela Dylus, Kazimierz Dziewanowski,
Michał Jagiełło, Piotr Jasiński SJ, ks. Helmut Juros, Andrzej Koprowski SJ,
Wacław Oszejca SJ, Ryszard Otowicz SJ, Krzysztof Renik,
Wojciech Roszkowski, Adriana Szymańska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Jacek Bolewski SJ (red. naczelny)
Zbigniew Kubacki SJ
Maria M. Matusiak

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

OPRACOWANIE TECHNICZNE

Joanna Kwiatkowska

„PRZEGLĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 48-91-31 w. 214
49-02-39
tel. administracji 48-91-31 w. 214
48-09-78

PRENUMERATA

za rok 1994 220 000 zł
za I półrocze 120 000 zł
cena egzemplarza 20 000 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

*Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.*

Skład i druk: Drukarnia Przeglądu Powszechnego
Warszawa, ul. Rakowiecka 61
Numer zamknięto 18 IV 1994 r.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów nie zamówionych
i zmiany tytułów. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy.

Spis treści

Samorząd kwestią inteligencji 137

Dobrze funkcjonująca samorządowość lokalna ma istotny wpływ na przemiany w naszym kraju. Opowiedzenie się za nią jest kwestią inteligencji wszystkich Polaków.

Samorząd – cel i droga reformy obywatelskiej 139

29 I 1994 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja nt. roli samorządów w budowaniu demokratycznego i pluralistycznego społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. W rozmowie prowadzonej przez naszego współpracownika, min. Michała Jagiełłę – podsekretarza stanu w MKiS, uczestniczyli: min. Michał Kulesza – pełnomocnik rządu ds. samorządu terytorialnego i Marek Słowiński – burmistrz Strzyżowa (woj. rzeszowskie). Zaproszenie redakcji przyjęli także: Lech Rutkowski – prezydent Białegostoku i Karol Nogowczyk – burmistrz Wisły (woj. bielskie), którzy nie mogąc osobiście uczestniczyć w rozmowie nadśleli swoje wypowiedzi.

Ryszard Radzik

Czy w Polsce jest inteligencja? 161

Odpowiedź na tytułowe pytanie zależy od tego, jakie cechy tej warstwy społecznej uznamy za istotne. Wiele z nich zasadniczo się zmieniło po II wojnie światowej. Termin „inteligencja” jest jednak stosowany, a odwoływanie się do niego i jednostek, i całych grup społecznych można ogólnie oceniać jako zjawisko społecznie korzystne.

Stanisława Grabska

Uwagi o roli inteligencji w Kościele w Polsce 177

Inteligencja katolicka jako warstwa społeczna powinna być tygłem myśli i dyskusji oraz dochodzenia do wspólnych opinii i postaw. Nie ma jednego powołania inteligencji. Z racji kompetencji i daru poszczególne osoby winny się angażować w dziedziny, na których się znają i w których mogą działać skutecznie. Wspólną podstawą musi być ustawiczny proces pogłębiania wiary i jej rozumienia oraz miłości Boga i bliźniego.

Nie jestem człowiekiem dwóch kultur 193

Rozmówca Aleksandry Ziolkowskiej – Aleksander Jordan Lutosławski, przedwojenny dyplomata polski, obecnie publicysta i tłumacz mieszkający w USA – opowiada o swym ojcu, Wincentym, znanym filozofie i działaczu społeczno-politycznym, oraz o swej młodości i obecnych dokonaniach, a także o sprawie przekładu „Malowanego ptaka” Jerzego Kosińskiego, która odbiła się głośnym echem po śmierci pisarza.

Kazimierz Nowosielski
Wiersze 200

Teoremat o aferach 202
Kazimierz Dziewanowski

Dająca się zauważyć w Polsce fascynacja aferami wynika z nowości zjawiska, nie zaś rzeczywistej obfitości afer. Ponadto zarzut korupcji stał się narzędziem walki politycznej.

Nowa ewangelizacja – nowe zadanie Kościoła 207
ks. Krzysztof Pawlina

Adresatami nowej ewangelizacji są ludzie, których wiara osłabła bądź zanika. Nowe czasy wymagają przekazywania orędzia chrześcijańskiego w języku i formach czytelnych dla współczesnego człowieka, atakowanego przez relatywizm moralny.

Maryjny wymiar nowej ewangelizacji 215
Jacek Bolewski SJ

Ewangelizacja, której pierwszy przykład daje Matka Boża, oznacza postawę łączności z Jezusem i Jego Duchem, łączności pełnej pokoju i przekazującej go wszystkim ludziom otwartym na jego działanie.

Białoruskie poszukiwania Białorusi (dokończenie) 224
Michał Jagiełło

Białorusini budzili się z wielowiekowego letargu, nie bardzo wiedząc, kim naprawdę chcą być. Aby myśleć o fazie politycznej, czyli o stawianiu postulatów dotyczących suwerenności zewnętrznej, musieli szybko osiągnąć fazę językowo-kulturalną.

Sesje – Sympozja**S. Obirek SJ: Doświadczenie braterstwa 235**

(II Europejskie Spotkanie Jezuitów Wschód-Zachód. Częstochowa, 19 – 24 VII 1993 r.)

Sztuka**R. Rogozińska: Sub specie hominis 236**

(Wystawa „Srebrny Oset”, Poznań, Galeria u Jezuitów, 17 XI – 20 XII 1993 r.)

Teatr**J. Godlewska: Szekspir w rytmie menueta 241**

(Teatr Polski w Warszawie, „Stracone zachody miłości” Williama Szekspira, reżyseria – Maciej Prus)

Film**A. Pietrzak: Siewca nadziei 243**

(„Lista Schindlera” Stevena Spielberga)

Książki**A. Szymańska: Miłość najbliższego 245**

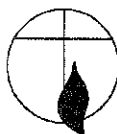
(Kazimierz Nowosielski, „Najbliższa dal”; „Wilga i deszcz”)

M. Orski: Tajemnice prawdy i miraże 248

(Witold Zalewski, „Major, śmierć i diabeł”)

K. Paluch Staszkiel: Ze środka wiru 251

(Jan Stanisław Wojciechowski, „Z punktu widzenia rzeźbiarza. Sztuka lat 80.”)

Informacje o nowościach wydawniczych 253**Z życia Kościoła 254**

Sommaire

Autogestion, une question d'intelligence 137

Un bon fonctionnement de l'autogestion locale a une influence bénéfique sur le processus de réforme dans notre pays. Opter pour l'autogestion au niveau des collectivités locales est une question d'intelligence de tous les Polonais.

L'autogestion – fin et moyen d'une réforme civique 139

Des collectivités locales le rôle constitutif d'une société civique démocratique et pluraliste en Pologne a fait l'objet, le 29 janvier dernier, d'un débat à la rédaction de notre revue. Animé par notre collaborateur et membre du Conseil rédactionnel, M. Michał Jagiełło, vice-ministre de la Culture et des Arts, ce débat a réuni MM. le ministre Michał Kulesza, délégué du gouvernement aux collectivités locales, et Marek Śliwiński – maire de Strzyżów (voïvodie de Rzeszów). Ayant accepté l'invitation au débat, mais empêchés d'y participer par l'exercice de leurs charges, MM. Lech Rutkowski, président de la ville de Białystok, et Karol Nogowczyk – maire de Wisła (voïvodie de Bielsko-Biała) nous ont fait parvenir leurs contributions.

Ryszard Radzik

L'intelligentsia, existe-t-elle en Pologne? 161

La réponse à cette question est fonction des caractéristiques que l'on jugera inhérentes à cette couche sociale. Nombre d'entre elles ont fondamentalement changé dès la fin de la seconde guerre mondiale. Le terme d'„intelligentsia” n'en est pas moins en usage, et le fait que des individus et des groupes sociaux entiers y font référence et s'en réclament, se laisse qualifier de favorable du point de vue social.

Stanisława Grabska

Observations sur le rôle de l'intelligentsia dans l'Eglise en Pologne 177

L'intelligentsia catholique comme couche sociale doit servir d'un creuset de réflexion et de débat et de cheminement vers un dénominateur commun d'opinions et d'attitudes. L'intelligentsia a plus d'une vocation. En raison de leur métier et de leur talent, différentes personnes se doivent de s'engager dans les domaines de leur compétence qui leur permet d'agir efficacement. Tout ceci

sur le fondement commun du processus permanent d'affermissement et de la juste intelligence de leur foi ainsi que de l'amour de Dieu et du prochain.

Je ne suis pas un homme à cheval sur deux civilisations

193

Interviewé par Aleksandra Ziółkowska, Aleksander Jordan-Lutosławski, diplomate de la Pologne d'avant 1939, à l'heure présente écrivain politique et traducteur vivant aux États-Unis – évoque son père, Wincenty, philosophe et militant social et politique, ainsi que sa propre jeunesse et parle de ses activités d'aujourd'hui. Il évoque à ce propos l'affaire de la traduction de l'Oiseau peint de Jerzy Kosiński qui a suscité de bien vifs échos après la mort de celui-ci.

Kazimierz Nowosielski

Poésies

200

Théorème sur les affaires d'affairistes

202

par Kazimierz Dziewanowski

Perceptible en Pologne, la fascination par les affaires d'escroquerie, de corruption etc., tient à la nouveauté du phénomène et non au nombre de ces affaires-là. De plus, le reproche de corruption est devenu instrument de lutte politique.

L'évangélisation nouvelle – une nouvelle tâche de l'Église

207

par l'abbé Krzysztof Pawlina

L'évangélisation nouvelle vise les gens dont la foi est „en perte de vitesse” ou en voie de disparition. Les temps nouveaux demandent la transmission du message chrétien dans un langage et dans des formes compréhensibles pour un homme d'aujourd'hui en proie au relativisme moral.

La dimension morale de l'évangélisation nouvelle

215

par Jacek Bolewski SJ

L'évangélisation dont le premier exemple nous est offert par la Mère de Dieu signifie l'attitude de communion avec Jésus et son Esprit, d'une communion pètrie de paix et transmettant celle-ci à tous les hommes ouverts sur son opération.

Quête biélorusse de la Biélorussie (fin)

224

par Michał Jagiello

Les Biélorusses se sont réveillés d'une léthargie de longs siècles, sans toutefois savoir qui ils voulaient être. Pour parvenir à la phase politique soit à la revendication d'une souveraineté extérieure, il leur fallait parvenir rapidement à la phase linguistique et culturelle.

Comptes rendus

235

Ogłoszenie

10 III 1994 r. zostało założone Stowarzyszenie ku czci Św. Stanisława Kostki Rostkowo-Przasnysz. Jego zadanie to szerzenie kultu Świętego, opieka nad sanktuarium w Rostkowie, organizacja pielgrzymek, działalność informacyjno-wydawnicza. Najbliższe plany to zorganizowanie ogólnopolskiego wyścigu kolarskiego „Śladami św. Stanisława Kostki” oraz ogólnopolski plener malarski związany tematycznie z osobą Świętego, który odbędzie się latem. Redakcja „Gazety Przasnyskiej” planuje wydawanie rocznika poświęconego postaci Świętego oraz przedsięwzięciom krajowym i zagranicznym, związanym z jego imieniem. Pierwszy numer ma się ukazać we wrześniu br.

Wszystkie osoby, które chciałyby wspomóc te przedsięwzięcia finansowo lub nadsyłając teksty proszone są o kontakt pod adresem:

„Gazeta Przasnyska”
ul. Piłsudskiego 53
06-300 Przasnysz
skr. poczt. 27
tel/fax 0-478-2189

Samorząd kwestią inteligencji

Kolejne wybory – do samorządów – będą sprawdzianem naszej troski o dobro wspólne. Jest ono łatwiej dostrzegalne w skali lokalnej. Tutaj sprawy dotyczą nas bliżej i dlatego więcej racji przemawia za osobistym zaangażowaniem, za podejmowaniem odpowiedzialności. Także wspólnota jest tu silniej odczuwana. Widać wyraźniej, że dobro wspólne jest zarazem dobrem jednostek – nie izolowanych, lecz powiązanych ze sobą. Może dlatego przemiany w naszym kraju daje się zauważyć przede wszystkim w wymiarze lokalnym – gminno-samorządowym. Tutaj nie potrzebujemy pośrednictwa mediów, z reguły pokazujących tylko część prawdy... Sami możemy zobaczyć, ile się zmienia w naszym najbliższym otoczeniu. Nie powinni tego przesłaniać trudności, z którymi ciągle się borykamy. Więcej, droga do przezwyciężenia trudności w skali krajowej musi prowadzić przez wzmacnianie samorządności. Wprawdzie pokusa jej ograniczania ze strony władz centralnych jest w aktualnym układzie politycznym znowu silniejsza. Jednak uleganie jej nie wyda dobrych owoców. Wszystko przemawia za tym, że wybór na rzecz samorządów jest istotnie ważny. Dodatkowe argumenty można znaleźć w redakcyjnej dyskusji o samorządach, otwierającej ten numer „Przeglądu Powszechnego”.

Samorządność nie jest wyłącznie kategorią polityczno-społeczną. Jej związek z autonomią i zarazem odpowiedzialnością wskazuje głębszy, etyczny wymiar. Podobnie jest z inteligencją. Przywykliśmy w Polsce do wiązania jej z jedną „klasą” ludzi, choć coraz trudniej określić specyfikę tej grupy (por. artykuł R. Radzika). Kategoria społeczna weszła w okresie peerelowskim także w dziedzinę polityki – nie tylko jako środek walki z dawną, „zacoфанą” formacją kulturową, ale też w nowej postaci „inteligencji pracującej”. Efektem tej politycznej manipulacji, równie opłakanym jak w tylu innych obszarach ówczesnego życia, było to, że „inteligent” nie musiał już oznaczać człowieka inteligentnego. Nadto mogło się okazać, że „prości”, uważa-

ni za mało inteligentnych, chłopci czy robotnicy dostrzegali nieetyczne strony systemu szybciej i wyraźniej niż wielu „inteligentów”. Po prostu – dar inteligencji nie jest monopolem określonej grupy społecznej. Może się on przejawiać wszędzie, gdzie człowiek myśli nie ideologicznymi stereotypami, lecz w duchu szanowania wartości.

Wszyscy potrzebujemy inteligencji jako daru właściwego rozeznania w obliczu życiowych sytuacji. Ważna jest samodzielność myślenia, ale ważniejsze – jej odpowiedzialne pojmowanie i przyjęcie. Postawa odpowiedzialności zakłada, że istotna jest w niej odpowiedź – wobec innych, ludzi i Boga. Także inteligencja jest – jako dar – odpowiedzią. Staje się tym pełniejsza, im bardziej się otwiera na mądrość Bożą. Mówi o niej modlitwa Kościoła: *O Mądrości z ust Najwyższego, która obejmujesz wszechświat od końca do końca, rządząc wszystkim z mocą i łagodnością, przyjdź i naucz nas dróg roztropności*. Powiązanie mądrości z rządzeniem odnosi się nie tylko do Boga. Biblijnym symbolem mądrości jest król Salomon i właśnie od niego pochodzi najpiękniejsza modlitwa o ten dar (1 Krl 3,6-9; por. Mdr 9,1-18). Wszyscy rządzący potrzebują modlitwy w tym duchu (por. 1 Tm 2,2). Skoro jednak rządzenie zakłada dzisiaj samorządność, to poczucie odpowiedzialności każe modlić się w ten sposób za wszystkich bez wyjątku.

Tak, samorząd jest kwestią inteligencji. Im lepiej i bardziej odpowiedzialnie rozeznamy naszą decyzję w nadchodzących wyborach, tym większa będzie szansa na dalszą (coraz bliższą!) poprawę sytuacji całego kraju. Jeżeli oczekujemy mądrości od rządzących, także w samorządach, to musimy już wcześniej zatroszczyć się o nią, aby właśnie mądrość kierowała naszym wyborem. Jako chrześcijanie znamy jej źródło i winniśmy wiedzieć, jak się na nią otworzyć. Jest ona pierwszym z darów Ducha Świętego. Uroczystość Jego Zesłania, którą obchodzimy w tym roku 22 maja, może nas dodatkowo przygotować do czekającej nas próby. Powtarzajmy wraz z Ojcem Świętym słowa jego pamiętnej modlitwy w Polsce 1979 r., która zaczęła owocować już po roku: *Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!*

J.B.

Samorząd – cel i droga reformy obywatelskiej

*29 I 1994 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja nt. roli samorządów w budowaniu demokratycznego i pluralistycznego społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. W rozmowie prowadzonej przez naszego współpracownika, min. Michała Jagiełłę – podsekretarza stanu w MKiS, uczestniczyli: min. Michał Kulesza – pełnomocnik rządu ds. samorządu terytorialnego i Marek Śliwiński – burmistrz Strzyżowa (woj. rzeszowskie). Zaproszenie redakcji przyjął także Lech Rutkowski – prezydent Białegostoku, który nie mogąc uczestniczyć osobiście w rozmowie nadesłał swoją wypowiedź *.*

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Doświadczenie uczy, że warto na początku spotkania próbować uzgodnić podstawowe fakty, aby różne ich rozumienie nie utrudniło rozmowy. Nam zależy na partnerskiej rozmowie o roli samorządów w budowaniu demokratycznego, pluralistycznego, obywatelskiego społeczeństwa. Tak często mamy do czynienia ze swego rodzaju spektaklami „teatru osobnego”, polegającego na wygłaszaniu własnych prawd i zamykaniu się na racje innych, że byłoby pożądane, abyśmy zerwali z tą niedobłą praktyką, nawiązując do istoty tego, co się kryje w określeniach „rozmowa”, „spotkanie”, „partnerstwo”.

Rozumiem, że przyjęcie przez Panów zaproszenia jest równoznaczne z wyrażeniem zgody właśnie na rozmowę, na udział w swoistej grze zespołowej, którą będziemy toczyć przy gościnnym stole „Przeglądu Powszechnego”. Jako współgospodarz

* Tekst dyskusji redakcja przekazała szefowi Urzędu Rady Ministrów, min. Michałowi Strąkowi. Jeśli zechce się on ustosunkować do problemów poruszonych w naszej rozmowie, opublikujemy jego wypowiedź w następnym zeszycie „PP”.

zaryzykuję wypowiedzenie paru oczywistości, które jednak powinny być wypowiedziane i przyjęte w całości, lub też po koniecznych korektach, przez wszystkich uczestników spotkania. Sprawę, dla uproszczenia, ujmuję w kilku punktach. Oto one:

1. w 1989 r. doszło do zmiany ustroju. Poprzedni ustrój i system zwany realnym socjalizmem wyczerpał swe możliwości. Rzeczpospolita wkroczyła na drogę demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej;
2. zmiany ustroju, systemu, a także doktryny gospodarczej miały charakter ewolucyjny i obyły się, szczęśliwie, bez rozlewu krwi i wielkich wstrząsów społecznych;
3. metoda ewolucyjna uchroniła nas od tragicznych doświadczeń i pozwoliła milionom ludzi – traktujących PRL jako państwo, co prawda niesuwerenne, ale jednak w pewnym sensie swoje – włączyć się w rytm życia nowej Rzeczypospolitej. Nie wszyscy u nas są skłonni uznać psychologiczne i polityczne następstwa drogi ewolucyjnej za dobro wspólne. Stosunek do PRL jest jednym z ważniejszych czynników rzutujących na dzisiejsze postawy i wybory polityczne Polaków;
4. reforma samorządowa była koniecznym i, co ważniejsze, udanym krokiem na drodze ewolucyjnej: od realnego socjalizmu ku społeczeństwu obywatelskiemu;
5. ostatnie lata przyniosły „cichą rewolucję”, jaką jest odżywianie, a często wręcz tworzenie, społeczności lokalnych, uczących się brania odpowiedzialności za siebie. Wielkim dorobkiem tych lat jest zauważalne w tysiącach przykładów łączenie indywidualizmu ze wspólnotowością, odpowiedzialności za siebie i najbliższych ze współodpowiedzialnością za innych;
6. wybory do parlamentu w 1993 r., a szczególnie ich wyniki, powinniśmy interpretować w kategoriach demokracji parlamentarnej, jako naturalne falowanie nastrojów społecznych w ramach ustroju demokratycznego, a nie jako chęć powrotu do realnego socjalizmu;
7. wybory do samorządów będą ważnym sondażem nie tylko nastrojów społecznych, ale także zobrazują stan świadomości Polaków. Będzie to pośrednia odpowiedź na pytanie o kształt państwa, o RELACJE między RZĄDEM i SAMORZĄDEM,

o konieczny dla stabilności stopień centralizacji władzy i o pożądaną przez obywateli stopień decentralizacji.

Przyjęcie przez Panów nawet ogólnych zarysów moich propozycji ułatwiłoby rozmowę. Moglibyśmy zatem, nie rezygnując z wprowadzania ewentualnych poprawek czy uzupełnień do owych punktów, przystąpić do konkretów. Konkrety – to osobiste doświadczenia każdego z nas, ale konkretem może być przecież próba wymiany opinii na tematy ogólniejsze, choć włączone w jedno zagadnienie, jakim jest rola samorządu terytorialnego w państwie. Będzie z pożytkiem dla nas samych oraz dla Czytelników „PP”, jeśli każdy z Panów reprezentujących samorządy powie coś o sobie i swojej gminie. Byłoby dobrze, gdybyśmy dowiedzieli się, co jest typowe i odnosi się do większości gmin w kraju, ale interesująca będzie także opowieść o tym co specyficzne.

Pan min. Michał Kulesza będzie mógł na bieżąco komentować wypowiedzi, ale liczymy, że podzieli się z nami swoją wizją samorządów.

Nie zaskoczy Panów, jeśli poproszę o możliwość potrącenia o sprawy kultury, rozumianej tu jako czynnik sprzyjający z jednej strony indywidualizmowi, z drugiej zaś wspólnotowości, szanującej różnice regionalne, wyznaniowe, kulturowe, a nawet narodowościowe, ale pamiętającej o całości Rzeczypospolitej.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Była tu mowa o ewolucyjnym charakterze polskich przemian. Strzyżów – struktura miejsko-gminna z 22 tys. mieszkańców, w tym samo miasto niecałe 10 tys – także się obył bez „rewolucji” personalnej.

Ja swojego wyboru dokonałem już podczas studiów na Akademii Rolniczej w Krakowie. Chciałem być aktywny. Sekretarz organizacji partyjnej na mojej uczelni też był aktywny, więc my, studenci, zorganizowaliśmy się wtedy po raz pierwszy samorządowo i utworzyliśmy koło ZSL. Chcieliśmy bowiem mieć wpływ na rzeczywistość jako przyszła kadra intelektualna w swoich środowiskach małomiasteczkowych czy wiejskich. Wcale się nie wstydzę tego, co robiliśmy jako młodzi adepci po stażu, bardzo często też w ZMW. Według mnie ZSL na poziomie gminy czy powiatu był taką falą pierwszego oporu. Ludzie

dojrzałym, ukształtowanym, z autorytetem, byli bardzo krytycznie nastawieni do tamtej rzeczywistości. Mieliśmy możliwość prezentacji swoich poglądów w tym gronie, a później przenoszenia swego stanowiska na inną platformę.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Należy Pan do tych ludzi, którzy byli aktywni już przed 1988 r. i którzy zostali w demokratyczny sposób potwierdzeni przez nowy układ w wyborach samorządowych. Zatem nie jest prawdą to, co się słyszy nawet ostatnio, że 1989 r. był brutalnym cięciem, eliminującym niemal wszystkich aktywnych wcześniej. Bardzo wielu ludzi, szczególnie w gminach, pełniących teraz funkcje burmistrzów czy ich zastępców, to ludzie z doświadczeniem lat osiemdziesiątych czy siedemdziesiątych. Jak się ułożyły u was relacje między ludźmi aktywnymi już w poprzednim okresie a tymi, którzy zdecydowali się na oficjalną aktywność społeczną dopiero w nowym układzie?

MAREK ŚLIWIŃSKI: Generalnie w środowiskach wiejskich czy małomiasteczkowych nie było bezpardonowej walki politycznej. Tam była walka o ludzi, o ustalone autorytety. Owszem, był pewien element centralizmu z jednej strony, a z drugiej hasła: sam rząd to nie wszystko, trzeba mocnego wpływu od dołu, aby wzmocnić przemiany. Było widoczne, że znów może nastąpić przewartościowanie, potępienie wszystkich dokonań, także tych dobrych. Próbowali w to wejść osoby przypadkowe, bez doświadczenia, ale naładowane pewną żądzą zemsty. Ale na wsi był już PSL. W Strzyżowie wytworzył się potrójny układ: PSL – 10 mandatów, nowy ruch obywatelski tyle samo i 9 mandatów niezależnych. Starałem się bardzo mocno włączyć w te wybory, aktywizując ludzi, którzy właściwie zostali w pewnym sensie przekreśleni przez kartę historii. I mimo ich nieufności – udało się. Obecnie w naszych organach samorządowych jest sympatyczna, dobra współpraca. Zwracałem jednak uwagę moim kolegom, by nie opanowywać wszystkiego. Zrobiliśmy taki układ, że w zarządzie z ówczesnego PSL jest tylko dwóch członków, jeden to mój kontrkandydat z Komitetu Obywatelskiego, jest również niezależna wicedyrektor zespołu strzyżowskich szkół.

Gdy zaczynaliśmy działalność, brakowało umiejscowienia samorządu gminnego w strukturze państwa. Trudno było się zorientować, jak mamy funkcjonować. Domagaliśmy się wtedy od rządu, to było w 1991 r., jasno sprecyzowanej wizji państwa, określenia, czym państwo chce się zajmować centralistycznie, a które zadania powinny i mogą być realizowane na poziomie niższym, przez samorząd.

MICHAŁ KULEZA: Jestem najgłębiej przekonany, a to nie tylko przekonanie, bo jestem specjalistą od spraw administracji sektora publicznego, że nie ma transformacji systemowej w Polsce – ani gospodarczej, ani społecznej, ani politycznej – bez samorządu. Samorząd to jest i cel, i droga. Cel jest oczywisty – przede wszystkim zmieniamy zasady funkcjonowania finansów publicznych. Reforma samorządowa, obywatelska, to jest przede wszystkim REFORMA SYSTEMU FINANSÓW PUBLICZNYCH. O tym się nie mówi, bo mało kto to rozumie. Na przykład w ubiegłym roku budżet państwa wynosił około 500 bln zł, budżety gmin – ponad 150 bln, razem jest to, powiedzmy, 700 bln zł, czyli prawie 40 mld dolarów. Tyle, ile wynosi polski dług zagraniczny. Administracja publiczna jest największym inwestorem w Polsce, z czego mało kto zdaje sobie sprawę. To jest jedyny inwestor, który rokrocznie lokuje na rynku 40 mld dolarów. Oczywiście część tych pieniędzy jest „nienaruszalna”, to są np. stałe składniki budżetu na płace, na ubezpieczenia. Jednak duża część tych pieniędzy może być ulokowana mniej lub bardziej precyzyjnie, wydana marnotrawczo lub racjonalnie, pod kontrolą biurokratyczną albo obywatelską. Otóż to jest wielka gra o to, jak wydajemy nasze 40 mld dolarów. Nasze – bo wszyscy składamy się na te 40 miliardów. To są pieniądze podatników.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Czy to jest taka górką rozrządowa w Warszawie?

MICHAŁ KULEZA: 500 bln w budżecie państwa i 150 bln w budżetach gmin daje stosunek 85 do 15. Tylko 15% tej góry pieniędzy publicznych znajduje się w gestii przedstawicielstwa lokalnego. W 85% jest to zarządzane z Warszawy. Nie jest

możliwy prawidłowy podział tych pieniędzy w Warszawie na instytucje, które działają w terenie, jak szkoły średnie, szpitale, domy opieki, policja lokalna, drogi, instytucje kultury. Zatem reformy powiatowej nie wolno rozważać ani tylko w kategoriach reorganizacji, ani nawet tylko w kategoriach demokracji. Tu chodzi o zaradność społeczną, o rozwój cywilizacyjny. Dla państwa to są kwestie strategiczne. Obecnie z tych kraników z góry płyną pieniądze „znaczone” – do szkoły czy szpitala – i nie da się ich przesunąć na inne cele, np. na policję. Zatem sam fakt zbudowania zintegrowanego budżetu powiatowego, gdzie jest i oświata, i opieka społeczna, i zdrowie, i policja, powoduje, że inaczej gospodarujemy tymi pieniędzmi. Możemy je wtedy przeznaczать zgodnie z potrzebami: skoro dachu tej szkoły nie remontowano przez 20 lat i nie cieknie, w tym roku skończymy szpital. Ale to możemy zrobić tylko wtedy, gdy działamy w skali lokalnej.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Ale czy to nie grozi ograniczeniem samorządności gmin?

MICHAŁ KULEZA: Zapewne mogą być jakieś minimalne ruchy kompetencji, bo to jest również reforma porządkująca, natomiast generalnie nie po to w 1990 r. utworzono gminy, dając im pewien zakres autonomii finansowej, prawnej, politycznej, żeby teraz im cokolwiek zabierać. Teraz, kiedy już nauczyły się realnie korzystać z samodzielności, na co mamy wiele dowodów. Ponadto cała konstrukcja jest tak budowana, aby nie było możliwości, iż powiat gminie coś zabierze. Gminy mają i będą miały jedno zadanie (np. prowadzą szkoły podstawowe), a powiaty inne (np. poprowadzą szkoły średnie). We wszystkich dziedzinach zadania i kompetencje powiatów wynikają z ustaw, a nie z uzgodnionej woli gmin.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Ustawa kompetencyjna określiła dokładnie, za co samorząd gminny ma odpowiadać: planowanie przestrzenne, przedszkola, żłobki, kultura, ostatnio pojawiła się możliwość przejmowania oświaty. Jednak zasadnicze i najistotniejsze jest powstanie nowej formy własności – własności ko-

munalnej, czyli wyodrębnienie jej – mówię odpowiedzialnie – z niczyjej własności państwowej.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Bywając w miejscowościach podobnych do Strzyżowa, bardzo często słyszę takie zdanie: Nie chcemy dłużej się wstydzić za to, co robią politycy czy politykierzy w Warszawie, nie chcemy w telewizji bez przerwy oglądać jakichś awantur. Jeśli do załatania jest dziura w chodniku – usłyszałem w Iławie w Olsztyńskim – to czwartorzędną sprawą jest, jaką partię reprezentuje rada, która musi załatać tę dziurę.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Ale to jest zasadnicza cecha samorządowców! W sprawach istotnych dla nas działamy wspólnie. Musieliśmy sobie wypracować specyficzne lobby samorządowe.

Koniec rządów premier Suchockiej był tym okresem, kiedy dostrzeżono samorządy. Teraz, choć moja partia jest u władzy, widzę niebezpieczeństwo odstąpienia od idei samorządności. A tu upatruję najlepszych wartości, bo to właśnie my czujemy na plecach oddech naszych znajomych, rodzin, rodzin naszych rodzin itd. Zatem nikt z nas nie może się skompromitować, każdy musi się czuć odpowiedzialny jako ktoś, kto po wygaśnięciu swej kadencji radnego, wójta czy burmistrza będzie musiał dalej żyć w swym środowisku.

MICHAŁ KULEZA: My z kolei w normatywny sposób budujemy cały system opierając go na zasadzie pomocniczości.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Znanej skądinąd z katolickiej nauki społecznej.

MICHAŁ KULEZA: Zasada pomocniczości jest oparta na przejmowaniu obowiązków przez struktury wyższe, dopiero wtedy, gdy te niższe nie dają sobie rady. Budując struktury i zadania państwowe, musimy określić zadania gminne, bo one są lokalne, następnie te większego zasięgu dla powiatów. Jednocześnie stosujemy drugą zasadę, że to gminie, a nie powiatowi, przysługuje tzw. klauzula generalna, jeśli chodzi o zadania publiczne. Zatem społeczność Pana Burmistrza będzie mogła zbudować

u siebie basen, natomiast powiat nie ma prawa tego robić. Ciężar kładziemy na jednostkę podstawową, bo ona stanowi podstawowy mechanizm życia społecznego. Powiat to w pewnym sensie nakładka, dzięki której realizujemy zadania, których mała gmina nie może wziąć na siebie, bo służą one większej całości. W dużych miastach powiatów nie tworzymy – one już są tymi większymi całościami. W ten sposób realizowany jest cel – w postaci państwa obywatelskiego i racjonalnej gospodarki środkami publicznymi. W skali ogólnopolskiej gminy gospodarują pieniędzmi o 20% racjonalniej niż administracja rządowa. Ponadto gmina czy powiat mają naturalną zdolność absorpcji środków finansowych z zewnątrz. W Łodzi ul. Piotrkowska kosztowała miasto bodaj 100 mln zł. Tyle kosztował projekt, zaś samą renowację wykonali za swoje kamienicznicy, sklepikarze, ponieważ w ich interesie było, żeby ta ulica była piękna.

Gdy mówiono o *homo sovieticus*, ludzie się obrażali, a nie słusznie. Ciągłe tkwi w nas takie myślenie, jakoby mądrość mieszkała wyłącznie w Warszawie, w ministerstwie, a jeśli ktoś mieszka w gminie, z natury jest nieodpowiedzialny i nie może mieć żadnych uprawnień. Reforma komunalna to decentralizacja budżetu, aktywności i odpowiedzialności społecznej. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby aktywność społeczna była zgromadzona wyłącznie w parlamencie, rządzie czy ministerstwie, bo na wyższych szczeblach aktywność ma charakter ogólnopństwowy. Ograniczmy ją więc tam do spraw zaiste ogólnopństwowych. Do spraw lokalnych trzeba aktywności lokalnej.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Co nie znaczy, że p. prof. Michał Kulesza chce całkowicie zrezygnować z pewnych elementów centralizacji. One muszą być w każdym państwie.

MICHAŁ KULESZA: Tak! Państwo musi być silne, bo to jest nasze państwo, nasza suwerenność narodowa, bezpieczeństwo – za to państwo odpowiada. Natomiast gdy chodzi o aktywność na rzecz zaspokajania zbiorowych potrzeb wspólnot, państwo nie ma nic do gadania. To jest właśnie pole dla inicjatyw lokalnych, obywatelskich, rynkowych.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Środowiska kultury teoretycznie opowiadały się za samorządnością, ale w praktyce jej się bały. Generalnie uważam te obawy za niesłuszne, choć je trochę rozumiem: jeśli jest miliard do podziału, łatwiej zmobilizować radę, by dała pieniądze na przedszkole niż na dom kultury. Znając Strzyżów wiem, że w sferze kultury wyróżnia się on pozytywnie spośród typowych gmin. Jak to się u was rozgrywa?

MAREK ŚLIWIŃSKI: Dziękuję za tę ocenę. Strzyżów miał silne, jeszcze przedwojenne tradycje kulturalne, np. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Dziś ma ludzi, którzy znając potrzeby kulturalne środowiska potrafią je realizować. Podczas mojej kadencji powstało Regionalne Muzeum Ziemi Strzyżowskiej. Prof. Józef Nowakowski z WSP w Rzeszowie zainspirował środowisko i powstało Forum Kultury Kresowej im. S. Vincenza, które funkcjonuje praktycznie bez grosza dotacji, a więc było potrzebne. Takich inicjatyw było więcej.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Z moich doświadczeń wynika, że znacznie łatwiej jest zdobywać pieniądze publiczne na kulturę tam, gdzie jest pewna tradycja aktywności kulturalnej, natomiast najgorzej jest w gminach czy miastach sztucznych, które faktycznie są tylko sypialniami, w regionach, które dopiero kształtują swoją społeczność lokalną.

Czy jednak Pan, Panie Burmistrzu, nie obawia się braku ustawowych zabezpieczeń dla kultury? Część ludzi kultury domaga się od parlamentu jasnego określenia, że każda gmina ma przeznaczyć określony procent swoich dochodów na kulturę. Osobiście jestem temu przeciwny, bo uważam, że łamie to zasadę samorządności.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Dla miasta i gminy kultura jest wizytówką. 80% wszystkich informacji, jakie pojawiły się na temat mojego regionu, spowodowały wydarzenia kulturalne. Najlepszym zabezpieczeniem interesów kultury jest przekonanie lokalnej społeczności, że inwestowanie w kulturę jest korzystne dla gminy. Przy takim przekonaniu, jeśli po wyborach nowa władza zechce z dnia na dzień zlikwidować bibliotekę lub zrezygnować z prze-

glądu teatralnego, może się skompromitować na forum społeczności lokalnej.

MICHAŁ JAGIELŁO: Panie Burmistrzu, proszę mi pozwolić na chwilę sentymentalnego wspomnienia. Widzę nas obu stojących na scenie strzyżowskiego Domu Kultury, w którym po raz kolejny odbywa się Przegląd Zespołów Teatralnych Polski Południowo-Wschodniej. To ogromny wysiłek organizacyjny i finansowy, ale zorientowałem się, że tym wydarzeniem żyje cała gmina: gospodynie pieką ciasto, dzieciaki nocują w prywatnych domach, jest to wielkie święto tych dzieci. Pieniądze, które przywoziłem przyjeżdżając na Pana zaproszenie, to była w najlepszym razie 1/10 ogólnych kosztów. Czy tego typu relacja: gmina–urząd ministra kultury, ma sens? Pytam, bo jestem dość często atakowany, że niewielkie środki, jakie są w ręku ministra kultury, rozpraszam angażując się w 10 tego typu wydarzeń, gdy zebrane mogłyby służyć większemu przedsięwzięciu. Argumentuję, że te niewielkie środki znakomicie procentują w odbiorze społecznym. Jak to jest z Pana punktu widzenia?

MAREK ŚLIWIŃSKI: Może będę niegrzeczny, ale powiem, że przegląd teatrów dziecięcych w Strzyżowie odbyłby się bez dotacji ministerialnych czy wojewódzkich. Jednakże, jeśli człowiek coś robi, chce, żeby jego pracę dostrzegać. Dzieci przyjeżdżające do Strzyżowa bawią się wspólnie. Raz są aktorami, raz publicznością. Uczą się, że nie rywalizacja jest istotna, ale sam udział. Każde dziecko wyjeżdża z jakąś nagrodą czy pamiątką i to ma dla nich ogromne znaczenie. Nie chodzi tu o wartość materialną owych nagród, ale o zainteresowanie, poświęcony im czas, wyrażone uznanie, bycie z nimi. Więc to jest bardzo ważne, że Pan Minister nie zapomina o strzyżowskim przeglądzie.

MICHAŁ JAGIELŁO: Jak się układają stosunki samorządu z Kościołem na waszym terenie? Czy nie dostrzega Pan niebezpieczeństwa klerykalizacji w swojej gminie?

MAREK ŚLIWIŃSKI: Generalnie moja gmina jest jednowyznaniowa. Środowiska wiejskie i małomiasteczkowe były i pozostaną katolickie. Zatem nie wyobrażam sobie, żeby radni mogli wystąpić przeciwko swojej religii. W tym środowisku trudno byłoby sprzeciwiać się czemuś, co od wieków określa tradycja.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Panie Burmistrzu, ma Pan doświadczenia z pracy publicznej w poprzednim systemie, został Pan potwierdzony w demokratycznych wyborach samorządowych, po 4 latach pracy ma Pan skalę porównawczą. Jak Pan ocenia ten okres pracy samorządu, czego nie udało się Panu zrobić, jakie były tego powody strukturalne? Czego się Pan obawia, jeśli chodzi o najbliższą przyszłość?

MAREK ŚLIWIŃSKI: To bardzo trudne pytania. Niepowodzenia najlepiej określał sam wyborcy, choć i ta ocena nie do końca będzie wiarygodna. W sferze organizacji struktury samorządowej zrobiliśmy dużo, zostało to zauważone na poziomie województwa, świadczy też o tym zaproszenie mnie do tej rozmowy. Bardzo dużo pozostaje do zrobienia w zakresie infrastruktury wsi czy ekologii. Realizujemy obecnie budowę oczyszczalni ścieków dla miasta i gminy. Samorząd służy realizacji zbiorowych potrzeb ludzi. Uważam, że ten samorząd nie zmarnował swej szansy w tej mierze, bo inwestował w potencjał ludzki, w wartości kultury i oświaty, o czym już była mowa.

W wielu przypadkach jestem jednak zawiedziony. Nie udało mi się np. rozwiązać problemu telefonizacji, ponieważ Telekomunikacja Polska nie widziała wspólnego interesu, nie potrafiła wykorzystać możliwości tkwiących w samorządzie. Mogliśmy to zrobić, ale nasze inicjatywy utracął TPSA. Mam żal, że struktury państwa nie uznały, że chodzi o coś, co się dzieje właśnie w tym państwie. To nie my powinniśmy się dobijać swoich racji...

MICHAŁ KULEZA: Nie do przyjęcia jest takie myślenie o państwie, które antagonizuje w kategoriach zasadniczych władzę rządową i samorządową. Odmienność i odrębność tych dwóch struktur, podmiotów, sposobów myślenia, jest oczywista, bo

inna jest ich odpowiedzialność polityczna: władza lokalna odpowiada przed swoimi mieszkańcami, władza rządowa – przed obywatelami całego kraju. Niedopuszczalne jest traktowanie samorządów i ludzi w nich działających jak rzepa na ogonie, co się przyczepił i nie da się wyjąć. Trzeba rozumieć, że sprawy publiczne realizuje zarówno rząd i jego administracja, jak i samorząd. Rząd nie ma zwierzchnictwa nad samorządem. Spychanie samorządu do roli ogona świni, który zawsze zostaje gospodarzowi, gdy świnia idzie na targ, jest niewybaczalnym błędem. Oba te elementy trzeba traktować równo, dając im właściwe dla nich obowiązki, zadania i odpowiedzialność.

W warunkach polskich budowanie aktywności ludzi jest możliwe tylko przez instytucje samorządowe. Powiat nie jest celem samym w sobie, lecz kołem zamachowym bardzo ważnych przeobrażeń w państwie. Jestem zwolennikiem hasła: Myśleć globalnie, działać lokalnie. Nie ma innego działania niż działanie konkretne: tu i teraz, na tym terenie, wśród tych ludzi. Żeby jednak można było działać lokalnie, myślenie globalne musi być jasne. Ci, którzy działają lokalnie, muszą znać ramy i perspektywę globalną, w przeciwnym razie powiedzą, że oszukaliśmy ich. Dotyczy to i perspektywy przebudowy struktur państwa, i mechanizmu finansowania gmin. Myśleć globalnie, to znaczy działać uczciwie, pokazując globalne warunki funkcjonowania tym, którzy działają lokalnie. To, o czym mówił Pan Burmistrz, jest dla mnie dowodem na to, że wszystko, co przed chwilą powiedziałem, to jest po prostu polska prawda.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Proszę Panów, wyobraźmy sobie czarny scenariusz, że do wyborów samorządowych pójdzie najwyżej 20% uprawnionych do głosowania. Jakie to może mieć skutki społeczne i polityczne dla samorządów? Obawiam się takiej interpretacji: ludzie nie chcą samorządności, ludzie chcą być dobrze rządzeni.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Tu powstaje pytanie, czy do wyborów pójdzie 20% tych, którzy raptem zauważyli, że mają szansę przeciwstawić się złu, które pojawiło się dla nich w 1990 r., czy ci, co chcą utrwalić wartości. Dzisiaj hasła, na których wielu dale-

ko zajechało, nie są realizowane, nie tylko te, na które brak środków. Trzeba dużo pracy, żeby do wyborów lokalnych podchodzić jak do wyborów o szczególnym znaczeniu, jak to jest w państwach o utrwalonej demokracji. Środki przekazu mogłyby mobilizować ludzi, żeby jednak chcieli się wypowiedzieć we własnej sprawie.

MICHAŁ KULESZA: Kartka do głosowania ma ogromną wagę, trzeba sobie z tego zdawać sprawę.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Czy jednak niska frekwencja w wyborach samorządowych nie będzie traktowana jako koronny argument, żeby się powoli wycofywać z samorządności?

MICHAŁ KULESZA: Gdy ktoś chce psa uderzyć, to kij znaleźć, więc nie szukajmy tych koronnych argumentów. W Polsce 75% gmin ma od 4 lat tego samego burmistrza i przewodniczącego rady. To bardzo dużo. Ale szukając kija można oczywiście powiedzieć, że 25% burmistrzów czy przewodniczących zostało zmienionych.

Chcę jednak nawiązać do wątku PSL-owskiego. Osobiście nie znam dobrze PSL-u, ale bardzo dobrze znam wielu ludzi z PSL, którzy doskonale rozumieją to, o czym tutaj rozmawiamy. Możemy się kłócić o szczegóły, jednak generalne zasady funkcjonowania państwa są nam wspólne. Oczywiście, widać też pokusy, aby reformę traktować jako pole gry politycznej. Problem polega na tym, że powiat to nie rzecz sama dla siebie. Jeśli ktoś myśli, że robimy powiaty, bo jakiś profesor ma taką fanaberię, to jest to nieporozumienie. Powiaty to koło zamachowe całej reformy sektora publicznego i zarządzania nim. Organizowanie struktury organizacyjno-terytorialnej państwa: gmina, powiat, województwo, pozwala wbudowywać różne administracje, służby, systemy zarządzania. Nie można np. ustalić systemu zarządzania oświatą, jeśli nie wiadomo, kto jest właścicielem szkoły, bo inaczej się zarządza szkołami państwowymi, inaczej komunalnymi, jeszcze inaczej prywatnymi. Państwo także zarządza nimi wszystkimi, ustalając program, wymagane kwalifikacje nauczycieli, liczbę dzieci w klasie. Ponieważ trochę wy-

hamowano teraz tę reformę, utknęły też programy reform sektorowych.

Przez rok rozpędzaliśmy maszynę reformy, pracowaliśmy nad tym tysiące ludzi. Dawano na msze w kościołach w intencji utworzenia powiatu. Tysiące ludzi było za tym! Ludzie, którzy mieli poczucie, że tu powstanie ich mała ojczyzna. Powiaty w Polsce mają 500-letnią tradycję, ostatecznie się ukształtowały w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, i choć były wojny, zmienił się ustrój, nasza mapa powiatów w wielkiej części pokrywała się z tamtą. Przez 40 lat uniemożliwiano samorealizację zbiorowości lokalnym, nie było towarzystw strażackich, śpiewaczych, sportowych. Teraz daliśmy ludziom nadzieję na odzyskanie tożsamości lokalnej. Deklaracje o wstrzymaniu reformy powiatowej były dla tych ludzi szokiem. Oczywiście, żaden rząd nie lubi być sukcesorem pomysłów poprzedniego. Oczywiście też każdy rząd musi być intelektualnie przekonany do programu. Najważniejsze obecnie jest właśnie przekonanie wszystkich, że reforma to nie jest sprawa tej czy innej partii. To jest sprawa Polski.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Wydaje mi się, że powinniśmy zrozumieć również nieufność ludzi obecnej koalicji i pewien bunt, który się w nich zrodził. Często jest tak, że kiedyś nas wycięto, to teraz my tniemy. W elitach po 1990 r. też pojawiło się wielu ludzi na zasadzie negacji przeszłości, często mało kompetentnych, lub przygotowanych, ale bez doświadczenia. Byłoby idealnie, gdyby pozostali kompetentni i doszli ci, którzy chcą patrzeć na przeobrażenia w innych kategoriach. To jest takie wahanie, które musi się ustabilizować, ale na razie skacze od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy.

MICHAŁ KULESZA: Opcja, którą Pan reprezentuje, nie przeszkodziła ludziom w Pana gminie głosować na was i w majestacie prawa powierzyć wam władzę. I pewnie dalej utrzymacie tę władzę. Chcę pokazać, że wahadło, o którym Pan mówi, nie było po 1990 r. bezmyślne.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Zauważam, że na poziomie niektórych gmin nie została zrozumiana idea samorządności, tzn. centralizm państwowy zastąpiono gminnym. Ja na swoim terenie absolutnie nie wtrącam się w struktury samorządowe działające na wsi, raczej staram się pomóc czy to ochotniczym strażom pożarnym, czy kołom gospodyń wiejskich. W praktyce np. o sprawach wydatków na drogi – poza ustaleniem budżetu w mojej gminie – decydują sołectwa. Ale widzę lukę: rady sołeckie nie mają żadnych struktur samorządowych. Uważam, że to błąd.

MICHAŁ KULESZA: Zgodnie z całą myślą europejską podstawowym poziomem integracji interesu społecznego jest gmina. Ona zatem otrzymała władzę polityczną, samodzielność ekonomiczną i osobowość prawną. O sprawach wewnętrznych gminy powiedzieliśmy w ustawie bardzo mało. Spotkaliśmy się jednak z tym, że demokraci gminni w swoich gminach okazali się centralistami. Odczują to w najbliższych wyborach. Dążę do konkluzji, że wprowadzenie ustawy nie daje natychmiastowych skutków społecznych. Wolę, żeby pewien proces trwał kilka lat, ale był społecznie efektywny, nie zaś nakazany, lecz niezrozumiały. Zgadzam się więc z Panem co do skutku braku pewnych rozwiązań ustawowych, ale nie co do diagnozy. Poznawać trzeba po owocach, a pierwsze owoce będą w czerwcu tego roku.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Jest chyba wiele racji w powiedzeniu, że to niekoniecznie my mówimy językiem, ale często bywa, że język mówi nami. Większość z nas mówiąc „państwo” ma na myśli instytucje rządowe. Rzadko myślimy wtedy o tym wszystkim, co jest w państwie, a więc i o systemie samorządowym, i gminnym. Jest to pewne zetatyżowanie, które przebija przez potoczne myślenie. Podobnie często mówimy „samorząd”, „gmina”, a myślimy o dyktacie grupy, która działa z nadania wyborców, ewentualnie o dyktacie urzędników. Natomiast to, o czym mówił Pan Burmistrz, jest sprawą kapitalną. Niemożliwe jest społeczeństwo obywatelskie bez obudowania gmin kołami gospodyń wiejskich, ochotniczymi strażami pożarnymi, spółdzielczością – całą tą siecią usamorządowienia. Rzadko się o tym

u nas mówi i pisze, sprowadzając rzecz do tego, że zbudowanie struktur gminnych wystarczy.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Tylko nie wolno się wtrącać w to wszystko, trzeba z boku obserwować i pielęgnować.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Najważniejsze, żeby nie było tego, co Pan nazwał centralizmem gminnym. Nawiasem mówiąc wystarczy parę przypadków takiego centralizmu, ale nagłościonych przez środki przekazu, aby setki pozytywnych działań zostały przemilczane. Pamięta się tylko o tym, że samorząd Warszawy walczył jak lew o wszystkie teatry, a teraz skąpi pieniędzy na kulturę teatralną. Powiedzmy jednak, że burmistrz Śródmieścia, Jan Rutkiewicz, przekazał ostatnio sporą sumę na wsparcie teatrów podległych wojewodzie. To jest zresztą odrębne zagadnienie, czy samorządy się sprawdziły w dużych aglomeracjach. Na pewno się sprawdziły w małych czy średnich gminach.

MAREK ŚLIWIŃSKI: Uważam, że program pilotażowy poszerzający kompetencje gmin miejskich był konieczny. Samorządy gminne nie były kompetentne w wielu sprawach, człowiek w gminie chciał mieć wpływ na wszystko, a to przekraczało możliwości gminy.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Dla mnie sam fakt, że program pilotażowy, choć okrojony, wszedł jednak w życie, jest pocieszający.

MICHAŁ KULEZA: Oczywiście także się cieszę z tego, że – w dużej mierze dzięki samorządom – udało się uratować program pilotażowy. Ale to jest radość gorzka. Nie gramy przecież o interesy poszczególnych gmin ani o własne, gramy o Polskę. Dzielę rządzących na dwie kategorie: na polityków i mężów stanu. Polityków nie znoszę i uważam, że jeżeli władza dostaje się w ich ręce – skutki mogą być dramatyczne. Ten, kto rządzi państwem, ma obowiązek, jaki zawsze spoczywał na monarchach – obowiązek dbałości o dobro ludu. Jeżeli ktoś jest monarchą, a nie wykonuje swoich świętych i fundamentalnych obowiązków w perspektywie historycznej – a Polska jest obec-

nie w szczególnym momencie swej historii – to nie jest mężem stanu, lecz tylko politykiem. Chcę, żeby Czytelnicy zrozumieli, że nie mówiliśmy tutaj o gminie w woj. rzeszowskim ani o moich osobistych smutkach czy radościach, lecz o pewnych procesach. Jeżeli w Polsce zmienił się ustrój państwowy, polityczny, stosunek do własności i filozofia prawa, system zarządzania, stosunek do wolności jednostki, a zatem jeśli nastąpiły fundamentalne zmiany w sferze ideologii czy idei, to władca musi z tego wyciągać praktyczne i programowe wnioski. Nie może konserwować starych struktur, bo będą działać destruktywnie, gdy administracja musi działać kreatywnie, konstruktywnie, a przynajmniej nie przeszkadzać. Jeśli mówię o dekomunizacji, to nie chodzi mi o ludzi, ale o struktury i mechanizmy. Chcę podkreślić, że nie ma czasu na żadne porządkowanie. To jest czas wielkiego siania i wielkich żniw. A bez tego będzie dalej ugor, i ja się tego boję.

* * *

LECH RUTKOWSKI: Powszechnie jest akceptowane stwierdzenie, że zapoczątkowana w 1990 r. reforma samorządowa przyniosła nadspodziewanie dobre rezultaty. Jednak „cicha rewolucja”, jaką jest „odżywianie, a często wręcz tworzenie społeczności lokalnych”, o czym mówił p. Jagiełło, bardziej dotyczy małych gmin niż dużych miast. W większych miastach, pomimo przeprowadzenia po raz pierwszy po wojnie demokratycznych wyborów do rad miejskich, zainteresowanie mieszkańców działaniami organów samorządowych jest niewielkie, a rozumowanie kategoriami dobra wspólnego nie jest tak częste.

Po to, by przełamać ten przeklęty podział na „my” i „oni”, realizujemy w Białymstoku przy pomocy Fundacji Marshalla szeroko rozbudowany program integracji społecznej pn. „Dialog”. Cieszę się, że widać już pierwsze efekty realizacji tego programu, a z naszych doświadczeń chcę skorzystać również inne miasta. Chcemy również zdynamizować działalność samorządów osiedlowych, dzieląc się z nimi częścią kompetencji organów gminy. W ten sposób zamiast odziedziczonych po starym systemie uprawnień opiniodawczych („konsultacja”

zamiast demokracji) organy osiedli uzyskają także uprawnienia „stanowiące” (np. podział środków na realizowane z udziałem mieszkańców inwestycje infrastrukturalne, niektóre zadania gminy z zakresu pomocy społecznej).

Toczy się wielki bój o to, czy Polska ma być państwem biurokratycznym, czy obywatelskim. Pan prof. Kulesza informując, iż 500 bln zł, czyli aż 85% pieniędzy publicznych, jest zarządzanych z Warszawy (a powszechnie wiadomo, że samorządy realizują te same zadania o ok. 20% taniej niż administracja rządowa) jasno wskazuje, jak wielki to problem i jak konieczna jest reforma państwa. Natomiast inni przedstawiciele rządu mówią raczej o „porządkowaniu” niż o reformie. Boję się, żeby efekty tego porządkowania nie sprowadziły obecnych samorządów do roli dawnych rad narodowych. Dlatego tak wielkie znaczenie mają wybory samorządowe i opowiedzenie się w tych wyborach (bez czczych obietnic i sloganów), jakiego państwa chcą główne siły polityczne. Swoistym papierkiem lakmusowym intencji partii politycznych może być stosunek do decentralizacji państwa, a przede wszystkim do reformy powiatowej.

Chociaż dyskusja dostarczyła przykładów postawy „homo sovieticus”, dorzucę jeszcze jeden. Widać ją w postawach urzędników warszawskiego centrum (w MKiS też!), którzy sądzą, że dobrze byłoby tak: „nic nie zmieniać, z Warszawy zarządzać, a niech samorządy dopłacają do rządowych teatrów, bibliotek i domów kultury”. Otóż chcę poinformować, że co najmniej 60 mld zł (a jest to 12% dochodów własnych) przeznaczamy na sfinansowanie zadań administracji rządowej, ale już przejętych do prowadzenia przez gminę (ochrona zdrowia, oświata, budowa i utrzymanie dróg krajowych i wojewódzkich). Dzieje się to oczywiście kosztem ograniczenia wydatków na ustawowe zadania własne gminy, np. brakuje nam środków na zakup nowych autobusów. Dlaczego więc mamy finansować państwowe instytucje kultury, skoro państwo boi się przekazać je samorządom? My w Białymstoku wolimy wspierać inicjatywy i przedsięwzięcia środowisk twórczych niż utrzymywać „nie nasze” instytucje.

Program pilotażowy to temat na całą rozprawę. Odnoszę wrażenie, że cała sprawa została (i to pewnie wbrew intencjom prof. Kuleszy) nadmiernie upolityczniona. Przygotowanie programu nabrało raptownego przyspieszenia dopiero po rozwiązaniu parlamentu. Wzbudziło to podejrzenia ówczesnej opozycji, a dzisiejszych „koalicjantów”. Pośpiech spowodował błędy, takie choćby, jak brak czasu na konsultacje listy wyłączeń kultury czy przemysłane sprecyzowanie przekazywanych kompetencji w zakresie ochrony przeciwpożarowej, inspekcji sanitarnej czy ochrony zabytków.

To, co się stało po zmianie sterów władzy w Alejach Ujazdowskich, z punktu widzenia miast było istnym koszmarem. Chodzi nie tylko o wstrzymanie realizacji programu i zmianę zakresu przekazywanych kompetencji, ale przede wszystkim o finansowanie zadań. Godziliśmy się na to, że zadania przekazywane w ramach programu będą traktowane tak, jakby pozostały przy administracji rządowej („sprawiedliwie, czyli równie źle”). Stało się inaczej. Miasta dostały mniej, niż ustalono, środków na realizację zadań na prowadzenie szkół średnich, a już ani grosza nie przekazano na prowadzenie zadań z zakresu ochrony przeciwpożarowej, inspekcji sanitarnej i ochrony zabytków. Białystok faktycznie nie przejął tych zadań, ignorując „muszkieterską” (słowa prof. Kuleszy) zasadę „wszystko albo nic”, kierując się raczej postawą przeciwnika Dumasowskich muszkietierów, kard. Richelieu, czyli racją stanu, racją miasta. Uważamy bowiem, że „muszkieterska” zasada (wynikająca z rozporządzenia) nie może być traktowana równoważnie z zasadą wyrażoną w art. 73 Małej Konstytucji, że zadania zlecone z zakresu administracji rządowej mogą być wykonywane przez gminę po zapewnieniu ich sfinansowania przez stronę samorządową.

W Białymstoku, mieście wielowyznaniowym, stosunki z Kościołem katolickim i prawosławnym muszą układać się nie tylko poprawnie, ale wręcz dobrze. Wiele sił i czasu poświęcam, aby występujące zarzewie konfliktów tłumić w zarodku.

Tak jak Pan Burmistrz Strzyżowa chciałbym się pochwalić naszymi białostockimi dokonaniaми. W czerwcu 1990 r. zastaliśmy pustą kasę, 50 mld długu, wstrzymane inwestycje i ciem-

ła Jagiełły, znalazła siedzibę nowo powołana Filia Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia.

Rola i charakter naszego miasta wyznaczają władzom samorządowym szczególnie zadania w zakresie ochrony naturalnych walorów przyrodniczo-krajobrazowych miejscowości. Dlatego wiele uwagi poświęcamy problemom związanym z ochroną środowiska. Miasto nasze jest prawie w 90% zgazyfikowane. Aktualnie rozbudowujemy oczyszczalnię ścieków i sieć kolektorów.

Stosunkowo nieźle funkcjonuje łączność telefoniczna przy dotychczasowej centrali o liczbie 1800 numerów.

Efekty te zawdzięczamy w dużym stopniu aktywności samych mieszkańców. Trudne górskie warunki bytowania uczyły bowiem ludzi od pokoleń, że tylko pracą i wspólnym wysiłkiem można osiągnąć zamierzone cele. Dlatego z niesłychanym oddaniem zawiązywały się społeczne komitety gazyfikacji, budowy wodociągów, kanalizacji, telefonizacji, budowy dróg itp., które tworzono na wniosek samych mieszkańców lub też działających w ich imieniu Komitetów Osiedlowych Samorządu Mieszkańców.

Na tym tle muszę zauważyć, że obecnie jakby mniej wydają się doceniane takie społeczne inicjatywy. Brakuje podstaw formalno-prawnych powołania społecznych komitetów, które w przeszłości realizowały te ważne przedsięwzięcia. Zarządy osiedli obecnie nie mają właściwej rangi, nie mogą nawet założyć własnego konta bankowego. Warto podkreślić, że nasze sołectwa czy też zarządy osiedli porównywalnie w warunkach francuskich mogłyby stanowić często mniejszej wielkości gminy. Obniżenie więc pozycji sołectw w gminach wiejskich i zarządów osiedli w miastach prowadzi niestety do centralizmu gminnego, ponieważ gubi po drodze inicjatywę małych społeczności lokalnych. W moim przekonaniu samorządność winna być przede wszystkim metodą sprawowania władzy w gminie. Rozumiem przez to, że gmina może i powinna cedować swoje zadania na właściwe organizacje, jeżeli tylko takie się pojawiają. Przykładowo podpisujemy porozumienie z klubem sportowym, który w imieniu gminy wykonuje zadania związane z rozwijaniem sportu masowego. Powstały niedawno w Wiśle Od-

ne ulice (wyłączone oświetlenie). Po 4 latach mamy mocne finanse gminy, około 1/4 środków przeznaczamy na inwestycje, zreformowaliśmy system przedszkoli i żłobków (są miejsca dla wszystkich chętnych!), mamy sprawnie działającą komunikację oraz reformowane bądź przekształcone służby publiczne i przedsiębiorstwa. Pomimo że oczyszczalnia nie jest jeszcze oficjalnie przekazana, nasze ścieki (w procesie rozruchu technologicznego) są już w dużym stopniu oczyszczane i nie zaturowały Narwi i Zalewu Zegrzyńskiego – źródła wody pitnej dla Warszawy. W środkach przekazu dominuje jednak czarna propaganda. Jeszcze nikt nie napisał, że ścieki są już w 90% oczyszczone! I to jest nasz błąd, że nie umieliśmy sprzedać tych sukcesów!

KAROL NOGOWCZYK: Wisła – miasto położone u źródeł królowej polskich rzek – zajmuje obszar 111km² i liczy 11 tys. stałych mieszkańców. Latem i zimą przebywa tutaj ponad dwukrotnie tyle wczasowiczów i turystów.

Funkcje burmistrza objąłem, będąc wcześniej ponad 2 lata naczelnikiem miasta. Uważam, że ten okres pozwolił mi dobrze poznać problemy naszej miejscowości i nauczył znajdować sposoby ich rozwiązywania. Chociaż obecnie działa się w innych warunkach, zdobyte wówczas doświadczenia były mi bardzo pomocne na początku burmistrzowania. Z samorządnością zetknąłem się natomiast wcześniej, w spółdzielczości samopomocowej, gdzie przez wiele lat byłem prezesem gminnej spółdzielni. Mogę z całym przekonaniem powiedzieć, że zasady kolegialnego kierowania ukształtowane w spółdzielczości są mi nadal bardzo bliskie w kierowaniu pracami zarządu miasta.

W minionym roku obchodziliśmy jubileusz 350-lecia Wisły. Była to okazja dla wielu środowisk, aby uświadomić sobie historię i tradycje, zachodzące przeobrażenia, a także pokazać osiągnięcia w sferze społeczno-gospodarczej i kulturalnej. Najbardziej znaczącym wydarzeniem i trwałym akcentem jubileuszu było oddanie do użytku, po gruntownym remoncie i modernizacji, przedwojennej willi „Beskid”, w której dzięki usilnym staraniom władz samorządowych oraz wielkiej życzliwości Ministerstwa Kultury i Sztuki, a osobiście Pana Ministra Micha-

dział Zrzeszenia Polskich Hoteli Turystycznych będzie się zajmował na zlecenie miasta promocją miejscowości.

W dyskusji redakcyjnej zwracano uwagę na potrzebę tworzenia powiatów. Zapewne są one potrzebne. Myślę jednak, że już teraz należy usamorządować szczebel wojewódzkiej administracji rządowej przez zwiększenie kompetencji sejmiku, szczególnie przy uchwalaniu budżetu wojewody. Sądzę, że można również tworzyć pewną obudowę samorządową dla urzędów rejonowych administracji państwowej. Mogą to być związki lub stowarzyszenia gmin danego rejonu. Wydaje się też zasadne włączyć do urzędu wojewody administrację oświatową. Zupełnie nierozumiąły jest dla mnie argument braku możliwości dokonywania przesunięć środków finansowych w szufladkach budżetu wojewódzkiego. Dlaczego możemy się tego spodziewać dopiero w powiatach?

Michał Jagiełło

Wołanie w górach

ss. 418, cena 40 000 zł

Książka Michała Jagiełły, taternika związanego z ratownictwem tatrzańskim od 1961 r., zawiera opisy ważniejszych – trudniejszych i ciekawszych – akcji ratowniczych w Tatrach do 1988 r. *Wołanie w górach* to pasjonująca lektura, ucząca szacunku dla gór i dla pracy ratowników.

Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym.
Zamówienia prosimy kierować pod adresem:

Oficyna Przeglądu Powszechnego, ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa

Ryszard Radzik

Czy jest w Polsce inteligencja?

Dyskusja na temat inteligencji po raz kolejny powraca na łamy polskich pism. Tytułowe pytanie niniejszych rozważań wynika z przypuszczenia, że istotne cechy tej warstwy w II poł. XX w. tak bardzo się zmieniły – w porównaniu z poprzednim okresem – iż odnoszenie tej samej nazwy do zauważalnie różnych zjawisk społecznych jest zabiegiem nie w pełni uprawnionym.

Wielokrotnie podkreślano, iż inteligencja Europy Środkowo-Wschodniej – zwłaszcza polska i rosyjska – powstała jako warstwa specyficzna dla tej części kontynentu i nie ma odpowiednika na Zachodzie. W Polsce XIX w. kształtowała się w warunkach powolnego rozkładu struktur feudalnych, przytłaczającej dominacji liczbowej warstw plebejskich, zwłaszcza chłopstwa, braku własnego, licznego i zamożnego mieszczaństwa oraz burżuazji. Powstawała w sytuacji nieistnienia polskiej warstwy polityczno-administracyjnej, co określało jej stosunek do uważanych za obce realnie istniejących struktur państwowych. Tworzyła wartości polityczne, lecz obca jej była praktyka działań politycznych, realizm polityczny charakteryzujący środowiska zarządzające własnym państwem. W strukturze społecznej zdeformowanej w stosunku do Zachodu inteligencja polska kształtowała się jako warstwa kulturotwórcza i narodotwórcza. Społeczeństwo polskie opowiadając się za własną, nowocześnie pojętą odrębnością narodową, było niejako skazane w realiach społeczno-politycznych okresu zaborów na akceptację „przewodniej roli” inteligencji w tym procesie.

Solidaryzm ponadklasowy jako istotny element upowszechnianej przez inteligencję ideologii wyraźnie odróżniał tę warstwę od szlachty, zwłaszcza ziemiaństwa.

Podtrzymywało ono dystans stanowo-klasowy, utrzymując więzi nawykowe, łączące je z chłopstwem we wspólnoty dworskie. Broniąc się przed rusyfikacją i germanizacją, inteligencja odrzucała pionowy, zhierarchizowany klasowo i kulturowo układ społeczeństwa feudalnego, a optowała za więziami poziomymi, łączącymi społeczeństwo akceptujące klasowo egalitarną ideę narodową. Z ludem wiązały ją więzi pośrednie, ideologiczne.

Przejście w okresie zaborów od elit szlacheckich – tworzących niegdyś polityczną, ponadetniczną wspólnotę narodową – do inteligencji konstytuującej naród w jego wymiarze nowoczesnym, kulturowym (językowo-etnicznym), pociągało za sobą określone konsekwencje socjopsychiczne, nie oznaczało jednak radykalnego zerwania ciągłości kulturowej elit. Znaczna część inteligencji wywodziła się ze szlachty. *Pamiętajmy bowiem, że jeszcze na początku naszego stulecia wielu inteligentów szlacheckiego pochodzenia, pytanych o pochodzenie, odpowiadało: „szlachcic”, a nie „inteligent”. Nieistotna wydawała się im pozycja, zawód, funkcja społeczna, a istotne było identyfikowanie się z pewnym określonym dziedzictwem kulturowym*¹. Pozostali członkowie inteligencji, aczkolwiek ich wpływ na formowanie się nowej warstwy był spory, najczęściej starali się zasymilować do kultury środowisk o herbowym rodowodzie (dotyczy to zwłaszcza zaboru rosyjskiego, także austriackiego, w zdecydowanie mniejszym stopniu pruskiego). Podupadająca gospodarczo szlachta, zarówno ziemiańska jak i drobna, będąca w większości, emigrowała ze wsi do miast, wyróżniając się na ogół jako takim wykształceniem, ogładą towarzyską, nierzadko wielopokoleniową tradycją rodzinną, czasami świadomością niegdysiejszej świetności. Nie dysponując kapitałem – a jednocześnie broniąc się przed degradacją społeczną – skupiała się,

¹ A. Gella, *Naród w defensywie. Rozważania historyczne*, Londyn 1987, s. 160.

w sytuacji zaniku układu stanowego, wokół wyróżnika kulturowego jako tego, który miał jej umożliwić kontynuację poczucia wyższości wobec innych, i eksponowała znaczenie tego poczucia nie tylko dla siebie, ale i całego społeczeństwa. Aktywność kulturotwórcza określała sens jej istnienia jako warstwy. Byt inteligencji zależał od akceptowania przez innych wartości, jakie głosiła, jej wizji społecznej świata, narodowego etosu. Żadna warstwa nie była dotychczas tak silnie i bezpośrednio zainteresowana masowym upowszechnianiem wytworów kultury (niegdyś, zwłaszcza przed Renesansem, klerkowie wręcz chronili swą wiedzę przed innymi).

Ewolucja polskich elit od szlachty do inteligencji oznaczała zarazem, w warstwie więziotwórczej, przejście do integrującego szlachtę sąsiedztwa² do łączącego inteligencję salonu. *Salonik inteligencki kontynuował styl kulturalny przedkapitalistycznego dworu ziemiańskiego*³. Mimo tych związków sąsiedztwo i salon określały znacząco różniące się od siebie zjawiska społeczne. Szlacheckie więzi sąsiedzkie, aczkolwiek miały charakter nawykowy, opierały się – co ważne – na ideologicznie traktowanym wyróżniku politycznym. (Szlachta – w przeciwieństwie do inteligencji – powstała jako stan wyróżniony spośród ogółu na zasadzie prawnej, skupiający się wokół przywilejów politycznych, aczkolwiek szlachectwo, jak zauważa Andrzej Zajączkowski, było wartością przeżywaną uczuciowo przede wszystkim w granicach sąsiedztw.) Salon łączył rozrzuconą w anonimowym tłumie miasta inteligencję w samopotwierdzającą swe funkcje kulturowe grupę. Rola inteligenta polegała na tworzeniu i – częściej – upowszechnianiu wartości słowem i pismem. Stąd konieczność wymiany

² Zob. A. Zajączkowski, *Główne elementy kultury szlacheckiej w Polsce. Ideologia a struktury społeczne*, Wrocław 1961, s. 59-69.

³ J. Chałasiński, *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*, Warszawa 1958, s. 80.

myśli, potrzeba ich ciągłego „przeżywania” i konfrontacji. Na świat realny inteligent patrzył przez słowa, idee, wizje. Tworzone koncepcje potwierdzał raczej spekulacją myślową niż odwoływaniem się do praktyki. Sprzyjał ewolucji świata wartości, chętniej łącząc ją z ideą rozwoju niż znacznie bardziej konserwatywna szlachta. Inteligenci operowali słowem, wymagali potwierdzenia swej inteligenckości w kontaktach bezpośrednich, na gruncie towarzyskim, z innymi inteligentami. Nie chcąc ulec degradacji społecznej (co jednak nierzadko się zdarzało), niejako musieli się stać inteligentami. Ich duma wyniesiona z dworów i szlacheckich zaścianków wyrażała się w misji przewodzenia narodowi; trwać mogła w sprzyjającej konfiguracji społeczno-politycznej i narodowym zapotrzebowaniu na ich twórczość.

Inteligencję określało usytuowanie wobec innych warstw oraz różnorodny zespół cech, występujących wśród inteligentów (jako grupy) z większym nasileniem niż w innych środowiskach. Wykształcenie nie decydowało o odrębności, choć była to warstwa ludzi wykształconych. Gdyby tak było, należałoby mówić o inteligencji zachodnioeuropejskiej, a nie o intelektualistach. Mylny jest pogląd, jakoby inżynierski dyplom bądź oficerskie szlify (w II RP) automatycznie tworzyły inteligentów. Najczęściej zostawało się inżynierem, oficerem bądź dyplomata, ponieważ było się szlachcicem, człowiekiem dobrze wychowanym, inteligentem – na tym polegała istota tego procesu – co oczywiście nie znaczy, że nie występowało zjawisko awansu społecznego ludzi wywodzących się z mas plebejskich. Wykształcenie stwarzało im szansę na asymilację do środowiska inteligentckiego, przyswojenie jego kultury, towarzyską akceptację, dającą im możliwość pełnienia funkcji inteligentkich (innymi słowy, stawało się warunkiem koniecznym – choć nie zawsze w sensie formalnym, tzn. dyplomu – lecz niewystarczającym). Inteligencję charakteryzował stosunkowo wysoki – w porównaniu z większością społeczeństwa –

poziom kultury symbolicznej, postszlachecki etos, tradycje i gusty, ideologiczność kategorii, w jakich odbierała społeczeństwo, oraz – szczególnie wśród jej twórczej części – sposób wykorzystania wiedzy, skłonność do względnie samodzielnego myślenia. Wyróżniał ją styl bycia i typ aktywności społecznej. Jej postszlacheckie środowisko, dzięki świadomości posiadanych niegdyś praw, władzy, niekiedy bogactw (zatem zaspokojeniu tej jakże zrozumiałej sfery psychicznych potrzeb) mogło bardziej być niż mieć, poświęcać się budowaniu świata idei, nie traktować pojęcia interesu społecznego głównie w kategoriach instrumentalnych.

Ważnym elementem warstwowo rozumianej inteligencji było to, co można by nazwać inteligentkim kotłem – ciągłym ścieraniem się postaw, poglądów i idei. W sytuacji wolności głoszenia poglądów, w tym skrajnych, ujawniała się nie tylko intelektualna mialkość. Powszechna była aktywność umysłowo odtwórcza – tak często bywało niezależnie od czasu i miejsca – ale powstawały również wartości nowe, cenne. Kształtowaniu się twórczego nonkonformizmu sprzyjała – w znacznym stopniu istniejąca nawet w okresie zaborów – wolność ekonomiczna środowisk inteligentkich, ich niezależność od państwowego pracodawcy. Inteligencja polska formowała się zarazem w warunkach resentymentu do zaborców (zwłaszcza rosyjskiego), kompleksu wobec arystokracji, poczucia kulturowej wyższości określającej jej dystans do ludu.

* * *

Dwudziestolecie międzywojenne było zbyt krótkim okresem, by w zasadniczym stopniu mogła być zmodyfikowana ówczesna struktura społeczeństwa polskiego i etos jego warstw. Polaryzację społeczeństwa likwidowano w sposób gwałtowny po 1944 r. w nie sprzyjających warunkach ustrojowych, powodujących, iż szybko wzrastające warstwy miejskie nasycały wartościami,

których selekcja zarówno z kultury warstw plebejskich (chłopstwa) jak i inteligencji miała w zasadniczym stopniu charakter negatywny. Zlikwidowana została warstwa ziemiaństwa, liczbowo niewielka, tworząca jednak przez wieki polską kulturę i – co najważniejsze – wyposażającą ją w szczególny typ duchowego doświadczenia, możliwy tylko na tym gruncie, określającym polskość na jej najwyższym poziomie kultury symbolicznej. Istniczą i będą się pojawiać w przyszłości twórcy wybitni. Jednakże bezpowrotnie odszedł w przeszłość świat jak i style kulturowego myślenia nie tylko Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, ale i współczesnych nam Gombrowicza i Miłosza. Odejście od Polski wielobarwnych kulturowo, etnicznie i narodowo kresów będzie, podobnie jak zniszczenie świata szlacheckich dworów, w coraz bardziej widoczny sposób ciążyło nad uniformizującą się i plebeizującą kulturą polską.

Masowy napływ młodzieży chłopskiej i robotniczej do szkół i na uniwersytety doprowadził w warunkach jej politycznie uwarunkowanej izolacji od tej części przedwojennej inteligencji, która przetrwała wojnę, do przemowienia przez nowe środowiska pracowników umysłowych części elementów tradycyjnej kultury inteligentkiej, nie przez bezpośredni kontakt z tą warstwą, stopniową asymilację do niej ludzi awansujących społecznie, jak było to przed wojną, lecz przez uwewnętrznianie jej produktu – systemu wartości zawartego w literaturze polskiej. Jak słusznie zauważa Daniel Beauvois, *stara to prawda, że kultura, a zatem świadomość polska została uformowana przez literaturę*⁴.

Mechanizm kształtowania się inteligencji nowej, powojennej, był inny niż tej z okresu zaborów. Ta XIX-wieczna w znacznym stopniu formowała się w warunkach obrony szlachty, podupadającej gospodarczo, czę-

⁴ Trzeba o tym mówić. Rozmowa z prof. Danielem Beauvois, „Zeszyty Literackie”, nr 31/1990, s. 114.

sto emigrującej do miast przed degradacją społeczną. Skupiała się ona wokół wartości wyniesionych z domu rodzinnego (modyfikując je), nadając im szczególnie znaczenie zarówno w sensie warstwowym, jak i odnosząc je do całego społeczeństwa (narodu). Wyraźnie inne przyczyny określały kształtowanie się inteligencji współczesnej. Powstała ona w wyniku dość gwałtownego procesu awansu społecznego przedstawicieli mas plebejskich, dystansujących się – nierzadko jedynie werbalnie – od środowisk swego pochodzenia (wbrew intencji władz pragnących stworzyć „inteligencję socjalistyczną”, solidaryzującą się klasowo z ludem i wyrastającą z jego kultury). O ile znaczna część dawnej inteligencji, tej o szlacheckim rodowodzie, musiała przezwyciężać kompleksy niższości wobec co bardziej znamienitych, utytułowanych przedstawicieli herbowych rodów – chętnie odwołując się do rodzinnych z nimi koligacji – o tyle nowa pragnęła jak najszybciej zapomnieć o swojej przeszłości, kompleksy pochodzenia lecząc poczuciem zwiększającego się dystansu do środowiska, z którego wyrosła. Zatem nowa inteligencja pragnęła, odrzucając kulturę domu rodzinnego, przyjąć pozycję i wartości swej poprzedniczki. Do pewnego stopnia był to proces uwewnętrzniania mitu elity kulturalnej poprzedniego okresu – mitu wciąż atrakcyjnego, zwłaszcza dla awansujących przedstawicieli mas ludowych epoki socjalizmu – w oderwaniu od kształtującego ją niegdyś zaplecza społecznego.

Inteligencja jako warstwa zanurzona w świecie idei, przetwarzająca go i do pewnego stopnia będąca jego „produktem”, wyraźnie różniła się pod tym względem od klasy średniej jako typowego składnika nowoczesnego układu kapitalistycznego. Odrębność klasy umysłowej (nowej inteligencji) trwała; nie należała już ona do klasy chłopskiej ani robotniczej – z których się wywodziła – a praktycznie, wobec nieistnienia klasy średniej, nie mogła należeć do żadnej innej. Zapewne opisywane przez socjologów w ciągu ostatnich kilkunastu lat zjawi-

sko tzw. próżni socjologicznej, polegające na utożsamianiu się Polaków z jednej strony z rodziną, z drugiej natomiast z narodem i Kościołem, przy słabości więzi średniego szczebla, można uznać po części za skutek jeszcze XIX-wiecznej polaryzacji społeczeństwa na plebejską większość oraz względnie zamożną i wykształconą mniejszość, przy słabości warstw pośrednich. Brak klasy średniej ułatwiał ten sposób samookreślania się, w tym skłonność do widzenia społeczeństwa w kategoriach „my” i „oni”.

Na wewnętrzną treść pojęcia inteligencji powojennej jak i jej zewnętrzny obraz wpłynął proces jej etatyzacji. *Funkcjonariusz państwa jest zobowiązany do lojalności innej niż tylko lojalność wobec podstawowych wartości intelektualnych*⁵. Skutki tego stanu rzeczy były tym bardziej znaczące, że inteligencja w swym powojennym kształcie była w zasadzie warstwą in statu nascendi, pozbawioną oparcia – w swym inteligenckim wymiarze – w tradycji rodzinnej, przeto łatwiej ulegającą nowym, politycznie uwarunkowanym ideom, zwłaszcza iż wmawiano jej – nie bezskutecznie – że dzięki nim jej członkowie osiągnęli swój nowy, wyższy status. Radykalnemu ograniczeniu podlegało zjawisko określone przezmnie wcześniej mianem inteligenckiego kotła.

Różnica między inteligencją dawną a obecną wynika również z charakteru więzi spajających obie warstwy. Te, które łączyły inteligencję przedwojenną, miały charakter nawykowy (charakteryzujący też wspólnoty chłopskie), wynikały z kontaktów bezpośrednich w inteligenckich salonach, silnych i często rozbudowanych więzi rodzinnych. Miały ponadto charakter ideologiczny (ówczesnym chłopom obcy). Współczesną inteligencję, zatimizowaną, zetatyzowaną, wewnętrznie silnie zróżni-

⁵ J. Szczepański, *Intelektualiści*, w: *Encyklopedia kultury polskiej XX wieku. Pojęcia i problemy wiedzy o kulturze*, red. A. Kłoskowska, Wrocław 1991, s. 137.

cowaną i dystansującą się od środowisk pochodzenia, łączą słabsze więzi nawykowe, towarzyskie, natomiast w znacznym stopniu trwa ona dzięki ideologicznemu samookreślaniu, uwewnętrznianiu inteligenckiego mitu, poczucia misji. Jej ciągłemu różnicowaniu się towarzyszy zauważalne od dłuższego czasu zjawisko samoodtwarzania. *Do studiów dochodzi zaledwie 2,3% młodzieży mającej ojców z wykształceniem niepełnym podstawowym, z podstawowym – 4,5%; z zasadniczym zawodowym i niepełnym średnim – 15,9%; średnim – 26,9% i wyższym – 57,3⁶.*

Narzucony po wojnie ustrój charakteryzował ambiwalentny stosunek do inteligencji. Jego antyinteligencję wyrażała się w braku akceptacji dla typowo inteligenckich postaw kontestacyjnych, dla różnorodności opcji ideowych. Był natomiast w pewien szczególny sposób prointeligencki, będąc pierwotnie sam konstruktem ideowym, wyrazem czasowego triumfu idei nad realiami społecznymi i ekonomicznymi, zwycięstwem marzeń jednej z inteligenckich grup, ziszczonej pierwotnie na Wschodzie przy pomocy nieoświeconych mas plebejskich. Po części wbrew swym ideowym założeniom władze reprezentujące ten ustrój realizowały zasadę prymatu woli nad materią. Eksponowano rolę kultury w społeczeństwie, dość ściśle określając jednak jej kanon treściowy. Zglajchszaltowana i zetatyżowana inteligencja miała legitymizować władzę „awangardy narodu” zgodnie z systemem akceptowanego przez nią zbioru wartości. Mówiąc krótko, znaczenie kultury było w nowym ustroju zgodne z prointeligencją wizją świata, natomiast mechanizm tworzenia wartości i dobór oficjal-

⁶ H. Najduchowska, *Polscy studenci lat osiemdziesiątych*, w: „Dydaktyka Szkoły Wyższej”, nr 1/1987, s. 118, cyt. za: M. Libińska-Zółtkowska, *Postawy inteligencji wobec religii. Studium socjologiczne*, Warszawa 1991, s. 34.

nie upowszechnianych treści miały charakter wyraźnie antyinteligencji.

Część funkcji dawnej inteligencji, po wojnie warstwy coraz silniej różnicującej się, w sytuacji słabnięcia podziałów klasowo-warstwowych znacznie mniej niż niegdyś wyrazistej, słabiej określonej, przejęli – po części wzorem zachodnim – intelektualisci, bardziej niezależni, lepiej wykształceni, skupiający się zwłaszcza na uniwersytetach, niekoniecznie będący inteligentami w dawnym stylu (i często nimi nie będący). *„Bycie intelektualistą” nie wynika z przynależności do określonej grupy społecznej, ale z wykonywania pewnej funkcji. Spełnianie tej funkcji czyni z nich pewną siłę społeczną, która w kapitalizmie jest aktywna w tworzeniu „ogólnej atmosfery powszechnej wrogości do własnego ustroju” (można by zapytać, czy tylko w kapitalizmie). Funkcje intelektualistów polegają na operowaniu słowami i tworzeniu różnych sformułowań słownych. Nie uczestniczą oni w praktyce, dlatego też nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności⁷. Literaci stali się kapłanami słowa, artyści – kapłanami znaków; oba środowiska – strażnikami kultury symbolicznej, której zakres był ściśle określony przez władze stalinowskie, w późniejszych latach stopniowo ograniczające swą kontrolę nad kulturą i jej twórcami. Deideologizująca się elita władzy, zawiedziona postawą inteligencji i intelektualistów korzystających z liberalizacji systemu, różniących się ideowo i politycznie, cofała im swoje – zawsze wybiórczo przyznawane – poparcie. Dla niektórych z nich – wyposażonych w wiedzę, myślących samodzielnie – upłynęło wystarczająco dużo czasu, by byli w stanie odwołać się do ludu we wspólnym buncie przeciwko władzy.*

Inteligencka skłonność do patrzenia na świat przez pryzmat kultury ma charakter kompleksowy, ideologiczny, wizyjny. Wyraża się w odbieraniu rzeczywistości

⁷ J. Szczepański, dz. cyt., s. 132.

społecznej w kategoriach przypisywanych w większym stopniu lewicy niż prawicy. Inteligencja, a zwłaszcza inteligencja plebejska ostatniego półwiecza, powstała w okresie szybkiego rozwoju społeczno-gospodarczego, technicznego i kulturowego. Dla formującej się w tych warunkach warstwy zmiana stawała się do pewnego stopnia wartością samą w sobie, wyrażała się w idei postępu. Szlachta ziemiańska była po części uodporniona na lewicowość ze względu na swój związek z gospodarstwem, wspólnotą dworską. Wywodząca się z niej część inteligencji łączyła tradycyjny system wartości, w który wyposażało ją środowisko rodzinne, z misją postępu, jaką narzucała jej nowa sytuacja społeczna. Inteligencja powojenna uważała w swej przytłaczającej części, iż swój awans społeczny zawdzięcza nowym realiom ustrojowym. Kategorie lewicy społecznej były jej większości bliskie niezależnie od stopnia akceptacji nowej władzy politycznej. Nie miała ona oparcia w środowisku pochodzenia, dającym zazwyczaj psychiczną pewność sensu trwania przy wartościach niezmiennych. Związki rodzinne odbierała jako pozainteligenckie. Nie czerpano z nich ideowych treści intelligenckości, lecz ciążyły one nad położeniem społecznym nowej warstwy, niekiedy przeradzając się w kompleksy. Nowa intelligenckość polegała na zakorzenieniu w społeczeństwie nie przez środowisko pochodzenia, lecz przejmowany z książek etos. Dla inteligencji plebejskiej, formującej się w warunkach szybkich zmian społecznych, idea postępu współokreślała jej istnienie, nadawała sens jej odrębności. W porównaniu ze swą poprzedniczką inteligencja powojenna była jeszcze bardziej zapatrzona w przyszłość (i materialną teraźniejszość) niż w przeszłość.

W ciągu ostatniego półwiecza inteligencja zbliżała się coraz bardziej poziomem swego materialnego bytu do środowisk robotniczych. Stąd kompleks materialnego niedostatku i potrzeba manifestacji swej odrębności kulturowej (nadrzędności kulturalnej), chęci bycia lep-

szym. Realia społecznego rodowodu i materialnego bytu zdecydowanie bardziej określały jednak inteligenckie masy niż intelektualno-inteligenckie elity społeczeństwa.

Po wojnie wyznacznikiem warstwowo i indywidualnie traktowanej inteligencji uczyniono formalnie – tworząc kategorię społeczną o nazwie „inteligencja pracująca” – wykształcenie i zawód. Niektóre grupy nowej inteligencji łączyły z jej poprzedniczką głównie trzymane w szafie dyplomy (a przecież nie fachowa wiedza określała specyfikę tej przedwojennej warstwy). Status wyższego wykształcenia był niegdyś (a tym bardziej jest obecnie) słabym elementem więziotwórczym; w większym stopniu jest nim zawód, lecz zawody nie tworzą, a dzielą inteligencję. W różnicującym się środowisku ludzi pracy umysłowej pojawiły się takie dziwolagi pojęciowe, jak np. „inteligencja techniczna”, co świadczy o braku wycucia tradycyjnego pojęcia inteligencji, zgodnie z którym przynależność do grupy inżynierów, medyków bądź nauczycieli nie była ważna dla tego pojęcia, nie określała go i była wobec niego wtórna. Mimo to przyjęcie nowej terminologii wydaje się możliwe – jednakże w tym większym stopniu, im bardziej zaakceptujemy fakt istotnej zmiany treści samego pojęcia inteligencji.

Cechy dawnej inteligencji, w znacznym stopniu warunkowane wielopokoleniową ciągłością trwania pewnego typu kultury, na poziomie jednostki często były odbierane bezrefleksyjnie. Dopiero proces odchodzenia od nich – np. w wyniku degradacji społecznej – naruszający poczucie stabilizacji jednostki w jej wymiarze psychicznym i społecznym, wzbudzał głębsze refleksje. Dla ludzi z awansu społecznego ich nowe, inteligenckie cechy były znacznie częściej przedmiotem samokontroli, były słabiej uwewnętrznione, mniej spontaniczne, a bardziej świadomie (by nie powiedzieć – instrumentalnie) wyrażane. Plebejscy inteligenści, eksponując swą nową, warstwową przynależność, pragnęli proces własnego awansu społecznego wyrazić w wartościach powszechnie zauwa-

żałnych, którymi ich przodkowie nigdy nie dysponowali, a które z pewnością cenili: w dobrach materialnych i posiadanej władzy. Stawały się one wartościami samymi w sobie. Dopiero ich zaspokojenie zwiększało szansę na autentyczne poświęcenie się „służbie publicznej”. To wymagało czasu. Nowa inteligencja była w swych chęciach i poczynaniach rozdarta między ideą „być”, wyznaczającą jej nową przynależność warstwową, a potrzebą „mieć”, której zaspokojenie tworzyło podłoże myślenia o sobie i działania w kategoriach szczytnych haseł.

Powojenne uwarunkowania ustrojowe powodowały, iż wśród wychodźców ze wsi do miast upowszechniała się idea równości, niegdyś głoszona w obrębie stanu szlacheckiego, a traktowana przez socjalizm jako jedno z jego sztandarowych haseł, zanikała chłopska pracowitość, pojęcie godności, honoru. Nowa inteligencja była warstwą wyraźnie mniej aktywną niż dawna, czego przyczyny tkwiły zarówno w jej pochodzeniu (szlachecki aktywizm tradycyjnie przeciwstawiano chłopskiej bierności), jak i w uwarunkowaniach ustrojowych.

* * *

Obecną inteligencję można określić jako zbiorowość pod pewnymi względami pośrednią między dawną inteligencją a istniejącą na Zachodzie klasą umysłową. Z czasem procesy formowania się warstwy intelektualistów – wzorem zachodnim – będą coraz wyraźniejsze, podobnie jak rozbudowywanie się klasy średniej, pochłaniającej znaczną część inteligencji. Dość liczne środowiska ludzi uważających się obecnie za inteligentów można porównać do zbioru w kształcie koła, którego niewielkie jądro skupia relatywnie dość wąskie grono osób, bliskie swoimi cechami inteligencji tradycyjnej, wywodzące się z niej bezpośrednio lub dość dobrze do niej zasymilowane. Przytłaczająca większość pozostałej części koła obejmuje masy ludzi pracy umysłowej, któ-

rych charakteryzuje wraz z oddalaniem się od jądra spadek natężenia cech uznawanych za tradycyjnie inteligentkie oraz zbliżanie się do innych warstw społecznych, wtapianie się w nie. Zatem o coraz silniej różniącej się inteligencji możemy mówić jako o całości jedynie w sensie typologicznym, w praktyce bowiem mamy do czynienia z ciągłością społeczną jej cech, brakiem czy raczej słabością – znacznie dotkliwszą niż przed wojną – bariery, która wyraźnie odgradzałaby tę warstwę od innych. Pojęcie inteligencckości nobilitowało społecznie, było atrakcyjne zwłaszcza w powojennej sytuacji braku burżuazji, arystokracji i zamożnego mieszczaństwa. Tego, kto nie był inteligentem, zaliczano – formalnie – do robotników bądź chłopów. Powojenny mechanizm plebeizacji inteligencji przybrał na tyle masowy zasięg, iż w znacznym stopniu na nowo określił pojęcie tej warstwy. Skupienie się na nim w niniejszych rozważaniach nie znaczy, iż całkowicie zaginęły środowiska dawnej inteligencji. O ile jednak nowa warstwa przejmowała stworzony niegdyś świat wartości za pośrednictwem książek, to środowiska wywodzące się bezpośrednio z inteligencji tradycyjnej podlegały przez kontakty bezpośrednie – z czasem przez wpływ kultury masowej – częściowej asymilacji do kultury większościowych grup ludzi pracy umysłowej (wychodźców z ludu).

Realny socjalizm, mimo modernizacji społeczeństwa polskiego, przedłużył w Polsce myślenie o świecie w kategoriach – przynajmniej po części – tradycyjnych. Osłabił przebijanie się atrakcyjnej, zwłaszcza dla ludu, kultury masowej, niszczącej inteligencję, infantyliczującej kulturę w ogóle. Zjawisko inteligencckości jest zbyt silnie zakorzenione w społeczeństwie polskim, jego kulturze, by zostało szybko wyeliminowane. Zapewne będzie tym dłużej trwało, im słabszy będzie rozwój gospodarczy kraju, im wolniej będą się odbywać przekształcenia struktury społecznej.

Istniejące w społeczeństwie polskim – wyrażane także przez inteligencję – napięcia mają również wyraźne odniesienia kulturowe. To przede wszystkim na poziomie tej warstwy konfrontowane są dostrzegalnie odmienne zespoły wartości: z jednej strony – postszlachecki, z drugiej – ludowy. Także inteligencki, praktyczny elitaryzm zderza się z głoszoną przez tę warstwę ideą egalitaryzmu. Intelligencki (klerkowski) świat słów i druku jest zastępowany plebejskim światem obrazów. Inteligencja zatomizowała się (zgodnie z trendem obejmującym całe społeczeństwo), w zapomnienie odszedł świat salonów, zatem istotnie zmieniły się więzi spajające tę warstwę. Inteligent coraz częściej konfrontuje zalety swego umysłu z komputerem, coraz rzadziej określa swoją inteligenckość przez bezpośrednią, codzienną akceptację grupy. Coraz silniej ciąży na nim rzeczywistość, w której postęp oznacza wulgaryzację luksusu, a idea „końca wieku ideologii” urealnia się w ubóstwie świata idei.

Po 1989 r. w sytuacji wyraźnie odczuwanego braku kompetentnej warstwy politycznej, część jej funkcji próbowali przejąć – do pewnego stopnia z konieczności – intelektualiści (w porównaniu z inteligencją tworzący środowiska bardziej ideotwórcze i zarazem w większym stopniu skłonne do kontestacji). Przenosili oni i przenoszą na grunt polityczny – choć wpływy ich stopniowo maleją – indywidualizm⁸ jako cechę przeciwną do umiejętności działań zespołowych, charakteryzujących nowoczesny menadżeryzm (również polityczny). Kapłanstwo kulturowe próbują nierzadko zamienić na polityczne, formę stawiając niekiedy nad treścią, słowo ponad

⁸ Zarazem P. Hertz zarzucając społeczeństwu polskiemu skłonności egalitarystyczne, pisze nie bez racji: „Niebezpieczne natomiast są przerosty «kolektywizmu» u części elity umysłowej. Wspólne wystąpienia profesorów, artystów i literatów w sprawach, na których się słabo znają, bywają nieraz groteskowe” (*Stary nowy świat. Rozmowa z Pawłem Hertzem*, „Polityka Polska”, nr 3/1990, s. 62).

faktem społecznym. Ideę ponadklasowego solidaryzmu łączą z poczuciem własnej, kulturalnej (intelektualnej) wyższości⁹.

W powoli kształtującej się klasie średniej można wyróżnić dwa nurty środowiskowe: menadżersko-inteligentki oraz bazarowo-plebejski. Ważność dzielących je różnic polega nie tyle na ich odmiennej genealogii społecznej, ile na różnym etosie, w przypadku drugiej grupy dostrzegalnie innym od systemu wartości bliskiego klasie średniej na Zachodzie (o w znacznym stopniu mieszczańskim, a nie bazarowo-plebejskim rodowodzie).

Niniejsze rozważania z konieczności zawierają wiele uproszczeń. Wyraźnie różni się dzisiejsze, niekiedy już trzecie, pokolenie inteligencji powojennej, od pierwszego z końca lat czterdziestych (znacznie łatwiej jest zaakceptować tezę – przyjmując wykształcenie jako kryterium przynależności warstwowej – o inteligencji w trzecim pokoleniu niż w pierwszym). Podkreślenia wymaga również fakt, iż XIX-wiecznym składnikiem tej warstwy była nie tylko szlachta, podobnie jak po wojnie nie tylko warstwy ludowe. Odpowiedź na pytanie: czy jest w Polsce inteligencja? zależy od tego, jakie cechy tej warstwy uznamy za istotne. Wiele z nich zasadniczo się zmieniło po wojnie. Winniśmy być tego świadomi. Ponieważ jednak sam termin „inteligencja” trwa, a odwoływanie się do niego jednostek i całych grup społecznych można oceniać jako na ogół korzystne zjawisko społeczne, nie wydaje się, by istniała potrzeba – spowodowana niespełnieniem scjentystycznych wymogów poprawności stosowania terminu – jego eliminacji z codziennego języka polskiego i świadomości społecznej.

⁹ „Prof. Jadwiga Staniszkis twierdzi, iż: «inteligenci w polityce są drażniący, ale przynajmniej nie mają problemów statusowych. Polskim problemem są półinteligenci w polityce, bo oni stale mają poczucie, że mogą równie dobrze pójść w górę, jak i w dół, więc stale muszą sobie udowadniać, że są ważni, silni, sprawni»” („Polityka”, nr 22, z 29 V 1993, s. 12, rubryka *Polityka i obyczaje*).

Stanisława Grabska

Uwagi o roli inteligencji w Kościele w Polsce

Pojęcie inteligencji jest szerokie i nieostre. Można w nim zmieścić różne nakładające się grupy: ziemian przed wojną, dziś ludzi pracujących w przemyśle czy handlu, o ile mają średnie bodaj wykształcenie. Szczególna rola tej warstwy w Polsce wyrosła z historycznej sytuacji walki o wyzwolenie, gdy duża liczba ludzi wykształconych włączała się w walkę nie tylko i nie głównie zbrojną, ale przede wszystkim kulturową o zachowanie tożsamości narodowej. Inteligencja polska rekrutowała się w dużej mierze ze zubożałej a kształcącej się szlachty (a potem ziemiaństwa), z dążącego do awansu kulturowego mieszczaństwa, a potem coraz częściej i śmielej z warstw ludowych: chłopskiej i robotniczej. Niewątpliwa i dobrze znana jest rola polskiej inteligencji w odzyskiwaniu niepodległości, co najmniej poczynawszy od okresu pozytywizmu i jego idei pójścia w lud. Nie mamy natomiast ani poważnych studiów, ani spójnego obrazu roli tej warstwy w tworzeniu się polskiej religijności. Osobiście uważam, że była to rola dość istotna – bez względu na wszystkie elementy kontrowersji i konfliktów. Najpierw chcę zauważyć, że nie mieliśmy w Polsce wielu wielkich teologów – poza Renesansem i okresem wielkości Uniwersytetu Jagiellońskiego. Natomiast ogromny wpływ na religijność polską mieli pisarze polityczni i poeci. Do zrozumienia religijności polskiej konieczna jest znajomość Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida, a także Wyspiańskiego. Wielką rolę odegrali powieściopisarze: Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa czy Rodziewiczówna... To na kartach powieści i poezji toczyła się walka nie

tylko o kształt polskości, ale i religijności. W tym nurcie (i jakby dalszym jego ciągiem) jest twórczość pisarzy katolickich w okresie dwudziestolecia, wojny i w okresie powojennym: dzieła Kossak-Szczuckiej, Hanny Malewskiej, Gołubiewa, Władysława Jana Grabskiego... Nazwiska przytaczam tytułem przykładu, w celu uświadomienia zjawiska – nie obejmując jego całości. W tymże okresie ważna też była polemika i rozważania o roli społecznej i politycznej Kościoła, w których ścierały się poglądy ludzi lewicy – nieraz wierzących, prawicy nacjonalistycznej (Dmowski), ludowego przywódcy, Witosza, i np. mojego ojca, Stanisława Grabskiego, z jego koncepcją Polski chrześcijańskiej przez demokrację i praworządność, nie zaś przywileje wyznaniowe lub dyskryminację nacjonalistyczną. W latach sprzeciwu wobec władzy komunistycznej inteligencja była podzielona nie na wierzących i niewierzących, lecz na popierających władzę i ulegających ideologii komunistycznej (Pax) oraz na jej przeciwników, m.in. ze środowiska „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku”, „Więzi” i Klubów Inteligencji Katolickiej. Inteligencja katolicka odegrała dużą rolę w tworzeniu środowiska opozycyjnego we współdziałaniu z też opozycyjnymi działaczami lewicowymi i niewierzącymi. Odegrało to dużą rolę w zbliżeniu wielu ludzi lewicy do Kościoła. Równocześnie otwarta postawa tego środowiska do ludzi inaczej myślących i inaczej wierzących (ekumenizm) przyczyniła się do formacji religijnej całego pokolenia wierzącej inteligencji polskiej – ściślej biorąc do pewnej, znaczącej jednak, części tegoż pokolenia. Nie chodzi mi jednak o rysowanie historii tego ruchu (ruch Znak), w którym od jego początku uczestniczyłam i zarówno współformowałam, jak i w nim się formowałam. Niewątpliwie jednak zdobyte w nim doświadczenie jest decydujące dla moich obecnych rozważań i priorytetów w działaniu.

Stawiam sama sobie pytanie: Czy dzisiaj możemy jeszcze mówić o zadaniu inteligencji oddzielnym od

zadania całego ludu Bożego, a w nim ludzi świeckich? Sprecyzujmy, że w Kościele chodzi o inteligenta świeckiego, gdyż ksiądz, jakkolwiek inteligent z racji wykształcenia, z racji kapłaństwa ma rolę specyficzną. Czy więc świecki inteligent ma jakąś szczególną rolę w Kościele i jako chrześcijanin w świecie inną niż człowiek nie wykształcony intelektualnie? Jako chrześcijanin ma on identyczne z innymi powołanie do głoszenia Jezusa Chrystusa życiem i słowem – do zdawania sprawy z nadziei, którą otrzymaliśmy w Jezusie Chrystusie. Jesteśmy wszyscy jako osoby i jako cały Kościół powołani do bycia znakiem jedności ludzi z Bogiem i ludzi między sobą, do współmodlitwy, do współdziałania, do współmiłowania – do potrójnej roli Chrystusowej – kapłańskiej, królewskiej, a zarazem służebnej i proroczej. Chciałabym zauważyć, że przemienianie świata, które jest szczególnym zadaniem świeckich, dzieje się nie tylko w społeczeństwie świeckim na zewnątrz Kościoła, ale także w życiu wspólnoty wiary. Sacrum i profanum przenika się bowiem ustawicznie. Szczególnym miejscem tego przenikania się jest rodzina – będąca równocześnie domowym Kościołem i najmniejszą komórką życia społecznego. Przeżywanie całego życia jako misterium spotkania Boga z ludźmi i ludzi między sobą, jest powołaniem wspólnym księży i świeckich, ludzi wykształconych i niewykształconych. Co jednak jest specyfiką powołania ludzi wykształconych?

Po pierwsze rola ta wynika z otrzymanego wykształcenia. Wiara domaga się i poszukuje zrozumienia. Istnieje więc obowiązek wiary zdobycia wiedzy religijnej na poziomie wykształcenia świeckiego. Wykształcenie religijne powinno być takie, by człowiek świecki mógł w nim znajdować odpowiedzi na nurtujące go pytania. Gdy dobrowolnie zaniedbuje uzupełnianie swej wiedzy o tym, w co jako chrześcijanin wierzy, i pozostaje na poziomie informacji dziecka ze szkoły podstawowej, nieuchronnie prowadzi to do zupełnej niemożności odpowiadania na własne pytania. Albo więc się

ich nie stawia, albo odchodzi od wiary. Tak więc pierwszym zadaniem inteligenta jest stawianie pytań swojej własnej wierze i szukanie na nie odpowiedzi przez pogłębianie wiedzy religijnej. My w Polsce – nawet wśród inteligencji – często mamy bardzo uproszczony i nieprawdziwy obraz tego, co jest intelektualną treścią naszej wiary. Przeżywamy ją uczuciowo, duchowo, ale nie rozumiemy jej treści. Dlatego bywamy podatni na różne propagandy czy to ludzi walczących z religią, czy sekt religijnych. Mało kto u nas jest świadomy wielkich myśli II Soboru Watykańskiego i zmian, jakie on wprowadził, nie w samej wierze, ale w stylu religijności i w stylu uprawiania teologii. Jesteśmy wezwani do tego, by umieć zdawać sprawę z naszej nadziei w Chrystusie każdemu, kto nas o to pyta. Innej odpowiedzi można się domagać od człowieka niewykształconego, a innej – w jej poziomie intelektualnym – od inteligenta. Każdy wierzący chrześcijanin jest teologiem – to znaczy człowiekiem, który myśli o treści Objawienia i swe myśli jakoś wyraża w modlitwie i świadectwie wiary słowem i czynem. Ale szczególnie powołany do dawania tego wyrazu myśli w sformułowaniach słownych jest inteligent. I nie tylko do wyrażania własnych myśli, ale także tych, które poznaje u swoich rozmówców, braci i współwierzących.

Świecki inteligent powinien być pośrednikiem pomiędzy całą społecznością świeckich wiernych a klerem. I to w dwu kierunkach. Pierwszym kierunkiem jest przekaz zdobywanej wiedzy. Otrzymuje ją od teologów-księży, a dziś już także od świeckich teologów i myślicieli chrześcijańskich. Jest rzeczą chrześcijan świeckich występować z inicjatywą organizowania kształcenia religijnego w parafiach i uczestniczenia, w miarę swych kompetencji, w takim kształceniu. Potrzebujemy oprócz katechetów i katechetek dla młodzieży znacznej liczby wykładowców i informatorów religijnych dla duszpasterstwa dorosłych i ich dokształcania religijnego czy to w czasopiśmie i książkach, czy przez różne kursy etyki

społecznej, teologii, znajomości Pisma Świętego. W tym przekazie wiedzy religijnej szczególną rolę świeckich jest znajdowanie wspólnego języka ze świeckimi uczestnikami kształcenia. Pamiętam rozmowę, w której niewykształcona kobieta powiedziała mi, że jej córka jest już wykształcona, ona sama słucha różnych pogadanek radiowych, więc prosi, by jej wyjaśnić, co to jest niebo, piekło i dusza ludzka, ale nie tak, jak się słyszy w kościele: „bądźcie dobrzy, by dusza wasza poszła do nieba”, ale jak rozumieją to inteligenci. Ta rozmowa uświadomiła mi, że ksiądz mówiąc językiem fachowej teologii liczy na zrozumienie słuchaczy, gdy tymczasem oni nie pojmują już w warstwie pojęciowej. Potrzeba więc umiętności tłumaczenia teologii podręcznikowej, tradycyjnej, na język pojęć i obrazów branych z życia codziennego ludzi świeckich. W drugim kierunku rzecz się zaczyna od słuchania swoich współwierzących świeckich: kolegów, rodziny, znajomych, współparafian... ludzi, z którymi się spotykamy i rozmawiamy. Problemy wiary i życia chrześcijańskiego, które poznajemy i uznajemy za istotne, możemy i winniśmy ujawniać, dawać głos temu czego niesłyszą duszpasterze, księża i biskupi czy wykładowcy teologii. Powinniśmy jako inteligenci umieć formułować pytania, wątpliwości, troski, pretensje społeczności wiary, ale także jej doświadczenia pozytywne, jej rozumienie wiary i etyki, tęsknoty i nadzieje. Dzięki takiemu przekazowi w górę teologia uniwersytecka tudzież głoszenie wiary w homiliach i kazaniach mogą się stać bardziej zrozumiałe i bliższe prawdziwym problemom, którymi żyje cała społeczność wiary, jaką jest Kościół. Niektórzy tylko spośród wykształconych wierzących świeckich są powołani do zawodowego uprawiania teologii. Jako taki właśnie teolog uważam, że jestem w sposób szczególny zobowiązana do refleksji teologicznej, dążącej do rozumienia wiary z punktu widzenia przeżywania jej przez człowieka świeckiego, a więc ujawniania w teologii owego miejsca teologicznego, jakim jest świat, a w nim spotkanie z bliźnim w mi-

łości, która pochodzi od Boga. Jestem szczególnie zobowiązana do dawania wyrazu pytaniom ludzi świeckich i szukania na nie odpowiedzi zgodnych z tradycją wiary, ale też ze znajomością całej jej odnowy, i szukania nowych sposobów jej rozumienia. Teologia uprawiana przez świeckich musi się rodzić z dialogu z bliźnimi, przemyślanego w świetle Pisma Świętego wciąż czytanego i medytowanego, znajomości dokumentów Magisterium i dzieł teologów i z modlitwy osobistej. Ważna też jest znajomość kultury swego czasu, by mówić tym językiem, który ma w niej zakorzenienie i jest powszechnie zrozumiały. Aby teolog zawodowy mógł spełniać swą rolę, trzeba, by wspólnoty świeckich – różne grupy – współtworzyły myśl teologiczną i dawały w niej wyraz własnemu przeżyciu wiary. Każdy więc jest i powinien być twórczym teologiem. Znakiem nadziei jest to, że rolę świeckich teologów w kulturze zaczynają doceniać świeckie uniwersytety w Polsce, proszące ich o różne wykłady. Natomiast chyba z rzadka jest ona doceniana przez księży i budzi wśród nich więcej obaw niż nadziei.

Pozostawiając na boku specyficzną rolę teologów świeckich powróćmy do roli całej inteligencji w formowaniu typu religijności w Polsce. Wydaje się, że stoimy na pewnym zakręcie, na którym proponuje się nam ze strony świeckich działaczy chrześcijańskich – w tym politycznych – rozbieżne modele religijności. Jeden z nich to model Polaka-katolika, charakteryzujący się tradycyjną teologią, nieznaną II Soboru Watykańskiego, poza pewnymi elementami etyki społecznej Kościoła, wybranymi w zgodzie z ideologią Polaka-katolika, tradycyjną ortodoksją i dość zamkniętą tak na dialog ekumeniczny jak i na prawo do osobistego rozumienia wiary oraz zamknięciem nacjonalistycznym, z nieufnością, jeśli nie wrogością wobec innych narodów. Innym skrajnym modelem jest chrześcijanin liberal gospodarczy, wprowadzie otwarty ekumenicznie i na kontakty z innymi narodami, ale nieraz wybiórczo inter-

pretujący encykliki społeczne i nie doceniający wezwań papieża do solidarności społecznej. Trzeci skrajny model to zamykanie się w samej pobożności i ucieczka od wszelkich problemów ekonomicznych i społecznych, z wyjątkiem dzieł charytatywnych. Jest też obecna w naszym życiu propozycja zaangażowania społecznego i politycznego chrześcijan we współpracy z ludźmi niewierzącymi w tym wszystkim, w czym jesteśmy z nimi zgodni co do określonego celu – np. partii politycznej, mającej określony program wspólny i zostawiającej wolność w problemach różnicy wiary czy ideologii. Ta propozycja polityczna łączy się zwykle z dużą otwartością na działania ekumeniczne oraz pojednanie międzynarodowe i uwrażliwieniem na demokrację i prawa człowieka. Zaznaczam tu tylko kilka różnych propozycji – gdyby ująć typy pośrednie, będzie ich dużo więcej.

Osobiście uważam, że rolą ruchu Klubów Inteligencji Katolickiej jest budowanie społeczeństwa polskiego i w nim Kościoła w Polsce mądrego i otwartego. Sądzę, że rolą szczególną naszego ruchu jest dialog i umiejętność rozwiązywania wielu spraw i sprzeczności przez dialog. Natomiast opieranie ortodoksji chrześcijańskiej nie na rozumieniu Objawienia, rozumieniu Pisma Świętego i wezwania Ewangelii Jezusa Chrystusa, lecz na samym posłuszeństwie tradycji wiary i Magisterium („samym”, a nie „także”) uważam za istotne niebezpieczeństwo. Prowadziłoby to bowiem najpierw do skostnienia, a w rezultacie do odchodzenia od wiary wszystkich, którzy by się z takim jej modelem nie mogli pogodzić. Sądzę, że rolą inteligenta nie jest zwieranie szeregów i zamykanie dróg dialogu, lecz przeciwnie – otwieranie drzwi, pogłębianie wiary, ale i poszerzanie horyzontów oraz kręgu ludzi rozmawiających przyjaźnie z ludźmi należącymi do Kościoła i świadczącymi o Jezusie Chrystusie. Nie mogę jednak odmówić tym, którzy swą rolę pojmują inaczej i bardziej „obronnie”, prawa do takiego pełnienia ich misji apostołskiej, jakie uważają w sumieniu za słuszne. Ufam, że Bóg potrafi ze splata-

nia się różnych i czasem sprzecznych działań ludzi dobrej woli i szczerze wierzących wyprowadzić wspólne dobro równoczesnego pogłębienia wiary i jej otwarcia, ortodoksji i ekumenizmu. Rola inteligencji świeckiej polega być może na tym, by była ona tygłem, w którym te różne modele i wpływy się wzajemnie ścierają i uzupełniają oraz korygują. Jedynym warunkiem jest to, by było to ścieranie się autentycznych przekonań o dobru Kościoła i ludzi w naszym kraju, a nie manipulowanie religią dla korzyści politycznych, nawet najszlachetniej pomyślanych, jako korzyść polityczna kraju.

Kościół w Polsce stoi dziś wobec wielu wyzwań – wielu spotkań z trudnymi problemami. Jednym z nich są pozostałości myślenia marksistowskiego, przypisującego instytucji Kościoła i klerowi intencje polityczne. Ten punkt widzenia dzieli do dziś wielu polityków niewierzących i formułują oni tego typu oskarżenia. Wywołuje to ostre reakcje kleru i działaczy katolickich, ale wpływa na społeczeństwo i na różne obiegowe opinie. Mądre przeciwstawienie się temu trendowi wymaga z jednej strony umiejętności dialogu, z drugiej – świadectwa życia – różnych inicjatyw charytatywnych i bezinteresownego działania tych, którzy mienią się chrześcijanami i chlubią przynależnością do Kościoła. Na tym działaniu, a szczególnie na umiejętności dialogu polega niezastąpiona rola inteligencji.

Innym wyzwaniem jest napływ masowej kultury zachodniej z jej pokusami bożka dobrobytu, znieczulicy społecznej, zachłyśnięcia dążeniem do bogacenia się, biernością kulturową przed telewizorem, pornografią i ubóstwieniem seksu itp. Rzecz w tym, by rozumnie oddzielić to, co jest pokusą, od tego, co jest do przyjęcia i do przeżycia jako teologiczne miejsce spotkania z Bogiem. Wyzwanie, które niosą te trendy, domaga się propozycji równie atrakcyjnych, ale chrześcijańskich. Potrzebujemy wypracowywania modelu chrześcijańskiego przedsiębiorcy. Na Zachodzie istnieją odpowiednie wzory i stowarzyszenia. Należałoby u nas takie stowa-

rzyszenia tworzyć i rozszerzać. Potrzebujemy szerokiego upowszechnienia nauki społecznej Kościoła nie tylko wśród przedsiębiorców i handlowców, ale także wśród pracowników i działaczy związkowych oraz samorządowych i politycznych. W takim upowszechnianiu i przekładaniu na konkret pracy nad kształtem życia gospodarczego, społecznego i politycznego w Polsce oczywista jest rola fachowców we wszystkich tych dziedzinach – a więc ich rola jako chrześcijan i inteligentów.

Wyzwaniem dla społeczeństwa polskiego i Kościoła jest propozycja absolutnej swobody seksualnej. Nieskuteczna byłaby odpowiedź przez zakazy i potępienie. Trzeba tu mądrej rozmowy wychowawczej i mądrej propozycji pozytywnej takiego przeżywania seksualności ludzkiej i jej radości, w której samo współżycie seksualne jest spotkaniem osobowym z drugim człowiekiem i z Bogiem. Potrzebujemy więc mądrego programu wychowania do rodziny i w rodzinie. Tymczasem poziom umiejętności wychowawczych w Polsce jest dość niski i niezbędna jest ogromna praca formacyjna w parafiach, ruchach rodzin, na spotkaniach małżeńskich, w grupach młodzieży... Potrzebna jest taka praca od podstaw na rzecz wychowania do rodziny i w rodzinie, jaką nasi pradziadkowie podjęli w celu obudzenia narodowego warstw ludowych. I w tym działaniu też nikt nie zastąpi świeckich wykształconych działaczy – wykształconych, a więc z inteligencji.

Wyzwaniem są takie ruchy jak New Age – amerykański ruch tworzący konglomerat wpływów religii Wschodu, wiary w kosmitów i dobrych dążeń do pokoju i ocalenia naszego rujnowanego środowiska. Odpowiedzią chrześcijańską winna być znacznie większa obecność ekologii w życiu parafii i w szkołach, w całym wychowaniu. Liderami chrześcijańskiego ruchu ekologicznego muszą być inteligenci, odznaczający się fachowością w dziedzinie ekologii i zarazem znajomością chrześcijańskiej wizji świata stworzonego, chrześcijańskiej teologii ekologicznej. Ruch taki już istnieje – m.in. francisz-

kański, ale powinien on znacznie się rozbudować i przeniknąć do parafii i do szkół, do których, nawiasem mówiąc, przenikają pozachrześcijańskie ruchy ekologiczne.

Jedną z propozycji społeczeństw konsumpcyjnych Zachodu jest ucieczka przed obowiązkiem opieki nad bliźnimi i takie traktowanie wartości ich życia, że się je ocenia wedle przydatności lub przyjemności. Stąd upowszechnienie się uznawania prawa kobiet do decyzji o życiu ich nie narodzonego dziecka, zależnie od arbitralnej woli i od rokowań, jakie dają badania prenatalne, lub od sytuacji życiowej. Podobnie z żądaniami prawa do eutanazji. Jest rzeczą nas wszystkich, ale szczególnie inteligencji, przetwarzać mentalność otoczenia i formułować przeciwną, a głoszoną przez Jana Pawła II, ideę absolutnego prawa do życia i do szacunku dla każdej istoty ludzkiej. Jest też sprawą całego Kościoła – ale inteligencja winna tu też inicjować wiele działań, z racji różnych kompetencji – dawać dostateczną opiekę wszystkim kobietom spodziewającym się dziecka, tak w postaci społecznej akceptacji pracy, domów matki i dziecka, pomocy ekonomicznej, pomocy w zdobywaniu mieszkań itp., jak i ruchu adopcyjnego – aby nie można było w dobrej woli powoływać się na obecnie istniejące sytuacje skrajne społecznie i ekonomicznie, skłaniające kobiety do aborcji. Do inteligencji należy też rozwijanie ruchu uświadamiania w tej dziedzinie tak w poradniach jak przez odpowiednie publikacje. Ta pomoc i ruch uświadamiający istnieją – ale wciąż są niezadowolające. Do działaczy prawnych i politycznych natomiast należy wypracowywanie odpowiedniego ustawodawstwa prorodzinnego i opiekuńczego oraz adopcyjnego.

Innym wyzwaniem współczesnego świata jest w naszej części Europy, nie tylko w tzw. Trzecim Świecie, wzrost nacjonalizmów w połączeniu ze wzrostem agresji młodych szczególnie działaczy i grup szowinistycznych. Znowu odpowiedź należy do całego Kościoła, ale niewątpliwa jest tu rola chrześcijan – w tym polityków oraz

wychowawców. Nacjonalizm bywa skutkiem wychowywania i manipulacji i wykorzystuje agresję rodzącą się z zupełnie innych przyczyn. Sama agresja ma też inne źródła niż ideologie, pod którymi występuje. Sądzę, iż bierze się ona mniej z np. oglądania agresywnych programów telewizyjnych, a więcej ze stosunków rodzinnych pełnych agresji – szczególnie w rodzinach alkoholików, lecz także w wielu niby normalnych rodzinach, zagonionych w zdobywaniu dobrobytu, obojętnych dla dzieci lub używających pasa jako argumentu wychowawczego. Toteż przeciwstawienie się groźnym zjawiskom agresji i nacjonalizmu wymaga mądrej diagnozy i wielokierunkowej pracy – od budowania świadomości politycznej po pracę od podstaw budowania rodziny chrześcijańskiej.

Kolejnym wyzwaniem jest amerykanizacja kultury, a także – i co gorsza – jej spłykanie i swoiste schamienie. Szczególnym zadaniem inteligencji wierzącej, chrześcijańskiej, jest budowanie wartościowej kultury polskiej, wyrastającej z przeżycia Ewangelii i takiego przeżywania spotkania z drugim człowiekiem, w którym wyraża się wezwanie Ewangelii do radykalnej miłości i zwyciężania zła dobrem. Nikt z chrześcijan nie jest wolny od tego obowiązku – bodaj w ramach własnego domu i miejsca pracy – poczyną się on bowiem od kultury codziennego życia i codziennego obyczaju. Ale szczególna odpowiedzialność spoczywa na twórcach dzieł sztuki i kultury i na tych, którzy je przekazują. W ten nurt zadań wpisuje się sprawa korzystania ze środków przekazu, takich jak czasopisma, radio i telewizja. Wiadomo, że łatwiej jest tworzyć czarne charaktery niż wzięte z normalnego życia lub świetliste, łatwiej epatować makabrą niż opowiadać o tym co dobre w naszym życiu. To drugie jest trudniejsze do ujęcia artystycznego. Ale nie jest niemożliwe. Wystarczy wskazać na niezmienną popularność „Ani z Zielonego Wzgórza”, „Kubusia Puchatka”, „Muminków”, nie mówiąc już o wielkich i poważnych dziełach literackich adresowa-

nych do dorosłych. Okres komunizmu stworzył ostry podział na enklawę pisarzy katolickich z limitowanymi nakładami książek i literaturę nie zawierającą żadnych odniesień do życia religijnego – wypraną z kultury religijnej. Dzisiaj mamy prawo obecności w całej kulturze i w całej twórczości jako twórcy, którzy są ludźmi religijnymi i dają wyraz całemu swemu przeżywaniu świata – wraz z aspektem religijnym i etycznym. Nie chodzi o to, by tworzyć getta kultury religijnej, lecz o to, by religijny i chrześcijański aspekt był obecny w całej kulturze wedle tego, jak jest przeżywany przez poszczególnych jej twórców. Nie chodzi o to, by go narzucać, tak jak komuniści narzucali swój system wartości, ale by go uobecnić przez twórczość wierzących. Twórczość jest zawsze jakimś świadectwem. Świadectwo to nie może być wypracowaniem na zadany temat, ale musi wypływać z wnętrza twórcy. Twórca niewierzący ma prawo do swojej wizji świata i jej ujawniania, a wierzący do swojej. Kultura ludzka tworzy się ze splotu tych różnych świadectw. Nie budują jej, a przynajmniej nie budują jej dobrze, ideologowie (także religijni), lecz świadkowie, których dzieła są zgodne z ich wnętrzem i przeżywaniem. Temat – także temat religijny – tylko wtedy staje się takim świadectwem, gdy jest uwewnętrzniony i tryska z twórcy jak ze źródła. O ile szczególnym zadaniem świeckich jest przeżywanie świata jako teologicznego miejsca działania Boga w historii i w każdym z nas, to szczególnym zadaniem twórcy chrześcijańskiego jest takie ukazywanie tego, świeckiego także, świata, jakie z jego świeckiego i religijnego doświadczenia wynika.

Przyznam tutaj, że miałam negatywne zdanie o ustawie narzucającej radiu i telewizji obowiązek uznawania wartości chrześcijańskich. A to dlatego, że kultury nie tworzy się nakazami i zakazami. Nie jest ona sprawą polityków, lecz twórców. Polityk ma tylko czuwać nad wolnością tworzenia i manifestowania ludzkich idei. A jeśli prawo ma stanowić o barierach, to tylko takich,

które zakazują destrukcji i bronią praw innych do szacunku dla ich poglądów i uczuć – religijnych, narodowych czy po prostu ludzkich.

Tak Kościół w Polsce jak i całe społeczeństwo polskie potrzebuje fachowych, mądrych twórców i odtwórców dzieł kultury. Niestety w epoce komunistycznej zagarniano prawo do fachowego kształcenia dziennikarzy, radiowców, specjalistów w telewizji dla członków partii. Dlatego obecnie cierpimy na brak ludzi fachowo wykształconych w tych dziedzinach, a wierzących w Jezusa Chrystusa i Ewangelię. Radiostacjom katolickim brakuje fachowców, którzy by potrafili audycje uczynić atrakcyjnymi nie tylko dla chorych i starszych, cieszących się możliwością wspólnej modlitwy, ale i dla młodzieży, bardzo potrzebującej naprawdę interesujących propozycji. W świeckich czasopismach i radiostacjach oraz stacjach telewizyjnych przeważają wciąż jeszcze fachowcy niewierzący – i często dają temu wyraz. Nie wystarczy oburzać się na ich tendencje czy to antykościelne, czy propagujące wolność seksualną i kulturę konsumpcyjną. Trzeba pilnie otworzyć studia odpowiednie dla ludzi wierzących – wykształcić fachowców-chrześcijan. Podobnie – choć znacznie lepiej – dzieje się w szkolnictwie: lepiej, gdyż mniejszy tam był nacisk i po prostu nie dało się ze szkoły wykluczyć nauczycieli wierzących.

Innym wyzwaniem jest sytuacja zbiednienia ogromnej liczby ludzi w naszym kraju i innych krajach postkomunistycznych. Kościół dzisiaj jest szczególnie wezwany do diakonii, do tworzenia solidarnej pomocy ubogim ekonomicznie we własnym kraju i niesienia pomocy krajom sąsiednim. Jest to zadanie nie tylko inteligencji, lecz całego Kościoła i całego społeczeństwa. Nie może jednak w tym działaniu zabraknąć także inteligencji z jej fachowym przygotowaniem do prac organizacyjnych i popularyzacyjnych, lekarzy i całej służby zdrowia, prawników, a także zaangażowanych ludzi zamożnych, mogących wspierać finansowo różne działania.

Zapytajmy wreszcie o rolę polityków. Odpowiedź na to pytanie zależy od odpowiedzi na inne: Jak się ma objawiać obecność chrześcijaństwa i Kościołów chrześcijańskich w życiu publicznym? Czy chodzi nam o tworzenie państwa prawa, w którym każda religia miałaby takie same prawa (w tym prawo do wychowania dzieci rodziców religijnych w ich wierze, a potem prawo dziecka do wyboru wiary i wychowania w danej wierze lub ideologii), czy też o państwo, w którym religia większości obywateli miałaby szczególne prawa i szczególnie wpływ na życie publiczne? W pierwszym przypadku możliwy jest dialog i dochodzenie do kompromisów z bojącymi się wpływu Kościoła. W drugim – konieczna jest ostra konfrontacja. Czy prawo państwowe ma się opierać na etosie chrześcijańskim, czy tylko na możliwym do wspólnego uznawania etosie humanistycznym? Czy polityk winien tworzyć partię chrześcijańską jako swoiste lobby takiej organizacji życia, która by odpowiadała wierze i etyce chrześcijańskiej, czy raczej współdziałać z niewierzącymi i wносить własny wkład w wypracowywanie etosu humanistycznego? Politycy nie działają w próżni społecznej – do wszystkich obywateli, a szczególnie do chrześcijan świeckich, należy odpowiedź na te pytania i wybranie pewnych preferencji i granic, w których różnice ujęć i programów będą mogły się stać komplementarne i tworzyć pluralizm postaw i programów. Magisterium Kościoła określiło już swe stanowisko, uznając autonomię dwu organizmów – świeckiego państwa i religijnego organizmu Kościoła – a zarazem potrzebę współpracy dla dobra wspólnego. Wewnątrz tego określenia mogą występować różne ujęcia tego, jak się mają przenikać te społeczności i jak się ma kształtować współdziałanie. W Polsce wyraża się to w dyskusji na temat ustawy o ochronie życia poczętego i konkordatu, w tym na temat nauczania religii w szkołach i prawa do zawierania przez katolików ślubu kościelnego ze skutkiem prawnym cywilnym. Niewątpliwie do inteligencji katolickiej należy branie udziału

w tych dyskusjach i prowadzenie dialogu wyjaśniającego postawę Magisterium Kościoła oraz skutki prawne i życiowe danych ustaw. Dopuszczalna powinna być też różnica zdań wewnątrz Kościoła i wewnątrzkościelna dyskusja np. o prawnych koncepcjach ochrony poczętego życia i karalności lub nie oraz zakresu opiekuńczości, do której powinno być zobowiązane państwo i społeczeństwo, dyskusja w sprawie nauczania religii, zawierania małżeństw itp. Nie powinno być tak, że katolicy zgłaszający własne wątpliwości są traktowani jak odszczepieńcy od wiary. Sądzę, że zawsze należy podejmować dialog i dyskusję na argumenty tak wewnątrz Kościoła jak i w spotkaniu z niewierzącymi o innej ideologii lub inaczej wierzącymi w tego samego Boga. Inteligencja jako warstwa powinna stanowić pewien tygiel myślenia i dyskutowania oraz dochodzenia do wspólnych opinii i postaw. Jeśli winna być takim tygłem i stwarzać obszar rozmowy, to nie dla samej siebie i nie z samą sobą, ale otwarty na wszystkie warstwy społeczne. Może się to dziać szczególnie w parafiach, w ruchach chrześcijańskich i w klubach, działających na własnym, świeckim terenie, ale nie będących partiami politycznymi, oraz na łamach czasopism, w radiu i telewizji.

Wymieniłam tu niektóre tylko wyzwania i zapotrzebowania życia społecznego i kościelnego, w których aktywna rola świeckich inteligentów jest niezbędna. Ale zaangażowanie poszczególnych osób nie dotyczy wszystkich możliwych pól. Warto tu przypomnieć 12. rozdział pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian. Każdy chrześcijanin ma własne dary Ducha Świętego i własne kompetencje. Jeden jest Bóg, jeden Pan – Jezus Chrystus, i jeden Duch Święty – ale Duch udziela każdemu, jak chce, po to, abyśmy się wymieniali darami, służąc sobie wzajemnie. Nie ma jednego powołania świeckich ani jednego powołania inteligencji. Z racji kompetencji i z racji daru poszczególne osoby angażują się w te dziedziny, na których się znają i w których

mogą działać skutecznie, do których czują się powołane. Wspólną podstawą musi być ustawiczny proces wewnętrzny pogłębiania wiary i jej rozumienia oraz pogłębiania miłości Boga i bliźniego. Prawda i miłość są bowiem nierozłączne. Sama prawda bez miłości staje się kłamstwem, a miłość bez prawdy – egoizmem. Wspólne zadanie świeckich i księży, ludzi niewysoko wykształconych i profesorów uniwersytetów, polega na dążeniu do prawdy i miłości i na wierze, która przez miłość działa tworząc obszar międzyludzkiej solidarności. Udział inteligencji w tym stawaniu się chrześcijanami winien być naznaczony szczególnym wysiłkiem rozumienia wiary (wiary szukającej zrozumienia) i rozumienia każdego człowieka – każdy bowiem jest siostrą lub bratem w Chrystusie i sakramentem Bożej dla nas obecności.

Tęsknota i głód

pod red. Mirosława Paciuszkiewicza SJ

ss. 256, cena 38 000 zł

Książka o trudnym problemie rozwodów i małżeństw nie-sakramentalnych. Znajdujemy w niej opinie osób żyjących w takich związkach, wypowiedzi teologów i duszpasterzy wskazujących na możliwe drogi wychodzenia z tych trudnych sytuacji, fragmenty dokumentów Kościoła dotyczących omawianych zagadnień oraz wybrane teksty Pisma Świętego.

Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym.
Zamówienia prosimy kierować pod adresem:

Oficyna Przeglądu Powszechnego, ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa

Nie jestem człowiekiem dwóch kultur

Z Aleksandrem Jordanem Lutosławskim,
tłumaczem i publicystą,
rozmawia Aleksandra Ziółkowska

— Przypomnijmy postać Pana sławnego ojca, Wincentego Lutosławskiego, filozofa, badacza Platona, autora wielu książek, m.in. wydanego w języku angielskim w Londynie w 1879 r. dzieła, które w ostatnich latach było dwukrotnie wznowiane w Anglii. Wincenty Lutosławski, pisarz, publicysta, działacz społeczno-polityczny, profesor uniwersytetu wileńskiego. Jakże były jego ostatnie lata?

— Ostatnie lata spędził w Krakowie, gdzie mieszkał od 1934 r. Doświadczenia powojenne były dla niego smutne. W swoich powojennych notatkach pisał: „Ucisk bolszewicki gorszy niż za Niemców, zostałem po raz pierwszy wyrzucony z mieszkania”. Zmarł 28 XII 1954 r. Ostatnie lata jego życia miały w żalonych rozczerowaniach, wspomnieniach przeszłości, kłopotach ze zdrowiem. Znany historyk i filozof, Adam Zółtowski, w czasie wojny i w okresie powojennym profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie, pisał po jego zgonie na łamach londyńskich „Wiadomości”, że wieść o śmierci „Wincentego Lutosławskiego podana przez prasę także angielską, przypomniła zapewne jeszcze pewnej liczbie emigrantów polskich człowieka jednego z najniezwykłych, jakich spotkali w życiu”.

— Pana ojciec urodził się w 1863 r. w Warszawie. Miał niezwykle życie, które zresztą opisał w książce „Jeden krótki żywot”. Po studiach chemicznych na Politechnice w Rydze studiował literaturę i filozofię w Dorpacie (obecnie Tartu w Estonii)

i w Paryżu. Doktoryzował się na uniwersytecie w Helsingfors na podstawie rozprawy w języku niemieckim. I wojna zaskoczyła go w Szwajcarii, gdzie mieszkał z drugą żoną, Wandą Pieszyską (pierwsza, Sofija Casanova, była hiszpańską poetką) i synem, właśnie Panem. Interesującym okresem jego życia był pobyt w Paryżu w latach 1917 i 1919 oraz uczestnictwo w pracach Polskiego Biura Prac Kongresowych – znając doskonale angielski redagował opracowania rozdawane dyplomatom oraz rozsyłane po świecie. Pisał w nich o sprawach polskich, m.in. o Prusach Wschodnich i bolszewizmie. Od 1920 r. wykładał filozofię na uniwersytecie wileńskim, jednocześnie objeżdżał Polskę z odczytami. Wcześniej, jeszcze przed wojną, mówił o Polsce wykreślonej wówczas z map Europy w swoich licznych wykładach zagranicznych, zwłaszcza w USA w 1907 i 1908 r. Pod wpływem filozofii W. Lutostawskiego pozostawało wielu wybitnych ludzi. Czy może ich Pan przypomnieć?

— Dość wspomnieć Stanisława Przybyszewskiego, Stanisława Pigonia, Juliusza Osterwę czy też reminiscencje postaci Lutostawskiego w „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego.

— *W rodzinnym dworze Lutostawskich w Drozdowie koło Łomży powstało muzeum Lutostawskich. W Krakowie powstała Fundacja im. Wincentego Lutostawskiego. Jakie są jej zadania?*

— Mam nadzieję, że Fundacja pomoże wydać biografię mego ojca: „Jeden krótki żywot”, a także wznowi niektóre z jego książek, np. „Jak rośnie dobrobyt”. Tutaj, w Stanach chciałbym wznowić jego „Plato's Logic” i „Pre-existence and Reincarnation”.

— *Jakie są Pana rodzinne strony?*

— Rodzinne strony to dolina rzeki Arve, która łączy się w Genewie z rzeką Rhone. Ojciec pisał już przed 1911 r. o nieuniknionej wojnie światowej. Wyciągnął z tego wniosek praktyczny – Polska będzie polem bitwy i lepiej się jej przysłużyć gdzie indziej. Znalazł takie miejsce w Szwajcarii, bo jasne było, że Niemcy pójdą drogą na Paryż. Chateau Barby to był piękny

stary dom z widokiem na rzekę w dole i zamek krzyżowców, Faucigny, wyżej, na górze. W jasny dzień widać było biały szczyt Mont Blanc. Do Genewy ojciec jeździł na rowerze. Tam się urodziłem i tam spędziłem pierwsze 8 lat. Odwrotnie niż w dworach polskich mówiło się tam po polsku, żeby służba nie rozumiała, zaś po francusku, kiedy nie było sekretów. W niedzielę można było pojechać do Chamonix, gdzie rodzice pozwalali mi biegać po lodowcu.

— *W domu Państwa przewijało się wielu znakomitych ludzi. Zarówno w Szwajcarii jak i potem, we Francji.*

— Odwiedzaliśmy czasem państwa Paderewskich i jakoby siadywałem na kolanach pana Ignacego. W domu zawsze było pełno młodych Polaków – żołnierzy na urlopie – bo wojna już wybuchła. Pod koniec wojny rodzice przenieśli się do Paryża, gdzie przygotowywał się przyszły pokój. Ojciec należał do delegacji polskiej, której służył swoją doskonałą znajomością angielskiego, bowiem decydującą rolę odgrywały delegacje USA i Anglii. Przyjaciółmi ojca i naszymi stałymi gośćmi byli Roman Dmowski i geograf Romer. Rozpocząłem wówczas naukę w Ecole Infantine du Boulevard Raspail, przedszkolu francuskim. Bywaliśmy też często w studiu Olgi Boznańskiej na Montparnasse. Malowała ojca wiele razy i mnie też. Niestety, nie mam tych obrazów, które dzisiaj są warte olbrzymie sumy.

Rodzice uważali, że dzieci nie należy przedwcześnie pchać do nauki, ale zdumieli się, że mając 4 lata czytam gazety, chociaż mnie nie uczyli czytania. Nauczyłem się czytać z plakatów i ogłoszeń na ulicy, oczywiście po francusku, po polsku jeszcze nie umiałem, choć w domu mówiliśmy po polsku.

— *Z Paryża przenieśliście się całą rodziną do Wilna. Jak Pan zapamiętał ten okres?*

— Pamiętam, jak z zapartym tchem czytaliśmy wiadomości o przebiegu wojny 1920 r. Ojciec przysiągł, że gdy Polska odzyska niepodległość, to do niej powróci. Dotrzymał słowa. Otrzymał katedrę filozofii na Uniwersytecie Batorego w Wilnie.

Wilno po Paryżu był to skok niemały. Mnie zapisano do gimnazjum im. Batorego. Uczniem był tam też nieco starszy Czesław Miłosz. Kiedy miałem 12 lat, ojciec sprowadził z Londynu nauczycielkę, która zamieszkała z nami. W szkole uczyłem się po polsku, w domu – po angielsku. Ojciec także jeździł ze mną do licznych polskich dworów, przewidując zapewne, że nie zobaczę ich później.

— *Jak Pan spędził lata młodości?*

— Maturę zdałem mając 17 lat i nie czekając na rozdanie dyplomów wyjechałem do Londynu, gdzie ojciec załatwił mi praktykę letnią w charakterze sekretarza PAT-a. Korespondentem był Litauer wysłany do Londynu, kiedy polska „Dwójka” odkryła, że był sowieckim agentem. Mianowanie go na korespondenta było dziwną nagrodą za zdradę. Znałem angielski o wiele lepiej od niego, wysyłałem codziennie depesze do Warszawy i stawiałem pierwsze kroki dziennikarskie w dzielnicy prasy – Fleet Street. Z końcem lata wyjechałem do Paryża na stypendium bodaj wówczas najlepszej w świecie szkoły – Ecole des Sciences Politiques. „Sciences Po”, jak się ta szkoła nazywa w języku potocznym, była bardzo blisko Boulevard Raspail. Była to wówczas elitarna szkoła prywatna, której uczniowie mieli zapewnione najwyższe stanowiska we Francji. Mieszkalem w Dzielnicy Łacińskiej, jakże odmiennej od dzisiejszej. Jednocześnie studiowałem na wydziale prawa uniwersytetu paryskiego. Można to było robić, bowiem wystarczyło zdawać egzaminy, obecność na wykładach nie była wymagana. Po 3 latach uzyskałem dyplom i otrzymałem przydział do ambasady w Londynie. Dojeżdżałem stale do Paryża kończąc kurs prawa. Kolejnym miejscem była Warszawa, gdzie oprócz MSZ pracowałem dla Agencji Express, która zajmowała się rozsyłaniem po angielsku wiadomości z Polski.

— *Jak na tak młodego człowieka miał Pan niezwykle możliwości: dobrą sytuację finansową, kontakty, wspaniały start w zawodzie. Był Pan w ekipie min. Becka tuż przed wybuchem wojny, prawda?*

— Należałem do ekipy min. Becka, kiedy w kwietniu 1939 r. pojechał do Londynu. Moim zadaniem było codzienne nadawanie sprawozdań radiowych o przebiegu rokowań, które były dla Polski bardzo ważne. Słuchał ich cały kraj i mój głos potem rozpoznawano.

Moja sytuacja finansowa pozwoliła mi nie tylko na posiadanie ładnego samochodu, ale i na nabycie parceli (koło Okęcia, gdzie jest obecnie lotnisko), które potraciłem po wojnie. Miałem wiele kontaktów towarzyskich, m.in. z radcą ambasady brytyjskiej i jego żoną, państwem Norton. Clifford Norton był absolwentem Oxfordu, jego żona nazywana „Peter” była dyrektorką agencji reklamowej w Londynie. W ich domu bywali wszyscy dyplomaci i polska elita. Wiosną 1939 r. pojechaliśmy do Berlina na wycieczkę. Zapamiętałem Berlin w przeddzień wybuchu wojny – trudno było zobaczyć kogokolwiek w cywilu, tylko mundury i brązowe koszule. Nastrój był niesamowity. Trudno mi było uwierzyć w podtrzymywany w Polsce pogląd, że „nie damy nawet guzika”. Dzięki Nortonom poznałem wielu ciekawych ludzi, m.in. znanego pisarza i aktora angielskiego, Noela Cowarda, z którym przeprowadziłem wywiad.

W lipcu 1939 r. wezwał mnie do siebie Drymer, dyrektor personalny MSZ i jego główna osoba, przyjaciel Becka. Powiedział, że wysyła mnie do Londynu. Jechałem przez Berlin, bo paszport dyplomatyczny był jeszcze uznawany, jakkolwiek plany wojenne były na pewno gotowe.

— *Niedawno (maj 1992) odbył się w Polsce zjazd polskich dyptomatów, w którym wziął Pan udział. Proszę mi powiedzieć, jak przeszły lata wojny, i jak zrodził się Pana pseudonim „Jordan”?*

— Całą wojnę spędziłem w Londynie. Służbę wojskową przerwał wypadek na motocyklu, co pozwoliło mi wrócić do Londynu i wydawać książeczki propagandowe. Pseudonim „Jordan” pojawił się w tym właśnie okresie, kiedy pracowałem dla BBC. Herbarz Polski wykazuje, że Jordanowie żenili się w XVI w. z Lutosławskimi, zaś panny Lutosławskie wychodziły za Jordanów. Moja pierwsza żona była Jordan Stojowska.

— *Dlaczego wybrał Pan po wojnie Stany Zjednoczone jako miejsce zamieszkania?*

— Kierowała mną przede wszystkim ciekawość. Byłem młody i chciałem zobaczyć Amerykę. Był to gruby błąd, bo gdybym został w Anglii, miałbym się daleko lepiej materialnie i kulturalnie. W Anglii miałem dostęp do elity tego kraju, a w Ameryce takiej elity właściwie nie ma, a gdyby była, to nie miałbym u niej powodzenia.

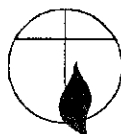
— *Zajął się Pan przekładami. Przetłumaczył Pan dzieła historyczne Pawła Jasienicy i wiele innych książek. Działał Pan wiele lat jako dyrektor Amerykańskiego Instytutu Kultury Polskiej w Miami na Florydzie. Przetłumaczył Pan także „Malowanego ptaka” Jerzego Kosińskiego, chociaż Pana nazwisko nie widnieje na wciąż nowych wydaniach tej książki. Proszę przybliżyć tę sprawę, która odbiła się dość głośnym echem po śmierci Kosińskiego.*

— Nasze drogi skrzyżowały się niedługo po przyjeździe Kosińskiego do USA. Dobrze zdawał sobie sprawę, że ludzi przyciąga sensacja, że jeżeli na ulicy ktoś zacznie deklamować Słowackiego, niewiele osób zwróci na niego uwagę, jeżeli natomiast tramwaj utnie komuś nogę, zbiegną się tłumy. Napisał „Malowanego ptaka” i choć uważa się, że ta książka opisuje Polskę, nie jest to prawda. Opisywani chłopci byli Białorusinami, a nie Polakami, akcja dzieje się na Polesiu. W książce zresztą nie jest wymieniona żadna narodowość, nie spotykamy też słowa „Polska”. Dał mi tę powieść do przetłumaczenia, ofiarował skromniutkie honorarium i prosił ponadto, bym zachował w tajemnicy, że jestem jej tłumaczem. Dałem mu słowo, nie przewidywałem, że książka może się stać bestsellerem. Sądzę, że zyskała rozgłos głównie dzięki perwersji i sadyzmowi, który z niej bije. Przetłumaczyłem ją i widząc, jaką popularność zdobywa, trochę się spodziewałem – powiedzmy – większej szczodrości ze strony Kosińskiego. Na pewno jego zachowanie wobec mnie zawsze było wzorowe. Zarobił na tej książce setki tysięcy dolarów, mnie za tłumaczenie płacąc kilkaset. Ale prawnie nic mi się nie należało, chyba żebym przyjął skomplikowa-

na drogę sądową. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych wybuchła sprawa oskarżenia Kosińskiego, że sam nie pisze swoich książek, kiedy oskarżono go, że posługuje się tzw. ghost writers, narobili mu kłopotów, ale niczego nie mogli mu zarzucić. Zwrócono się także do mnie z zapytaniem, ale dotrzymałem słowa i milczałem na temat tłumaczenia. Zresztą oczywiste jest, że Kosiński jest autorem swoich książek, że afera wybuchła ze zwykłej zawiści w stosunku do niego, bo był pisarzem popularnym, był prezesem Pen-Clubu. Kiedy po jego śmierci mówię o tym, wiem, że nie mogę mu zaszkodzić; fakt, że „Malowany ptak” jest tłumaczeniem, nie jest haniebnym ani kompromitującym. Za życia zależało mu na tajemnicy m.in. ze względu na wydawców.

— W wydanej w wydawnictwie Hippocrene Pana książce „Przewodnik po Polsce” jest wstęp Kosińskiego. Świadczy to o dobrych kontaktach między Panami. Książka jest bardzo ciekawa, pokazuje ludzi, obyczaje polskie, ciekawostki, możliwości usług dentystycznych, chirurgii plastycznej, spędzenia wakacji „w siodle”, nauczania się latania na szybowcu itd. Sytuacja w Polsce tak szybko się zmienia, że zapewne stale uaktualnia Pan książkę. Jeździ Pan do Polski, ma tu przyjaciół rodzinę. Oprócz słynnego kuzyna, Witolda Lutosławskiego, ma Pan w Krakowie siostrę, Janinę. Czy po tylu latach spędzonych w USA uważa się Pan za człowieka dwóch kultur: polskiej i amerykańskiej?

— Niestety, ostatnio rzadko przyjeżdżam do Polski. Rad jestem, że byłem na zjeździe dyplomatów. Nie uważam siebie za człowieka dwóch kultur, tym bardziej że amerykańską niełatwo scharakteryzować. Powiedzmy więc, że moja kultura jest europejska z pierwszym miejscem dla Polski.



KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Jesiennie

Pękają strąki dni i wysypują się ziarna
– na inne życie? Jedne przyjmują pola
inne giną po drogach Więc wszystko
tu mogło być – ale mogło być
i gdzie indziej: Pod wieczór ogród spryskany
zapachem piołunu i opadłych jabłek
W rzece księżyc za rybim okiem
Wędruje mulistym dnem Zieleni mchów
marzy o odpoczynku na splekanym marmurze
Listopad w przywiedłych ziołach
zbiera ostatnie swe moce Wrotycz
rowy ukwieca – a to co niemożliwe
utwierdziwszy w nas wolność – odchodzi

Równina

Znów rozpocząłem zwiedzanie równiny
sennej równiny która mnie zrodziła
którą przywykłem odczytywać w morzu
lub na kartce papieru przed wyprawą
w podróż – kiedy trzeba wybrać
najsamprzód cierpliwość a potem
słów melodię – Teraz przede mną
znów wielkie pole z kroplą oddechu
w której się zawiera wszystko co wspólne
z ciężkim stępem konia z milczeniem olchy
schylonej nad rzeką ze skwirem wróbli

spłoszonych z tarniny gdy zaskrzypiały wrota
– to zmarły ojciec strzepuje pył z dłoni
idzie ku studni aby sięgnąć do dna
i podać mi kubek
ożywczych ciemności

Z fragmentów

Piszesz te wiersze
jakbyś w sobie podkreślał
niezrozumiałe fragmenty
jakbyś wybrać chciał ze snu
tylko godziny czuwania
albo z tego co przyjdzie
uczynić dom na wygnaniu
Ale wiesz żeś nie po to
byś zdejmował ze zdarzeń
twarze losów ci danych
Wiersze będą spalone
losy – nicości zwrócone
to co istotne – utkane
z niezrozumiałych fragmentów

Notatki na marginesie

Teoremat o aferach

W marcowym numerze „Przeglądu Powszechnego” zameldowałem Czytelnikom o moim powrocie i zapowiedziałem, że po prawie czterech latach paury znowu chcę zacząć ich nachodzić. A oto szczegóły. Będę się naprzykrzał co drugi numer pod hasłem „Notatki na marginesie”. Będą to takie niezobowiązujące, całkiem nicoficjalne, czasami być może niezupełnie poważne, pisane wyłącznie na własny rachunek próby i próbki. Takie sobie uwagi na marginesie. Ale proszę tego, to znaczy marginesu, nie lekceważyć. Odegrał on sporą rolę w wielu dziedzinach nauki: w historii, w socjologii („marginesy społeczne”), nawet w historii królowej nauk, czyli matematyki. Jak wiadomo, słynny francuski matematyk z XVII w., Pierre de Fermat, zanotował na marginesie pewnej kartki informację, która przypawiła o ból i łamanie głowy pokolenia innych matematyków. Przez 300 lat próbowali oni znaleźć rozwiązanie tajemniczego „teorematu Fermata” zapisanego na owym marginesie. Trwała ta sprawa do chwili, kiedy kilka miesięcy temu pewien młody Amerykanin znalazł podobno rozwiązanie problemu.

Widać więc z tego jak na dłoni, że marginesu nie należy lekceważyć. Nicważne, na jakim miejscu kartki coś zanotowano, ważne, kto i co zanotował. Rzecz zatem nie w miejscu, tylko w autorze. Nie przypuszczam wprawdzie, abym na moim marginesie zanotował kiedyś coś równie trwałego jak Pierre de Fermat, ale... To już, jak mawiała moja Babka, *całkiem inna para kaloszy*.

A zatem będą to uwagi na marginesie, ale mogą dotyczyć spraw poważnych. Przede wszystkim będą się często obracały wokół pewnych stereotypów myślowych, nieporozumień, skamielin umysłowych, zastarzałych przesądów, zwapniałych pewników, zatęchłych mądrości obiegowych i tym podobnych osobliwości, których niemało można znaleźć w naszym myśleniu codziennym. Wydaje mi się bowiem, że pod wygładzoną powierzchnią naszych wyobrażeń o sprawach politycznych, społecznych, gospodarczych (i wszelakich) nieraz kryją się podwodne rafy i wraki, o które łatwo uszkodzić nasz żeglujący po nieznanym wodach statek.

* * *

Będę się zatem starał zapisywać na marginesie zjawisk, wydarzeń, lektur i obserwacji pewne myśli i uwagi dotyczące głównych kwestii pojawiających się na współczesnej, światowej arenie politycznej; sygnalizować tendencje i nie dość dotąd rozpoznane problemy; przede wszystkim zaś wynajdywać i oznaczać na naszych mapach nawigacyjnych (traktując rzecz w przenośni) wspomniane już rafy podwodne.

Bywają one rozmaitych kształtów i rodzajów. Jedne wynikają z niedostatecznego zrozumienia zjawisk i faktów, inne z braku znajomości świata, jeszcze inne z mechanicznego stosowania zastarzałych nawyków myślowych nie poddanych krytycznej rewizji w obliczu zmian zachodzących w otaczającej nas rzeczywistości. Zwłaszcza te ostatnie, czyli stereotypy myślowe, bywają szczególnie groźne dla zrozumienia współczesnego świata i powstających w jego łonie nowych sytuacji: szans i gróźb. Mamy z nimi często do czynienia, gdy próbujemy odgadnąć przyszłość opierając się na naukach płynących z dawnych, dobrze nam znanych doświadczeń.

Jest takie znane powiedzenie, że generałowie zawsze się przygotowują do poprzedniej wojny.

O naukach historii pamiętać trzeba; lekceważenie ich byłoby niewybaczalną lekkomyślnością. Ale jedną z ważniejszych nauk z niej płynących jest to, że niemal wszystkie wielkie dzieła polityczne, wszystkie zwycięskie kampanie wojskowe, większość odkryć naukowych, intelektualnych, artystycznych powstało nie w rezultacie powtarzania zapamiętanych lekcji z historii, lecz w wyniku przezwyciężania ich. Krótko mówiąc: wpierw trzeba poznać historyczne przykłady, a potem wybrać odmienny sposób postępowania – uniknąć pułapek i zaskoczyć przeciwników. Nazywa się to podniosłe „twórczym przekształceniem”.

W praktyce państwowej i politycznej jest to nad wyraz trudne, ale w nieobligujących notatkach na marginesie możemy sobie pozwolić na rozmaite eksperymenty.

* * *

Lektura prasy, oglądanie telewizji (co robię, przyznam szczerze, rzadko), rozmowy i dyskusje z rodakami sprawiają nieraz takie wrażenie, jakbyśmy się znajdowali na korytarzu komisariatu, albo – w najlepszym przypadku – prokuratury. Na łamach, w eterze i przy stole unosi się obsesyjny temat afer i przestępczości.

Pamiętam, jak niegdyś dopadł mnie w Chicago młody dziennikarz z któregoś z polskich rozgłośni krajowych. Rozemocjonowanym tonem zapytał: *Co pan sądzi o tych aferach, którymi żyje kraj?* Odpowiedziałem, zgodnie z przekonaniem, że kraj żyje mnóstwem ważnych spraw, wśród których najważniejsze wydają mi się kwestie gospodarcze, poziomu życiowego, postępów w produkcji, reform, a z drugiej strony – bezrobocie; no, i także sprawy ustrojowe, oświaty, służby zdrowia i tak dalej. Natomiast afery mają, moim zdaniem, znaczenie marginalne. Był tak zdumiony, że mikrofon omal nie wypadł mu z ręki. Absolutnie nie chciał zrozumieć, że afery nie są najważniejszą sprawą kraju, ani uwierzyć, że ja mogę się z nim nie zgadzać. Stracił chęć do rozmowy i rozstaliśmy się bez porozumienia. Chciałbym więc teraz powiedzieć na marginesie kilka rzeczy, których nie zdążyłem wytłumaczyć mojemu rozmówcy.

Po pierwsze: afery rzeczywiście istnieją, choć jest ich chyba mniej, niż mogłoby się wydawać na podstawie prasy. Przyciągają one uwagę dziennikarzy, którzy sądzą, że to pasjonuje czytelników, a pisząc o tych sprawach dziennikarz, zwłaszcza młody, ma doskonałą okazję zabłysnąć. Jednakże po bliższym zbadaniu znaczna część owych afer okazuje się albo nieprawdziwa, albo przedstawiona nieściśle, albo wynikająca z różnych luk w przepisach. Pewna ich liczba jednak istnieje naprawdę.

Jak duża? Tu moja opinia różni się od opinii obiegowych. Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by przeprowadzić szczegółowe badania, wiedzieć, ile afer przypada „na głowę mieszkańca”. Trzeba by też dokładnie określić, co rozumiemy przez aferę, jakie przyjmujemy kryteria itd. Nie jest to łatwe. Gdybyśmy jednak umieli ustalić kryteria porównawcze, to jestem przekonany, że – podobnie jak w sferze produkcji materialnej i poziomu życia, tak i w aferotwórstwie – kraj nasz ulokowałby się dość daleko od czołówki. I to zarówno po względem liczby bezwzględnej afer, jak i „obrotu”, czyli uzysku osiąganego przez aferzystów w wyniku swej działalności. Myślę, że rekord świata należy obecnie do Włochów. Blisko czołówki (zwłaszcza gdy chodzi o natężenie przemocy i „obroty”) plasuje się niewątpliwie Rosja i republiki poradzieckie. Wysoki poziom aferalności wykazują kraje Ameryki Łacińskiej, ale także Stany Zjednoczone, Japonia, kraje Dalekiego Wschodu. Nie można odmówić znaczących „osiągnięć” krajom Bliskiego Wschodu, a także Wielkiej Brytanii, Francji czy nawet Niemcom.

Myślę, że Polska jest Kopciuszkiem i Brzydkim Kaczątkiem w tej dziedzinie.

Po drugie: sędzę, że dająca się zauważyć w Polsce fascynacja tym zjawiskiem wynika z jego nowości. Jest to nowość pozorna, czyli fałszywa. Zainteresowanie, jakie rzecz budzi, wynika przede wszystkim z faktu, że teraz się o tym swobodnie pisze i każdy może się wgłębić w szczegóły. Wiadomo, że za rządów komunistycznych afery też istniały. Było ich całkiem niemało, ale do publicznej wiadomości przedostawała się tylko znikoma ich część, a i to w sposób zawołowany i niedokładny (np. głośna afera „Żelazo”, która wbrew nazwie dotyczyła złota, brylantów i dewiz). Często aferzyści zmykali za granicę i nikt o niczym nie słyszał, bo cenzura konfiskowała takie wiadomości.

Trzeba wszelako przyznać, że dziś afery mogą mieć większe rozmiary. Jeżeli w tamtych latach jakiś dyrektor, minister, sekretarz, czy generał ukradł materiały budowlane na willę albo przydzielił je sobie po śmiesznie niskiej, urzędowej cenie (a robiono to dość powszechnie), lub też wbrew prawu założył konto zagraniczne, to szansa, aby się tym ktoś zainteresował, była mała, a żeby napisała prasa – zero. Chyba że bardzo już chciano tego kogoś uderzyć albo że miał niesłuszne pochodzenie.

Po trzecie: natężenie informacji (czy pseudoinformacji) na ten temat wynika nie tylko z istnienia wolnej prasy, ale i z tego, że zarzut korupcji stał się narzędziem walk politycznych. W warunkach poprzedniego monopolu władzy jednej partii zarzut taki oczywiście nie mógł być stosowany. Nie był zresztą przydatny, bo nie ubiegano się o względy wyborców, a był zbyt groźny, stawiając pod znakiem zapytania słuszność monopolu.

Z tego wynika czwarta uwaga na marginesie. Jest wszechstronnie udowodnione przez historyków, że najgłębiej skorumpowanymi i nieuczciwymi systemami w dziejach były dyktatury, a zwłaszcza wielkie, XX-wieczne systemy totalitarne. Nie tylko dlatego, że wyjęte spod kontroli społecznej i nie tolerujące opozycji doprowadziły do niespotykanego w dziejach marnotrawstwa środków i ludzi, oddając wszystkie bogactwa na rzecz realizacji kaprysów i pomysłów wodzów i grup rządzących, co doprowadzało z reguły do ruiny i ludobójstwa. Również dlatego, że charakteryzowały się powszechną i niczym nie mitygowaną kradzieżą, uprawianą przez uprzywilejowanych hierarchów. Symbolem tego stał się w Niemczech hitlerowskich Göring, wielu gaulterów i przywódców partyjnych. To samo działo się w faszystowskich Włoszech i w Hiszpanii. Nie trzeba zaś chyba tłumaczyć, czym w Związku Sowieckim były dache i sklepy „za żółtymi firanka-

mi” w porównaniu z łagrami i ze śmiercią głodową milionów ludzi na Ukrainie i gdzie indziej.

Zgadzam się, że słowo „afery” nie jest właściwe na określenie takich zjawisk. Rabunek uprawiany w całej Europie przez hitlerowców albo fakt, że enkawudyści rozdrapywali między sobą mieszkania, odzież, kosztowności należące do zamordowanych ofiar, to już nie były afery, to była istota tych nieludzkich ustrojów. To jest oczywiste, ale warto, aby o tym pamiętali ci, którzy czasem domagają się, by „rządy silnej ręki zaprowadziły ład i skończyły z aferami”.

Nigdy nie zapomnę nocnej rozmowy w Moskwie z profesorem Arym Szternfeldem, zwanym ojcem sowieckich rakiet, który w latach trzydziestych został zesłany za Ural. W pewnej chwili Szternfeld zamyślił się, a potem spytał żony:

— Jak sądzisz, dlaczego uszliśmy z życiem? Czemu nie zabili nas, jak tyłu przyjaciół i znajomych?

— Bo mieliśmy marne mieszkanie, pokoik bez żadnych wygod. Nikt nam go nie zazdrościł – odpowiedziała pani Szternfeld.

Tak wyglądał ów „ład i porządek”, w obronie którego demonstrują dziś nostalgicznie niektórzy ludzie w Moskwie i gdzie indziej.

To taka moja uwaga na marginesie.

Kazimierz Dziewanowski



Nowa ewangelizacja – nowe zadanie Kościoła

Problem ewangelizacji jest tak stary jak chrześcijaństwo. Wiąże się z głoszeniem Dobrej Nowiny Boga, który w Jezusie Chrystusie, Jego Synu, przyszedł na świat, aby ludziom zapewnić zbawienie. Od pewnego jednak czasu obok pojęcia ewangelizacji pojawiło się pojęcie nowej ewangelizacji. Zdominowało ono świadomość Kościoła katolickiego i stało się jego zadaniem i programem.

Czym jest nowa ewangelizacja?

Pojęcie nowej ewangelizacji ma swój początek w nauce II Soboru Watykańskiego. Dekret o działalności misyjnej Kościoła określa cały Kościół jako misyjny i przedstawia ewangelizację jako podstawowy obowiązek ludu Bożego. Sobór zaprasza *wszystkich do głębokiej odnowy wewnętrznej, aby mając żywą świadomość własnej odpowiedzialności za rozszerzenie Ewangelii, podjęli swoją część w dziele misyjnym wśród narodów* („Ad gentes”, nr 35). Nowy impuls temu zadaniu dał Jan Paweł II już w dniu swojego wyboru na Stolicę Piotrową, mówiąc: *Nie bójcie się otworzyć drzwi Chrystusowi*. Powtórzył to wezwanie w dniu inauguracji pontyfikatu, w 1978 r., apelując o otwarcie drzwi Chrystusowi przez wszystkich ludzi, państwa i narody. W swojej pierwszej encyklice – „Redemptor hominis” – mówił wyraźnie o potrzebie budowania nowego, lepszego świata. W 1983 r., w czasie pobytu w Ameryce Łacińskiej, zadanie odnowy oblicza ziemi nazwał nową ewangelizacją, rozumianą jako nowy ruch duszpastersko-misyjny Kościoła w świecie. W duchu tego impulsu duszpasterskiego utrzymane są szczególnie: adhortacja „Christifideles laici” (1989), encyklika „Redemptoris missio” (1990), encyklika „Centesimus annus” (1991), adhortacja „Pastores dobo vobis” i encyklika „Veritatis splendor”. Ostatni Synod Biskupów również był poświęcony nowej ewangelizacji; uznano ją za centralne zadanie Kościoła na całym świecie, a szczególnie w Europie. Pojęcie „nowa ewangelizacja” jest często zastępowane innymi określeniami, jak „ewangelizacja 2000”, „druga ewangelizacja”, „reewangelizacja”. Nie jest ono ostatecznie zdefiniowane. Jedni uważają, że za tą nazwą kryje się monologiczna strategia rekatalizacji Europy na drodze rehierarchizacji

Kościół katolickiego¹; inni podkreślają, że określenie to implikuje pełen zaufania, ale krytyczny dialog ze światem; jeszcze inni dostrzegają w nowej ewangelizacji tylko formę terapii duszpasterskiej starego kontynentu.

Idea nowej ewangelizacji nie jest wolna od zarzutów, że jest tylko pastoralnym hasłem, nie proponującym konkretnych rozwiązań, że bezkonturowość treści nowej ewangelizacji praktycznie do niczego nie zobowiązuje, ale staje się workiem, do którego można wrzucać to wszystko, co się dzisiaj dzieje w Kościele, a co kiedyś nazywało się po prostu ewangelizacją². Jak jest naprawdę?

W nauczaniu papieskim nie znajdujemy jednoznacznej odpowiedzi. Nawet Synod Biskupów poświęcony nowej ewangelizacji nie zajmuje się szerzej kwestią terminologii; w dokumentach spotykamy natomiast różne aspekty określenia nowej ewangelizacji i jej zadania. Na spotkaniu z biskupami CELAM w 1982 r. papież mówiąc o nowej ewangelizacji określił ją jako *nowy bodziec (...) na nowe, szczególne czasy*. W Santo Domingo w 1992 r. nazwał nową ewangelizację wezwaniem do nawrócenia. Podczas IV sesji CELAM w 1992 r. nazwał ją impulsem duszpasterskim do tworzenia cywilizacji głębszej i bardziej chrześcijańskiej, a zatem bardziej ludzkiej.

Nowa ewangelizacja z pewnością nie oznacza głoszenia nowej Ewangelii, bo ta jest jedna i niezmienna. Dlatego nowość ewangelizacji nie dotyczy treści orędzia ewangelicznego. Chrystus jest *ten sam wczoraj, dziś i na wieki*. Ewangelia zatem winna być głoszona wiernie i bez zniekształceń, tak jak została zachowana i przekazana przez tradycję Kościoła. Treścią nowej ewangelizacji jest Objawienie Boże, zawarte w Piśmie Świętym i tradycji. Nie jest ona głoszeniem czegoś, co do tej pory nie było znane w Kościele katolickim³. Prawdy objawione natomiast trzeba głosić w kontekście aktualnego życia ludzkiego: osobistego i społecznego. Kard. J. Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, w swoim wystąpieniu synodalnym podkreślił, że istotę treści nowej ewangelizacji wyrażają słowa Chrystusa: *Czas*

¹ K. Koch, *Szanse i problemy nowej ewangelizacji na Zachodzie jako animacja i ostrzeżenie dla Polski*, w: *Nowa ewangelizacja odpowiedzią na wyzwanie obecnego czasu*, pod. red. K. Goździa, Lublin 1993, s. 48-51.

² O. Fuchs, *Was ist Neuevangelisierung*, „*Stimmen der Zeit*” 7/1992, s. 465-468.

³ P. Giustiniani, F. Toriello, *Nuova ewangelizzazione, che cosa, come*, Torino 1991, s. 9-15.

się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię (Mk 1,15). A królestwem Bożym jest sam Bóg, który obdarza człowieka sobą. Dlatego ewangelizacja powinna być przede wszystkim mówieniem o Bogu; nie tylko przepowiadaniem dogmatów wiary i przepisów, lecz mówieniem o Bogu, który przychodzi do nas w Chrystusie i który powołał człowieka do życia wiecznego⁴. Nowa ewangelizacja jest więc przypomnieniem człowiekowi końca XX w.: *Bóg Cię Kocha, Chrystus przyszedł do Ciebie*⁵. Jest zatem głoszeniem pełnej prawdy o człowieku, a nie tylko o jego kondycji materialnej, doczesnej.

Ewangelizacja ta jest nazywana nową, ponieważ Duch Święty stale ukazuje nowość Słowa Bożego i nieustannie ożywia ludzi duchowo (por. 1 J 3,2). Ale nie jest to jedyna cecha określająca nowość tej ewangelizacji. Decydującym czynnikiem, który przyczynił się do ukształtowania pojęcia nowej ewangelizacji, są adresaci, do których jest skierowana. W przypadku klasycznej działalności ewangelizacyjnej odbiorcami są ludzie, którzy nie zetknęli się jeszcze z Ewangelią. Adresatami nowej ewangelizacji są ludzie, którzy już byli wierzący, ale z różnych przyczyn ich wiara osłabła albo zupełnie zanikła – kiedyś przyjęli chrzest, ale nie pogłębiali swojej wiary i zapomnieli jej istotny sens. Nowa ewangelizacja jest też skierowana do tych, którzy chrześcijaństwo traktują powierzchownie lub mają o nim błędne mniemanie. Odczytując ewangeliczne wskazania jako ograniczenia krępujące ich wolność, są uprzedzeni do wiary chrześcijańskiej, a czasem nawet wrogo do niej nastawieni. Jednak są to ludzie, w których świadomości zachowały się fragmenty Ewangelii. Co więcej, większość z nich żyje w środowiskach ciągle promieniujących tradycją chrześcijańską, dających świadectwo swojej wiary⁶. Nowa ewangelizacja polega na ocaleniu w ich sercach chrześcijaństwa, doprowadzeniu tych ludzi z powrotem do wiary żywej, do praktyk religijnych, które tę wiarę podtrzymują i rozwijają, ubogacają. Adresatami nowej ewangelizacji są również chrześcijanie, w życiu których dostrzega się

⁴ J. Ratzinger, *Trzeba mówić więcej o Bogu*, „L'Osservatore Romano” 14/1992, nr 1, s. 18.

⁵ Deklaracja Synodu, *Abyście byli świadkami Chrystusa, który nas wyzwolił*, Warszawa 1992, nr 3, s. 9.

⁶ C.M. Martini, *Verso un'Europa Unità*, Milano 1991, s. 20-21; K. Lehmann, *Was heisst Neu-Evangelisierung Europas*, „Communio” 4/1992, s. 314-316.

rozdźwięk pomiędzy wyznawaną wiarą a życiem⁷. Nowa ewangelizacja ma ich skłonić do permanentnej refleksji duchowej i intelektualnej.

Nowość ewangelizacji odnosi się także do nowych metod i środków oddziaływania. Jak obudzić entuzjazm głoszenia orędzia zbawienia? Otóż cały Kościół musi poddać się dziełu autoewangelizacji. Przed podjęciem głoszenia Ewangelii trzeba być ewangelizowanym. Przesłanie tego, który przepowiada, nie stanowi tylko doktryny. Syn Boży stał się człowiekiem. Dopiero wchodząc w osobistą zażyłość z Chrystusem można obwieszczać Chrystusowe orędzie. Autoewangelizujący się Kościół będzie mógł więc z entuzjazmem świadczyć o Tym, którego przeżywa i który jest Jego mocą.

Nowe czasy wymagają, by orędzie chrześcijańskie było przekazywane człowiekowi w języku i formach dla niego czytelnych. Idzie więc o takie sposoby przepowiadania Chrystusa, które zaciekawia, trafiają do każdego współczesnego człowieka⁸.

Oczywiście, nie tylko adresaci ewangelizacji decydują o nowej ewangelizacji. Decydują o niej także tzw. znaki czasu. Jednym z nich jest jubileusz 2000-lecia obecności chrześcijaństwa w świecie. Ojciec Święty określił czas przygotowania do tego jubileuszu jako czas adwentu. Cały Kościół ma podjąć działania na rzecz odnowy życia chrześcijańskiego, aby wkroczyć w trzecie tysiąclecie z wiarą żywą, stanowiącą propozycję dla świata. W ramach przygotowania do tego jubileuszu w dniach 14–18 IX 1990 r. w Auli Pawła VI w Rzymie odbyły się ogólnoswiatowe rekolekcje biskupów i księży. Podjęto temat „Wezwanie do ewangelizacji”. Zainaugurowano również działalność ponad stu szkół ewangelicznych na pięciu kontynentach, które przygotowują katolików świeckich do konkretnych działań ewangelizacyjnych. Powołano Centralną Diakonię Ewangelizacji, która ma na celu prowadzenie działalności wydawniczej. Utworzono również międzynarodową organizację „Lumen 2000”, aktywizującą środki przekazu do głoszenia wiary.

22 IV 1990 r. w Welehradzie na Morawach, w kościele Św. Św. Cyryla i Metodego, Jan Paweł II zapowiedział zwołanie specjalnego synodu poświęconego nowej ewangelizacji starego kontynentu. Synod

⁷ P. Vanzan, *Nuovi e vecchi modelli di evangelizzazione*, w: *Nuova evangelizzazione*, Bolonia 1991, s. 15-21.

⁸ Deklaracja Synodu, dz. cyt., nr 5, s. 14-15.

ten odbył się od 28 XI do 14 XII 1991 r. w Rzymie z udziałem 200 biskupów katolickich i przedstawicieli bratnich Kościołów⁹. Papież zapowiedział również specjalny Synod Ameryki Łacińskiej poświęcony nowej ewangelizacji.

Jednym ze znamienitych, wyraźnych znaków czasu jest nowa rzeczywistość w krajach Europy Środkowo-Wschodniej po upadku komunizmu, po którym pozostało szczególne dziedzictwo: zmiany w mentalności, zanik relacji osobowych, degradacja ekonomiczna i społeczna. Z drugiej strony rozpad systemu totalitarnego postrzegany jest jako specjalny instrument Opatrzności, która inspirowała do rozpoznania zamiarów Boga. W tych wydarzeniach, jak stwierdzają ojcowie synodalni, chrześcijanie dostrzegają *kairos* historii zbawienia oraz wielkie wezwanie do dalszej współpracy z uzdrowicielskim działaniem Boga. Zaistniała nowa rzeczywistość, która domaga się na nowo głoszenia Jezusa Chrystusa. Nowa, bo zarażona *homo sovieticus*; nowa, bo wymaga nowych decyzji – opowiedzenia się za obecnością Boga w życiu indywidualnym i społecznym. Nowa również na skutek ciągłej propagandy ateizmu. Kościół funkcjonuje w świadomości wielu jedynie jako instytucja społeczna o dużych wpływach, z którymi trzeba się liczyć; inni nie rozumieją rzeczywistości Kościoła albo nie znają jej.

Nowa ewangelizacja jest nazwana nową również dlatego, że ukazuje nowe podmioty głosicieli Ewangelii. To już nie tylko Kościół hierarchiczny, nie tylko duchowieństwo ma głosić orędzie ewangeliczne, ale winni to robić wszyscy, również wierni świeccy. Głoszenie ma się dokonywać nie tylko przez słowo, ale przez przykład życia chrześcijańskiego w swoich środowiskach rodzinnych, zawodowych, towarzyskich.

Adresaci nowej ewangelizacji

Szybki przepływ informacji, napór nowych propozycji intelektualnych i duchowych, napięcia, stresy i gwałtowne przyspieszenie tempa życia dotyczą boleśnie współczesnego człowieka. Co więcej, człowiek stał się przedmiotem manipulacji. Reklama, plakat, film działające na podświadomość często deprawują, wprowadzając relatywizm moralny. Obserwując dzisiejsze życie ma się wrażenie, że lu-

⁹ T. Zasepa, *Nowa ewangelizacja jako zadanie stojące przed polskimi mass mediami*, w: *Nowa ewangelizacja...*, dz. cyt., s. 103-104.

dzie żyją jak w narkotycznym odurzeniu, co prowadzi do zmniejszenia wrażliwości. Dobra Nowina dociera do człowieka w ograniczonym zakresie. Można nawet mówić o eliminowaniu transcendencji z życia ludzkiego. Wszystkie przejawy życia ludzkiego, życia wiara dzisiejszego człowieka można nazwać wiarą zakwestionowaną. Człowiek zna naukę Jezusa Chrystusa najczęściej bardzo powierzchownie. Chrześcijaństwo jawi mu się jako nieskuteczne narzędzie w walce o wyzbycie się zarówno wad osobistych jak i społecznych. Mamy często do czynienia z ludźmi uodpornionymi na autentyczne chrześcijaństwo, praktykującymi, jednakże bez skutku przemiany wewnętrznej.

Współczesny człowiek często odrzuca wszelkie autorytety. Akceptuje tylko to, co rozumie i czego sam doświadcza. Postawy autorytarne Kościoła są mu obce i często niemożliwe do zaakceptowania. Człowiek dzisiejszy dąży do autonomii w dziedzinie religii, pragnąc sam ustanawiać normy moralne, kryteria swych postaw i zachowań.

Z drugiej jednak strony człowiek jest istotą religijną. Z tym że jego religijność, jak wskazuje wiele obserwacji i badań, ogniskuje się w jednym punkcie, a mianowicie w wewnętrznej potrzebie transcendencji. Człowiek zawsze szukał, i dzisiaj również szuka, relacji z absolutem, z wartością transcendentną. Nawet jeżeli deklaruje się jako niewierzący, i tak nie jest wolny od tzw. pytań ostatecznych; dlatego często nieświadomie szuka wsparcia u kogoś, kto mógłby zaspokoić ten wewnętrzny głód „innego wymiaru”. Stoimy więc przed wielką szansą posługi dzisiejszemu człowiekowi, aby mógł doświadczyć obecności Boga¹⁰.

Jak dziś głosić Ewangelię?

Jak dziś głosić Dobrą Nowinę, jak ewangelizować, żeby człowiek cywilizacji szybkich zmian mógł spotkać Boga, który nadaje sens jego życiu? Człowiek przyjmie orędzie ewangeliczne, jeśli przeżyje „smak” spotkania z Bogiem. Owo spotkanie jest warunkiem przyjęcia wiary. Jeżeli mu się to nie uda, będzie się rozmiął z nauką Jezusa Chrystusa głoszoną przez duszpasterzy. W dotychczasowym duszpasterstwie akcentowaliśmy bardzo mocno praktyki religijne. Mniej natomiast braliśmy pod uwagę to, co Ojciec Święty nazywa przemianą

¹⁰ A. Lewek, *Ewangelia a wolność Europy*, „Chrześcijanin w świecie”, nr 1/192, 1993, s. 54-55.

ną sumienia. I mamy duży procent praktykujących katolików. Czy jednak żyją oni duchem Ewangelii na co dzień?

Dziś trzeba zwrócić większą uwagę na relacje osobowe: człowiek – Bóg, ja i On. Istnieje tu niebezpieczeństwo subiektywizacji wiary, jednak osobiste doświadczenie religijne wydaje się kluczem do nowej ewangelizacji¹¹. Do takiego doświadczenia winno prowadzić dzieło nowej ewangelizacji. Posługa duszpasterska ma pomóc człowiekowi odnaleźć osobisty kontakt z Bogiem, aby mógł doświadczyć Jego wielkości, miłości i mocy. To wymaga przeorientowania dotychczasowego duszpasterstwa z masowego na indywidualne. Nie znaczy to, by dotychczasowe duszpasterstwo nie miało już żadnego znaczenia. Musi się ono nadal rozwijać, ale nie wyłącznie w dotychczasowych formach. Współczesny człowiek potrzebuje czegoś więcej niż tylko procesje, odpusty, wielkie uroczystości ogólnokościelne i manifestacje patriotyczne. Człowiek współczesny musi się najpierw „dogadać z Bogiem”. Potrzeba mu więc kierownictwa duchowego, formacji sumienia; formacji duchowej i intelektualnej w świetle ewangelicznych wartości.

Ten sposób ewangelizacji domaga się nowego typu duszpasterzy. Kard. Koenig tak pisze: *Duszpasterz nadchodzących dni będzie musiał być przede wszystkim duchownym. To znaczy, człowiekiem, który sam dysponuje głębokim doświadczeniem religijnym. Przyszły duszpasterz będzie miał tyle autorytetu, ile wykaże doświadczenia religijnego, by prowadzić ludzi do osobistych doświadczeń religijnych.* Nie chodzi więc tylko o to, by głosić słowo Chrystusa, lecz by przez własne doświadczenie i własny wgląd w słowa Chrystusa przybliżyć osobę Zbawiciela i Jego Orędzie. Powstaje więc pytanie: W jakim stopniu to, co jest podstawowe w dzisiejszym duszpasterstwie, a więc msza św., sakramenty, sakramentalia, homilie, kazania, jest przydatne w postulowanej ewangelizacji i ma szansę przemienić człowieka? Wszystko jest przydatne, wręcz konieczne, pod warunkiem że stanie się źródłem autentycznego doświadczenia religijnego, że będzie wprowadzać w rzeczywistość Bożą, że ułatwi spotkanie z Bogiem. Taka forma ewangelizacji odnosi się jednak tylko do ludzi chodzących do kościoła.

Jeśli natomiast adresatami nowej ewangelizacji mają być również albo przede wszystkim ludzie, których wiara tak wygasła, że zupełnie

¹¹ J. Pałyga, *Jak ewangelizować dzisiaj*, „Duszpasterz Polski Zagranicą”, nr 4/177, 1990, s. 583-584.

oddalili się od Chrystusa – to trzeba szukać jeszcze innych metod duszpasterskich. Właściwie nie mamy wypracowanych form duszpasterskich do pracy z ludźmi niewierzącymi lub z tymi, którzy odeszli od Kościoła. Jest w jakimś stopniu zrozumiałe, iż do 1988 r. liczba deklarujących się jako niewierzący wahała się od 1 do 5%. Zatem nie było potrzebne specjalne duszpasterstwo. Dziś sprawa wygląda inaczej. Pierwszym problemem, jaki powstaje, jest kontakt z tymi ludźmi. Możliwości są następujące: część niepraktykujących i niewierzących pojawia się jeszcze w kościele podczas uroczystości religijnych, takich jak chrzty, śluby, pogrzeby. Pewne możliwości kontaktu z nimi stwarza wizyta duszpasterska zwana kolędą. Czy to wystarczy? Problem leży w tym, że każde odejście od Chrystusa było inne, z innych powodów: urazy, zaniedbania duchowego, pogmatwanego życia rodzinnego itp. To wszystko wymaga delikatnego podejścia. Jak to zrobić w praktyce? Zapewne dużą rolę mogą tu odegrać mass media, które przez odpowiednie programy mogą wzbudzić u odbiorców pragnienie życia religijnego.

ks. Krzysztof Pawlina



Maryjny wymiar nowej ewangelizacji

W kwestii nowej ewangelizacji pragnę się skupić na jednym – na wymiarze maryjnym. Wybór tego właśnie wątku nie jest dowolny. Przynajmniej w polskim Kościele obecność Maryi była i jest żywo odczuwana. Wystarczy przypomnieć o niedawnej fazie naszej drogi oraz o postaci, która ją kształtowała. Prymas Tysiąclecia już w 1957 r. prorokował: *Los komunizmu rozstrzygnie się w Polsce*. Pamiętał o słowach swego poprzednika na stolicy prymasowskiej, które powtórzył dokładnie po trzydziestu latach, widząc ich spełnianie się: *Zwycięstwo, gdy przyjdzie, będzie to zwycięstwo Najświętszej Maryi Panny*. A przed swoją śmiercią, przyjmując 16 V 1981 r. sakrament chorych, mógł w obliczu napiętej sytuacji zachować spokojną pewność co do przyszłej drogi – tłumacząc, dlaczego nie zostawia testamentu pastoralnego: *Przyjdą nowe czasy, wymagają nowych światła, nowych mocy, Bóg je da w swoim czasie. Pamiętajmy, że jak kardynał Hlond, tak i ja wszystko zawierzyłem Matce Najświętszej i wiem, że nie będzie słabszą w Polsce, choćby ludzie się zmieniali*¹. Te słowa zaczęły się spełniać. Czy zatem dalszy rozwój i związana z nim nowa ewangelizacja nie powinny także nawiązać do duchowego testamentu Sługi Bożego i do przyświecającej mu postaci – Maryi?

Maryjne przebudzenie

Szukanie maryjnego wymiaru nowej ewangelizacji nie oznacza ograniczenia do sytuacji polskiej. Wiele przykładów z życia Kościoła powszechnego ostatniego wieku świadczy o tym samym, o fakcie, który zasługuje na miano prawdziwego przebudzenia – maryjnego. Zaczęło się to już w zeszłym wieku. Wspomnieć należy zwłaszcza ogłoszenie nowego dogmatu o niepokalanym poczęciu oraz następujące po nim głośnie i ważne pod względem teologicznym jawienia w Lourdes².

¹ Por. *Kościół w Polsce w warunkach wolności. Zagrożenia i szanse*, Wyd. „Królowa Apostołów” 1993, s. 24.

² Por. „PP” 12/1992, s. 467-479 oraz w moim *Nie bać się nieba. Maryjne intuicje – do myślenia*, Kraków 1994, passim.

W obecnym wieku dużą rolę odegrały jawienia fatimskie, później zdefiniowanie nowego, jak dotąd ostatniego, dogmatu o wniebowzięciu. II Sobór Watykański, który zrezygnował z formułowania kolejnych dogmatów, ukazał nowe perspektywy teologiczne także w mariologii, do tego stopnia, że Prymas Tysiąclecia mówił o *jeszcze jednym wielkim objawieniu Maryi* podczas Soboru³. Trzeba też wspomnieć o swoistym przyspieszeniu w innej dziedzinie – po pierwszym w dwutysięcletnich dziejach Kościoła Roku Maryjnym (1954) drugi był obchodzony w latach 1987/88, obfitując w ważne wydarzenia. Także jawienia w Medjugorje, ciągle kontrowersyjne, odsłaniają coraz wyraźniej sens wezwania do pojednania i pokoju właśnie w okolicy, gdzie mają miejsce, czyli w Bośni i Hercegowinie. Nie sposób przy tym zapomnieć o roli, jaką odgrywa w kształtowaniu nowych czasów i nowej ewangelizacji Jan Paweł II – ten, który właśnie z myślą o Matce Najświętszej daje przykład postawy Totus Tuus.

Łatwo narazić się na zarzut, że powyższy obraz maryjnego przebudzenia jest mimo wszystko ograniczonym spojrzeniem na dzieje Kościoła naszych czasów. To prawda. Zwłaszcza w ewolucji zapoczątkowanej przez ostatni Sobór należałoby uwzględnić dodatkowe elementy. Z jednej strony trzeba ocenić negatywnie fakt, że otwarcie się Kościoła na świat prowadziło nierzadko, mówiąc językiem Jezusowych przypowieści, do zwietrzenia czy rozpuszczenia ewangelicznej soli pod wpływem prądów sekularyzacyjnych. Z drugiej strony jest faktem, że przebudzenie w odniesieniu do Maryi przybrało na Zachodzie zgoła odmienną postać niż w Polsce. Soborowa przestroga, aby w maryjnej pobożności wystrzegać się *pilnie zarówno wszelkiej fałszywej przesady, jak i zbytniej ciasnoty umysłu* (KK 67), została zlekceważona. Wielu teologów i wiernych w zachodnim chrześcijaństwie nie ustrzegło się tej ostatniej skrajności, jak gdyby obawa czy niechęć wobec wcześniejszej przesady zmuszały do popadnięcia w jej przeciwieństwo, nie mniej przesadne. Stało się to jednym z powodów podejrzliwej postawy zwróconej przeciw polskiemu papieżowi, któremu wypomina się, że chce narzucić maryjność żywą w Polsce jako wzór do naśladowania dla całego Kościoła.

Uczciwość wymaga jednak, aby zauważyć także nieustającą skłonność do przesadnych form kultu maryjnego. Na rodzimym podwórku ulegają jej nie tyle teologowie, ile raczej duszpasterze skupieni na promowaniu nabożeństwa do Matki Bożej – w poświęconych Jej sank-

³ Tamże, s. 89.

tuariach czy periodykach. Sam fakt tak wyłącznego zwracania uwagi właśnie na Nią sprzyja oczywiście wrażeniu, że brakuje tu należytej proporcji. Trudniej jednak pojąć, dlaczego w tych miejscach – zarówno w najważniejszych polskich sanktuariach jak i w największych miesięcznikach o treści maryjnej – można zauważyć agresywną, wojującą postawę, skłoną do demonizowania ludzi inaczej myślących, do monopolizowania „jedynie słusznego” obrazu katolicyzmu i do anachronicznej walki z nauką, rzekomo sprzeciwiającą się wierze. Czy np. wierność wobec tradycji, której wielkim znakiem i przykładem może być św. Maksymilian Kolbe, wymaga dzisiaj zwalczania teorii ewolucji? Czy postawa czciciela-rycerza Niepokalanej musi się kojarzyć z obskurantyzmem i militarystką?

Nie wystarczy szukać przebudzenia maryjnego w formach przejętych z przeszłości, jak gdyby powielanie dawnych wzorów dawało automatycznie ten sam efekt co kiedyś. Doceniając opatrnościową rolę, jaką spełniła peregrinacja kopii jasnogórskiego obrazu, trudno byłoby widzieć w niej panaceum na obecne czasy. Okazało się też, że próba powtórzenia planów św. Maksymiliana co do katolickiej radiostacji była tylko spektakularnym gestem jego współbraci, skazanym – z góry? – na niepowodzenie. Natomiast daje do myślenia rzeczywiście nowy i niezwykle fenomen Radia Maryja. Nie ulega bowiem wątpliwości, że właśnie Matka Najświętsza przyciąga tu tak wielką wspólnotę, kształtowaną głównie przez wspólną modlitwę i poczucie wzajemnej więzi – w dzieleniu się doświadczeniem wiary na co dzień. Nie jest konieczne, by wszyscy akceptowali tę właśnie formę masowej komunikacji. Nie wolno jednak negować dobra, którego już tyle osób doświadczyło w tej nowej postaci ewangelizacji – pod znakiem Maryi.

Maryjna ewangelizacja

Posuwając się dalej nie można (p)ominąć źródła ewangelizacji – samej Ewangelii. Obecny w niej wymiar maryjny nie jest zewnętrznym, wyszukany arbitralnie dodatkiem, lecz pozwala głębiej wnikać do wnętrza, do serca Dobrej Nowiny. Samo pojęcie występuje już w Starym Testamencie, gdzie prorok zwany dziś Deuteroizajaszem woła: *Wstąpże na wysoką górę, zwiastunko dobrej nowiny (...)* *Podnieś mocno twój głos* (Iz 40,9). Uderza fakt, że zwiastowanie Ewangelii zostało tu związane z osobą rodzaju żeńskiego. Tekst hebrajski dopuszcza pod względem filologicznym dwojakie tłumaczenie: albo utożsamienie owej zwiastunki z Syjonem czy Jerozolimą, albo też odróżnienie jej –

jako zwracającej się do nich i do innych miast judzkich⁴. W kontekście starotestamentowym bardziej prawdopodobna jest pierwsza interpretacja, gdyż Syjon i Jerozolima są często personifikowane w postaciach żeńskich. W drugim przypadku postać zwiastunki pozostałaby bliżej nie określona. Jednak wolno szukać odpowiedzi w kontekście Nowego Testamentu, tym bardziej że znajdujemy w nim dodatkową interpretację wcześniejszych wersetów proroka o *głosie* związanym z pustynią (Iz 40,3) – w odniesieniu do Jana Chrzciciela. Kiedy zatem ewangelista Łukasz opisuje Maryję udającą się w góry do jednego z miast judzkich, trudno się oprzeć wrażeniu, że właśnie w Niej widzi ową zapowiadaną zwiastunkę Ewangelii, której pojawienie się znaczy: „*Oto wasz Bóg*”. *Oto Pan Bóg przychodzi z mocą* (Iz 40,10).

Łukaszowe wskazanie Maryi jako pierwszej zwiastunki Ewangelii odsłania swój głębszy sens w opisie zwiastowania i nawiedzenia. Dobrą Nowinę można odnaleźć najpierw w słowach Anioła – zwiastuna niebieskiego, nie z tej ziemi. Pierwszym wyraźnie ziemskim znakiem wcielenia Bożego Słowa jest Dziecko poczęte w łonie Maryi. To Ono stanie się – na razie pozostając w ukryciu – główną treścią Ewangelii. Kiedy Maryja podąża do swojej krewnej, myśli też o innym znaku zapowiedzianym przez Anioła – o niespodziewanym znaku nadziei u starej kobiety, dla której późna brzemiennność stała się nie ciężarem, lecz ulgą. Dla młodej Dziewicy-Matki miał to być znak, że dla Boga nie ma nic niemożliwego. I oto w momencie spotkania Maryja doświadczyła więcej – nie tylko brzemienności Elżbiety, ale światła dla swego własnego stanu, skoro krewna błogosławi owoc Jej łona i wyśławia Ją jako *Matkę swojego Pana* (Łk 1,42 n.). Duch, który poruszył Elżbietę i przemówił jej ustami, rozświeca ukrytą tajemnicę Dziecka Maryi jako Syna Bożego – pokazuje, że Ewangelia o Nim jest prawdziwie radosna.

Warto się zatrzymać jeszcze chwilę przy Łukaszowej wizji nawiedzenia, by przypatrzeć się Maryi – zwiastunce Dobrej Nowiny. Na czym polega Jej dzieło ewangelizacji? Z początku po prostu odwiedza z Jezusem swoją krewną i ją pozdrawia. Łukasz nie przekazuje Jej pozdrowienia. Nie słowa są istotne, lecz stan, z którego wypływają –

⁴ Obie odmienne możliwości zostały wykorzystane w dwóch najważniejszych polskich tłumaczeniach. Hebrajskie „*mehasseret sijon (...) jeruszalajim*” jest tłumaczone w Biblii Tysiąclecia: „*zwiastunko dobrej nowiny w Syjonie (...) w Jerozalem*”, natomiast w Biblii Poznańskiej: „*Syjonie, zwiastunie dobrej nowiny (...) Jerozolimo, zwiastunko dobrej nowiny*”. Warto dodać, że w hebrajskim Syjon jest rodzaju żeńskiego!

Jej intymna więź z Jezusem. Ewangelizacja dokonuje się mocą ukrytego w Niej Syna Bożego, którego Duch nadaje sakramentalną wagę prostym słowom pozdrowienia. Jakby działała nie Maryja, lecz obecny w Niej Chrystus – podobnie jak apostoł Paweł opisywał później swoje życie i działanie w służbie Ewangelii (por. Ga 2,20). Dodatkowe światło rzucają wskazania ewangelizacyjne samego Jezusa, kiedy wysyłał uczniów *do każdego miasta i miejscowości, dokąd sam przyjszcie zamierzali* (Łk 10,1). Pierwszą sprawą, na którą należało zwrócić uwagę po wejściu do jakiegokolwiek domu, miało być pozdrowienie: *Pokój temu domowi*. Jezus dodaje: *Jeśli tam mieszka człowiek godny pokoju, wasz pokój spocznie na nim; jeśli nie, powróci do was* (Łk 10,5 n.). Przykład Maryi – pierwszej zwiastunki Ewangelii przy nawiedzeniu Elżbiety – jakby ilustruje słowa Jezusa. Pozdrowienie z Jej ust jest przekazaniem pokoju, daru wcielonego Boga dla wszystkich ludzi *Jego upodobania* (Łk 2,14). A przyjęcie go przez Elżbietę pokazuje, że jest on zarazem darem Ducha Świętego – Tego, którego wcześniej przyjęła Maryja wraz ze swoim Synem i który wyraźniej przemawia i działa przez Nią, kiedy nie posiadając się z radości wysławia Boga słowami „Magnificat” – *Wielbi dusza moja Pana*.

Ewangelizacja, której pierwszy przykład daje Matka Boża, oznacza zatem najpierw określoną postawę – łączności z Jezusem i Jego Duchem, pełnej pokoju i przekazującej go wszystkim ludziom otwartym na jego działanie. Wszystko inne jest eksplikacją i owocem tego jednego. Tam, gdzie świadectwo o Bożym pokoju budzi nerwowy niepokój, odsłania to nie działanie Boga, lecz zdradza innego ducha – tego, który nie chce mieć z Jezusem nic wspólnego (Mk 1,23 nn.) i jest pełen nerwowości, *świadom, że mało ma czasu* (Ap 12,12). Boże działanie jest zawsze pełne pokoju, co nie znaczy, że musi być powolne. Nie wyklucza pośpiechu, o czym może znowu świadczyć postawa Maryi w drodze do krewnej jak i zachowanie pasterzy, którzy z *pośpiechem* udali się w poszukiwanie zapowiedzianego znaku (Łk 2,16, por. 1,39). Skoro Bóg działa i wyraźnie wskazuje, co czynić, aby doświadczyć dalszych znaków Jego działania, to na co jeszcze czekać? Ewangelizacja staje się po prostu potrzebą świadczenia o przyjętej Ewangelii – w spokojnym pośpiechu, którego echo można znaleźć już w stoickim *festina lente*. Jednak pełniejszą formułę tej postawy można wyrazić Ignacjańskim *contemplativus in actione*, gdyż ewangelizacja jako świadectwo o działającym w ewangelist(k)ach Duchu Jezusa płynie właśnie z kontemplacji prowadzącej Go do wypełnionego w Nim i z Nim działania.

Ewangelic i Dzieje Apostolskie mówią niewiele o działaniu Maryi, ale to, co przekazują – wystarcza. Sposób Jej ewangelizacji ma prze-

strzec przed aktywizmem, w którym więcej jest ludzkiej przemysłowości (przemysłu!) niż otwarcia się na pokój Bożego działania. Nie trzeba sobie wyobrażać, że wszystko zależy od ludzkich wysiłków ze strony ewangelizujących. Kontemplacyjne otwarcie na Boże działanie zakłada bowiem, że można je dostrzec nie tylko w sobie, ale i w tych, do których jest się posłanym. Maryja doświadcza działającego w Niej i przez Nią Ducha dzięki temu, że widzi Jego działanie w swojej krewnej. To prawda, wolno powiedzieć, że to Ona przekazała działającego w Niej Ducha. Ale przecież Boży Duch działał już wcześniej w Elżbiecie, skoro także w niej poczęcie było szczególnym znakiem Bożego zmiłowania. W tym sensie wolno też stwierdzić, że w spotkaniu z ewangelizowanym człowiekiem nie chodzi o przekazanie Ducha, który wcześniej był w nim nieobecny. Sens spotkania polega raczej na uwyrażeniu tego, co wcześniej pozostawało w ukryciu – że Duch Boży sam przygotował ludzkie serce na przyjęcie Go w sposób jeszcze pełniejszy. Tak właśnie można pojmować ewangeliczne słowa o Bożym pokoju.

Nie muszę dodawać, że podkreślony tu wymiar maryjnej ewangelizacji ma istotne znaczenie zwłaszcza dzisiaj – w spotkaniu z ludźmi innych religii. Może należałoby powiedzieć, że nowa ewangelizacja oznacza również odnajdywanie Jezusa w tych, którzy na pozór jeszcze się z Nim nie zetknęli, a jednak przez sam fakt, że wszyscy zostali stworzeni w Chrystusie (1 Kor 8,6) i są oświeceni Jego światłem (J 1,9), nie mogą być od Niego całkowicie oddzieleni (Rz 8,35). Nie wchodząc tutaj głębiej w tę kwestię, zwrócę uwagę na jeszcze jeden ważny rys postawy, którą określałam w tych rozważaniach mianem maryjnej ewangelizacji. Wydaje się oczywiste, że pierwszym zadaniem Jezusowego ucznia jest dawać o Nim świadectwo, re-prezentować, czyli uobecniać Go w całym życiu i działaniu. Nie mniej oczywiste winno być i to, że takie świadectwo zakłada doświadczenie więzi z Jezusem. Dodatkowe światło na tę tajemnicę pada... w cieniu krzyża. Ostatnie słowa Ukrzyżowanego do umiłowanego ucznia wskazują stojącą pod krzyżem Maryję: *Oto Matka twoja* (J 19,27). Ponieważ uczeń jest przedstawicielem Jezusowej wspólnoty miłości, słowa Mistrza odnoszą się do wszystkich członków tej wspólnoty, do całego Kościoła. Każdy umiłowany uczeń Jezusa otrzymuje z wysokości krzyża *jako jedyną misję przyjęcie Maryi jako Matki. Jego pierwszym zadaniem nie jest głosić Ewangelię, lecz stać się synem Maryi*⁵.

⁵ I. de la Potterie SJ, *Maria nel mistero dell'alleanza*, Genova 1992², s. 247.

Przytoczone słowa brzmią skrajnie, ale ich sens staje się jaśniejszy w świetle komentarza wielkiego Orygenesa do Janowej Ewangelii. Zauważywszy ogólnie, że nie pojmie jej nikt, *kto nie spoczywał na łonie (piersi) Jezusa i nie przyjął od Niego Maryi jako Matki*, Aleksandryczyk wskazuje dalej, na czym polega bycie synem Matki Jezusa: *Według tych, którzy mają o Niej słuszne zdanie, Maryja nie miała innych synów poza Jezusem; kiedy więc Jezus mówi do swojej Matki: „Oto syn twój”, a nie: „Oto ten człowiek jest także twoim synem”, to chce jakby powiedzieć: „Oto Jezus, którego zrodziłaś”. Faktycznie bowiem, jeśli ktoś doszedł do doskonałości, to nie żyje już on, lecz żyje w nim Chrystus, i właśnie dlatego, że żyje w nim Jezus, jest o nim powiedziane do Maryi: „Oto syn twój”, Chrystus⁶. Zatem Maryja jest Matką uczniów Jezusa w tej mierze, w jakiej On sam jest w nich obecny. A ponieważ Jego obecność nie jest czymś statycznym, lecz oznacza ciągle wzrastanie, jakby Jego rodzenie się w życiu ucznia, dlatego macierzyństwo Maryi wiąże się z tym właśnie procesem – dojrzewania człowieka do Chrystusowej pełni, aby jak najpełniej świadczyć o niej także wobec innych, w dziele ewangelizacji.*

Ten maryjny wymiar ewangelizacji można powiązać z „maryjnym wymiarem życia”, na który u każdego ucznia Chrystusa wskazuje Jan Paweł II⁷. Wraz z Ojcem Świętym można go dostrzec zwłaszcza w słowach Pisma odnoszących się do umiłowanego ucznia Jezusa, który wziął Maryję *do siebie*. Wzięcie Matki Bożej do siebie, do serca, oznacza więcej niż tylko „wprowadzenie” Jej do najgłębszego wymiaru własnego życia. Oznacza przyjęcie Jej macierzyńskiej pomocy, w Jego rodzeniu się w nas, aby przez swoją obecność mógł On coraz pełniej rozwijać ewangelizację podejmowaną w Jego imię.

Od-nowa z Maryją

Ostatnie rozważania otwierają dodatkową perspektywę. Dotąd skupiłem się bardziej na postawie, której przykładem – szczególnie w dziele ewangelizacji – może być Maryja. Powstaje pytanie, czy Jej tajemnica nie wiąże się także z treścią Ewangelii. Skoro wzięcie Maryi *do siebie* oznacza odkrycie Jej w łączności Chrystusem, który najgłębiej kształtuje (oświeca!) stworzonego w Nim człowieka, to czy nie można wskazać wyraźniej maryjnego wymiaru tego początku w Chrys-

⁶ *In Johannem* 1,4; por. I. de la Potterie, dz. cyt., s. 240.

⁷ *Redemptoris Mater*, nr 45.

tusie? Czy skupienie się na tajemnicy Maryi nie ukazuje wyraźniej, na czym polega dobry i radosny charakter nowiny o Bożym królowaniu, objawionym w Jezusie i Jego Duchu? Są to pytania teologiczne. Trudno wyobrazić sobie prawdziwie nową ewangelizację bez odnowionej – szczególnie w wymiarze maryjnym – teologii.

Pierwszym i najbardziej tajemniczym znakiem Ewangelii o Bożym królowaniu, znoszącym zło w świecie, jest Jezusowy krzyż. Tajemnica wyraża się w tym, że patrząc po ludzku można dostrzec w Ukrzyżowanym nie zwycięstwo nad złem, ale porażkę, poddanie się wobec silniejszego na pozór zła. Jednak spojrzenie wiary dostrzega więcej. Jako pierwsi zaświadczyli o tym „obcy” – współwizujący z Jezusem łotr oraz stojący przy krzyżu rzymski żołnierz. Obaj doświadczyli mocy miłości, z jaką Jezus poddawał się Jednemu – Ojcu – na znak, że Jemu pozostawia wyraźne objawienie dokonanego na krzyżu zwycięstwa nad złem. Pierwszym znakiem była przemiana złego łotra – w dobrego. Jeszcze wyraźniejszym i bardziej powszechnym znakiem było zmartwychwstanie. A jednak najpopularniejszym znakiem Chrystusowego zbawienia pozostał krzyż. Może dlatego, że właśnie z myślą o swojej śmierci na krzyżu sam Jezus wypowiedział najbardziej i najpowszechniej zbawienne słowa: *A Ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę WSZYSTKICH do siebie* (J 12,32)...

Maryjny wymiar tego znaku nie ogranicza się do obecności Matki Bożej pod krzyżem i do powierzenia Jej jako Matki uczniowi. Odniesione przez Jezusa ostateczne zwycięstwo nad złem jawi się jeszcze wyraźniej w innym znaku – Niepokalanej depczącej głowę węża. Tajemnica Niepokalanego Poczęcia jest może najczystszyznym znakiem prawdziwie radosnej nowiny o nieodwracalności Bożego zwycięstwa, skoro wskazuje ona, że wąż symbolizujący zło jest podeptany, „unieszkodliwiony”. Trudno zatem uznać za przypadek to, że najgłośniejszy polski święty XX w. – Maksymilian Kolbe – właśnie w tajemnicy Niepokalanego Poczęcia dojrzał jakby centrum całej Ewangelii i dlatego fundamentem swojego dzieła ewangelizacji uczynił tę jedną tajemnicę. Zresztą znamienne jest, że w swym życiu pod znakiem tej tajemnicy on sam stał się w końcu nowym znakiem zwycięstwa Bożej miłości nad złem, którego dodatkowym symbolem w naszych czasach stał się obóz koncentracyjny w Auschwitz. To dodatkowy powód, by w teologii oraz ewangelizacji *po Auschwitz i po Kołymie*, uwzględnić świadectwo św. Maksymiliana – nie tylko jego śmierci, ale całego życia w świetle tajemnicy niepokalanego poczęcia.

W tym miejscu nie mogę już (i jeszcze) rozwinąć dokładniej teologicznej argumentacji, która pokazałaby głębszy – nie ograniczający się

tylko do Maryi – sens tajemnicy niepokalanego poczęcia⁸. Dodam tu jedynie, że same biblijne źródła obrazu Niewiasty depczącej głowę węża (Rdz 3,15; Ap 12) nie odnoszą się do jednej osoby, lecz do wspólnoty – Kościoła czy ludzkości. Także inne wypowiedzi Pisma, które np. liturgia Kościoła stosuje do tajemnicy niepokalanego poczęcia, nie ograniczają się do Maryi, lecz mówią o związku wszelkiego ludzkiego początku (poczęcia!) z Chrystusem, z czym wiąże się powołanie do tego, abyśmy byli święci i niepokalani (Ef 1,3 nn.). Inną kwestią jest to, na czym polega wyróżniony charakter niepokalanego poczęcia w przypadku Maryi. Jednak zwrócenie uwagi na łaskę Chrystusa, która poprzedza w Niej i ogranicza z góry skutki grzechu Adama, ma swój ostateczny fundament w prawdzie o Chrystusowym zbawieniu: Nie jest ono tylko Bożą reakcją na grzech Adama, który zniszczył plan związany ze stworzeniem, lecz jest objawieniem ukrytej wcześniej prawdy o tym, że już od początku Boży plan wobec świata oznacza stworzenie w Chrystusie, czyli że już początek świata i każdego człowieka ZAKŁADA w Bożym zamyśle tajemnicę wcielenia.

Obecność w nas skutków grzechu pierworodnego nie powinna przysłaniać faktu, że również nasz początek jest ostatecznie ukryty w Bogu na mocy tajemnicy stworzenia w Jezusie Chrystusie – Początku i Końcu wszelkiego stworzenia. Jaki zatem będzie nasz koniec? Pozostaje on ukryty. Jednak odnowione, maryjne spojrzenie na początek – w dodatkowym świetle tajemnicy niepokalanego poczęcia – pozwala żywić nadzieję, że również koniec będzie objęty Chrystusową łaską. Nowa ewangelizacja nie może pomijać tego wymiaru, lecz winna na niego otwierać – wszystkich ludzi. Odnowa może i powinna zatem oznaczać: od nowa z Maryją, zarówno w naśladowaniu Jej postawy jak i w odnowionym dzięki Niej spojrzeniu na istotę Ewangelii – Dobrej Nowiny o zbawieniu, które nie ma granic. Jedynie szukając wytrwale w każdym człowieku ukrytego w nim obrazu Boga i znaku stworzenia w Chrystusie można stać się wiarygodnym świadkiem Pana, *który pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy* (1Tm 2,4).

Jacek Bolewski SJ

⁸ Wstępne rozważania na ten temat można znaleźć w moim *Nic jak Bóg. Postacie iluminacji Wschodu i Zachodu*, Warszawa 1993, s. 214 nn. oraz: *Nie bać się nieba*, dz. cyt., s. 149-200, 243-261.

Białoruskie poszukiwania Białorusi (dokończenie)

Niewolnik sprawy białoruskiej

Wacław Iwanowski mieszkając w Warszawie bez wątpienia śledził to wszystko, co się działo z Białorusinami po obu stronach granicy. Bolał zapewne, że Polska nie znalazła sposobu częściowego przynajmniej rozwiązania sprawy białoruskiej. Co gorsza, pod wieloma względami polityka narodowościowa Warszawy pod koniec lat trzydziestych była ostrzejsza, i w efekcie mniej korzystna dla Polski, niż postępowanie rządów na początku lat dwudziestych. Winę za to ponoszą także te czynniki białoruskie, które mimo wszystko liczyły na ZSRR, tym samym ustawiając się na pozycjach zdecydowanie wrogich Polsce. J. Turonek po opisie antybiałoruskiej polityki ZSRR realizowanej najbardziej brutalnymi metodami w latach trzydziestych, stwierdza wprost: *W tej sytuacji, mimo uzasadnionego rozczarowania polityką polską, orientacja zachodniobiałoruskich działaczy na Mińsk i Moskwę była tragiczną naiwnością. W normalnych warunkach zapłaciliby za to wieczną kompromitacją polityczną, jednakże w ówczesnych warunkach koszt ich naiwności był jeszcze większy. Członkowie KPZB i Hromady, którzy polskie więzienie zamienili na schronienie w ZSRR, zostali wymordowani w łagrach i kazamatach NKWD...*

Wacław Iwanowski trzymał się z daleka od komunistów. J. Turonek powiada, że jego bohater czekał na *wielki wstrząs, który zburzyłby stworzony w Wersalu i Rydze układ polityczny w Europie. Tylko on mógłby przybliżyć wizję białoruskiej państwowości*. Brzmi to dla nas szokująco, jest jednak zgodne z oczekiwaniami Białorusinów i Ukraińców, tylko w wielkim wstrząsie widzących swe szanse. Jest to dla nas trudne do przyjęcia, ale przecież tyłu naszych przodków marzyło o wielkiej wojnie ludów, dostrzegając w tym iskrę nadziei na powstanie wolnej Polski.

W połowie września 1939 r. Wacław Iwanowski wraz ze swym bratem Jerzym dociera do Lublina, gdzie następuje rozstanie: Jerzy przez Rumunię i Francję kieruje się ku Wielkiej Brytanii, Wacław jedzie do Wilna. Dzięki poparciu drugiego z braci, Tadeusza, otrzymuje pracę na Uniwersytecie Wileńskim, powstałym po zlikwidowa-

niu przez Litwinów słynnego polskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Na co liczy? Jego biograf odtwarza przypuszczalny tok rozumowania Wacława. Nieuchronny jest konflikt zbrojny III Rzeszy ze Związkiem Radzieckim. Z walki tej oba mocarstwa wyjdą znacznie osłabione. A zatem po wojnie *kwestia białoruska może być rozwiązana tylko łącznie ze sprawą odbudowy państwa polskiego. Formalno-prawną podstawą takiego działania miałyby być federacja Polski i Białorusi jako dwóch niezależnych państw.*

Było to więc bezpośrednie nawiązanie do wcześniejszych koncepcji federacyjnych. *Interes Polski miałby polegać na stworzeniu białoruskiego buforu, oddzielającego ją od Rosji, co po przyłączeniu Ukrainy stworzyłoby całkowicie nowy system polityczny w Europie Wschodniej, zdolny do przeciwstawienia się ekspansji rosyjskiej i niemieckiej. Wacław Iwanowski oraz podzielający jego poglądy wybitny działacz białoruski Jan Stankiewicz próbują wykorzystać wojenną sytuację dla swego planu. Chodziło o zbudowanie przy pomocy Niemców podstawowej sieci białoruskiej administracji terenowej oraz załóżka własnych sił zbrojnych, aby po wojnie mieć w ręku konkretne argumenty w rozmowie z Polską i aliantami zachodnimi. Znając nastawienie Polaków do Niemców liczone się z negatywnymi reakcjami polskiego podziemia na białoruską współpracę z najeźdźcą. Doszło więc do podziału ról: Iwanowski miał się zająć działalnością oficjalną, Stankiewicz zaś – stworzeniem ugrupowania konspiracyjnego, wolnego w oczach polskiego podziemia od zarzutu współpracy z Niemcami.*

Gra była ryzykowna i właściwie beznadziejna. Zdecydowana większość polityków białoruskich odrzucała możliwość bliskich związków z Polską. Armia Czerwona była witana kwiatami. Faktem jest, że Białorusini walczyli z Niemcami w polskich mundurach, ale faktem są też akty nieprzychylne Polakom, którzy nagle znaleźli się pod władzą Moskwy. Ponieważ końcówka lat trzydziestych nie należała do dobrych okresów w naszych wzajemnych stosunkach, część Białorusinów odpłacała teraz Polakom za wszystko, co wtedy zdarzyło się złego, a może nawet i za wieki polskiej dominacji. Polacy znaleźli się w bardzo trudnym położeniu, osaczeni przez machinę stalinowską i przez niechęć i wrogość miejscowej ludności białoruskiej. Co więcej, Polacy nie kryli, że robią wszystko, aby kształt państwa wyłonionego po wojnie był co najmniej odbiciem stanu sprzed niemieckiej i radzieckiej agresji. W każdym razie granice wschodnie były poza dyskusją.

Moskwa, swoim wypróbowanym zwyczajem, rozpoczęła działania propagandowe: pierwsze posunięcia nowej władzy świadczyły o realizacji najważniejszych postulatów ekonomiczno-oświatowych, ignorowanych w okresie międzywojennym przez władze polskie – pisze Turonek. Jest to jednak tylko część prawdy i autor dopowiada: *Władze sowieckie dawały chłopom ziemię, umożliwiały awans społeczny, ogłosiły język białoruski językiem urzędowym, wprowadzały go do szkół i wydawały w nim gazety, lecz jednocześnie przystąpiły do fizycznej likwidacji znanych działaczy białoruskiego ruchu narodowego.* A jednak nie osłabiała to sympatii do ZSRR, obecnych szczególnie u białoruskich polityków.

Sytuacja była tak powikłana, że każdą tezę można poprzeć przykładami z życia: byli sympatycy ZSRR i antykomuniści, była niechęć do Polaków i współdziałanie z polskim podziemiem. Były bramy tryumfalne na przyjęcie Armii Czerwonej i była współpraca z hitlerowcami.

Pochód armii niemieckich na wschód, zdawało się, stwarzał możliwości działania Wacławowi Iwanowskiemu. Zgodnie z planem Jan Stankiewicz nawiązywał kontakty z polskim podziemiem, a Iwanowski czekał na deklaracje niemieckie. W lipcu 1941 r. *niemieckie władze wojskowe zezwoliły na reaktywowanie zamkniętego w 1938 r. przez wojewodę wileńskiego Białoruskiego Komitetu Narodowego.* Przewodniczącym wybrano Wacława Iwanowskiego, który liczył ponoć nie tylko na organizację białoruskiego szkolnictwa, ale i na tworzenie zrębów administracji i formacji zbrojnych. Z planów tych w Wilnie nic nie wyszło. Znacznie większe możliwości działania uzyskał Iwanowski w Mińsku, gdzie od listopada 1941 r. do czerwca 1942 r. pełnił funkcję zastępcy burmistrza, a następnie burmistrza. Należał w tym czasie do bliskich współpracowników generalnego komisarza Białorusi, Wilhelma Kubego.

Zanim potęgimy Wacława Iwanowskiego, wysłuchajmy jego obrońcy. Konieczny jest w tym miejscu dłuższy cytat z J. Turonka: *W odróżnieniu od oficjalnej polityki berlińskiej, mającej na celu głównie gospodarczą eksploatację okupowanych obszarów, Kube od początku swej działalności w Mińsku zmierzał do przywrócenia Białorusi jej narodowej tożsamości. Generalny komisarz twierdził w publicznych wypowiedziach, iż w warunkach wolnych od dominacji politycznej rosyjskiej i polskiej, jakie stworzyła okupacja niemiecka, naród białoruski uzyskał szansę nadrobienia w krótkim czasie historycznych opóźnień w rozwoju świadomości narodowej. Działalność administracji okupacyjnej w dziedzinie politycznej miała być ukierun-*

kowana na przyspieszenie tego procesu, przezwyciężenie obcych naleciałości ideowych i wzmocnienie białoruskich pierwiastków narodowych, przede wszystkim poprzez rozwój szkolnictwa, kultury i pracy wśród młodzieży.

Cytowany autor wylicza dokonania generalnego komisarza w sferze oświaty i kultury białoruskiej, nie zapominając, że komisarz *uznał konieczność stopniowej białorutenizacji administracji, Kościoła prawosławnego i katolickiego i innych dziedzin życia publicznego.*

Turonek pośrednio przyznaje, że polityka Kubego polegająca na preferowaniu Białorusinów stawiała w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji zamieszkałych tam Polaków. W ogóle napięcia między Polakami i Białorusinami, dość silne same w sobie, przybierały drastyczną formę wszędzie tam, gdzie ingerowali Niemcy, a później władze radzieckie. Wiadomo, że Wehrmacht początkowo powierzał funkcje kierownicze w lokalnej administracji tym, którzy mogli się wylegitymować antykomunizmem i mieli minimum kwalifikacji do pełnienia powierzonych funkcji. Często byli to Polacy. W źródłowym opracowaniu omawiającym Białoruś pod okupacją niemiecką J. Turonek przytacza raport sytuacyjny Delegatury Rządu z okręgu białostockiego. Czytamy tam: *W chwili obecnej prawie wszystkie posterunki administracyjne, z wyjątkiem kierowniczych, obsadzanych przez Niemców, znalazły się w rękach Polaków (...) Zresztą brak fachowców białoruskich zmusił okupanta do oparcia się na elemencie polskim (...) Służbę pomocniczą pełni policja miejscowa zorganizowana prawie wyłącznie z b. policjantów polskich...*

Organ podziemnego Stronnictwa Demokratycznego „Nowe Drogi” opisywał powroty polskich właścicieli ziemskich na swe gospodarstwa. Zdarzało się, że wracali *rozwścieczeni, pełni zapалу odwetowcy, pod znakiem zemsty za to, co było. Rozpoczęły się gorszące sceny gwałtów przy odbieraniu inwentarza martwego i żywego. Wielokrotnie uciekano się do władz niemieckich o pomoc w dochodzeniu praw własności. Władze niemieckie interweniowały z ochotą i „kuły mordy” chłopom w obronie „słuszných praw polskiego pana”. Podobnie donosił Wywiad Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) informując, że część obywateli ziemskich wraca pod osłoną żandarmerii niemieckiej. Wywołuje to konflikty z chłopami, którym odbiera się skotłozowaną ziemię folwarczną i różne zabrane z dworu ruchomości (...) Niemcy stwarzają pozór, że „przywracają Polskę” i w ten sposób stwarzają antagonizmy między Białorusinami i Polakami.*

J. Turonek w cytowanej właśnie książce pt. „Białoruś pod okupacją niemiecką” wyróżnia trzy główne kategorie decydujących się na pracę

w niemieckim aparacie pomocniczym: Białorusinów dążących do stwarzania podstaw egzystencji przyszłego państwa białoruskiego; Polaków chcących przetrzymać okupację z zachowaniem dawnego stanu posiadania oraz komunistów podejmujących pracę z myślą o dywersji na rzecz ZSRR. Na ziemiach, o których opowiadamy, toczyła się walka; uczestniczyły w niej dwie ścierające się z sobą potęgi – niemiecka i radziecka – wywierające bezpośredni i pośredni wpływ na stosunki między Białorusinami i Polakami. Ma rację Turonek podkreślając wyjątkowe, nawet jak na czas wojenny, splątanie różnorodnych interesów oraz zaburzenie klasycznego wzoru okupanci – okupowani. Na tamtych ziemiach toczyła się wojna między III Rzeszą i Związkiem Radzieckim, ale wiele działań nosiło cechy wojny domowej, w której uczestniczyli Białorusini, Polacy i partyzantka radziecka. Sojusznik w jednej sprawie stawał się przeciwnikiem w innej. Wszystko to działo się najpierw w warunkach dominacji niemieckiej, później radzieckiej. Berlin i Moskwa wygrywały napięcia wewnętrzne między społecznością polską i białoruską, nie rezygnując także z możliwości prowokowania zajęć wzmacniających konflikty. Ani Berlin, ani Moskwa nie przewidywały w swych planach niezależnego państwa białoruskiego. Moskwa łudziła jednak wizją „radzieckiej Białorusi” i znajdowała dość liczne rzesze zwolenników czynnie wspierających radziecką partyzantkę. Berlin traktował ziemie białoruskie w sposób skrajnie instrumentalny, choć niektórzy z niemieckich polityków dawali do zrozumienia, że Białorusini mogą liczyć na zmianę polityki. Należał do nich przede wszystkim Wilhelm Kube wznoszący okrzyk: *Z Adolfem Hitlerem do samostanowienia narodu białoruskiego*¹.

Pamiętajmy, że Niemcy zapisały się dość dobrze w pamięci inteligencji białoruskiej w czasie I wojny światowej, stwarzając warunki rozwoju białoruskiego szkolnictwa i w ogóle uznając, jako jedyna z ówczesnych potęg, odrębność narodową Białorusinów. Do tych tradycji nawiązywał być może generalny komisarz, tworząc w Mińsku białoruski Komitet Zaufania (zwany potocznie Radą Zaufania) pod przewodnictwem Wacława Iwanowskiego. Miało to miejsce pod koniec czerwca 1943 r., niemal równocześnie z powołaniem Białoruskiego Towarzystwa Naukowego, któremu także przewodniczył burmistrz Mińska.

¹ J. Turonek, *Białoruś pod okupacją niemiecką*, Warszawa 1993, s. 66, 73, 165, 186.

Na co naprawdę liczył Wacław Iwanowski? Jego biograf twierdzi, że burmistrz Mińska nie łudził się, że Niemcy wygrają wojnę. Nie był przecież zaufanym człowiekiem aliantów zachodnich. Zatrudnił co prawda w mińskim zarządzie miejskim przedstawiciela polskiego podziemia, ale zachował całkowity dystans wobec jego działań politycznych. Zawierzył generalnemu komisarzowi, ponieważ Kube umożliwiał białorusenizację Białorusi? Być może Wacław Iwanowski stał się niewolnikiem sprawy białoruskiej i współdziałał z tymi, którzy realnie robili coś w celu zbudowania struktur niepodległościowych w tworzeniu państwowości. Jeśli tak właśnie było, to płacił za to wysoką cenę. W tym czasie, kiedy Kube mówił o samostanowieniu narodu białoruskiego, karne ekspedycje niemieckie szalały po białoruskiej ziemi. Komitet Zaufania przedstawił władzom sprawozdanie o przebiegu akcji pacyfikacyjnych występując w obronie cywilnej ludności, ale nie przyniosło to pożądanych efektów.

Nie wiemy, jak reagował na wiadomości o tragicznym losie Polaków. Strona białoruska omawiając sytuację w czasie okupacji niemieckiej podkreśla aktywność Polaków w początkach okupacji. Była już o tym mowa. Niewątpliwie część Polaków odgrywała się za upokorzenia doznane w okresie po wrześniu 1939 r. J. Turonek w swej opowieści o Wacławie Iwanowskim twierdzi, że chęć odwetu przerosła się w *denuncjowanie Białorusinów jako komunistów, co w pierwszych tygodniach okupacji spowodowało wiele ofiar, szczególnie wśród inteligencji białoruskiej*. Autor ten przyznaje dalej, że od jesieni 1941 r. nasiliły się *antypolskie denuncjacje ze strony działaczy białoruskich, którzy tą drogą usiłowali zwalczać dominację polską*.

Nawet jeśli nie odpowiadał za to bezpośrednio Wilhelm Kube, to czy wrogości wobec Polaków nie podsycala zainicjowana przez komisarza generalnego białorusenizacja aparatu administracyjnego? A jeśli tak, to co o tym sądził burmistrz Mińska? Być może i do Wacława Iwanowskiego odnosi się opinia jednego z dowódców AK okręgu wileńskiego, zanotowana w październiku 1942 r.: *Tak samo jak Litwini, Białorusini uważają, że od Niemców nie trzeba niczego się spodziewać, ale współpracują z nimi, bo uważają za korzystne dla siebie wyniszczenie polskości. Traktują to jako oczyszczenie gruntu dla swojej przyszłej działalności*.

Dramatyzm sytuacji polegał głównie na tym, że walka o wpływy toczyła się na ziemiach spornych, uważanych za swoje z jednej strony przez Białorusinów, Litwinów i Ukraińców, z drugiej zaś przez Polaków, którzy nie wyobrażali sobie powojennej Polski bez kresów

wschodnich. I był jeszcze ten trzeci – radziecki imperializm. I wciąż była na scenie potężna machina wojenna III Rzeszy.

W obliczu nadciągającej klęski plany Wilhelma Kubego były zwykłymi mrzonkami. Czy zdawał sobie z tego sprawę Iwanowski? Bez wątpienia wiedział, że pozycja Kubego jest zagrożona i górę biorą jego polityczni przeciwnicy. Posunęli się nawet do zamachu na życie generalnego komisarza. Stało się to pod koniec września 1943 r. Na początku grudnia tego roku los generalnego komisarza podzielił burmistrz Mińska.

Tak zakończyła się życiowa i polityczna droga Wacława Iwanowskiego.

J. Turonek w zakończeniu swej „Białorusi pod okupacją niemiecką” proponuje następującą wykładnię białoruskiego zaangażowania się po niemieckiej stronie: *Rusyfikacyjna polityka władz radzieckich stanowi najważniejszy punkt odniesienia dla oceny i działalności białoruskich kół politycznych i części społeczeństwa, które w warunkach okupacji niemieckiej dążyły do zachowania i umocnienia tożsamości narodowej. Działania te były następstwem nie tylko doświadczeń przedwojennych, lecz także przewidywań niezmienności kursu radzieckiej polityki narodowościowej, co wymownie potwierdziła praktyka powojenna. Dlatego też działania te, mimo iż nie mogły doprowadzić do stworzenia samodzielnego państwa białoruskiego, były z narodowego punktu widzenia uzasadnione².*

Po wojnie

Zaprezentowana wyżej ocena jest poza dyskusją: można ją przyjąć lub odrzucić. Autor zastrzega się zresztą pisząc o *części społeczeństwa* gotowej do współpracy z niemieckim okupantem, a motywowanej narodowo. Jak liczna to była grupa? Można zasadnie przyjąć, że należeli do niej inteligeni, dla których np. istnienie szkół białoruskich stanowiło ważny element narodowej strategii. A co z chłopstwem? A co z tymi, którzy byli już bardziej Rosjanami niż Białorusinami? Ziemia białoruska została wyjątkowo doświadczona przez wojnę, i to przez obie walczące z sobą potęgi. Zbrodnie hitlerowców były jawne i podlegały powszechnemu potępieniu. Zbrodnie stalinowców pokrywała ziemia i ciężące kamieniem milczenie. Od samego

² Dz. cyt., s. 240-241.

początku wszyscy wiedzieli o spalonych białoruskich wsiach, których symbolem stał się Hatyń, ale stosunkowo nieliczni wiedzieli o Kuro-patach.

Niewątpliwie dla umęczonych wojną i okupacją niemiecką Białorusinów Armia Czerwona ukazywała się w legendzie armii wyzwolicielskiej. I tak było w wąskim znaczeniu słowa „wyzwolenie”. Armia ta przesuwiała aż za Brześć i Grodno zachodnią granicę ZSRR, co mogło być odbierane jako scalanie ziem białoruskich. W każdym razie kolejny raz witano kwiatami radzieckie wojska. Działo się tak i po polskiej stronie granicy.

Ocenia się, że na terenie tej nowej Polski przebywało co najmniej 150 tys. Białorusinów, skupionych głównie w powiatach białostockim, bielskim i sokólskim. Badający ten okres Eugeniusz Mironowicz podaje, że tuż po wojnie *władza należała do przedstawicieli ludności białoruskiej (wójtowie, sekretarze gmin, sołtysi, milicjanci byli Białorusinami), lecz w końcu 1944 r., w związku z podpisaniem umowy między PKWN a rządem BSRR o repatriacji, władze wojewódzkie wydały decyzje o „spolszczeniu” administracji także na tym terenie.*

Wspomniana umowa o tzw. repatriacji, a faktycznie o dobrowolnym, choć wspieranym przez władze przemieszczaniu się ludności polskiej do PRL i ludności białoruskiej do ZSRR, została zbojkotowana przez Białorusinów, którzy nie chcieli opuszczać swych stron rodzinnych i wyjeżdżać na niepewne, na „radziecką Białoruś”. Do końca 1946 r. wyjechało zaledwie 37 tys. Białorusinów. Polacy, których „przekroczyła granica”, musieli podjąć trudną decyzję: opuścić swe rodzinne domy i wyjechać do Polski, osiedlając się głównie na Ziemiach Północnych i Zachodnich, czy też mimo wszystko pozostać tam, gdzie od dawna zapuścili już korzenie. Wielu wyjechało, lecz wielu pozostało i dopiero dziś mają oni możliwość jawnego przyznawania się do polskości. Nie wiemy, ilu Polaków milcząc przyjęło wpisanie ich na listę Białorusinów czy Rosjan. Nie wiemy też, ilu Białorusinów przeniosło się po wojnie do Polski korzystając z okazji, że mieli przed wojną polskie obywatelstwo.

Powróćmy jednak do głównego wątku naszej opowieści. Nie ma wątpliwości, że Białorusini stali się podporą nowego systemu politycznego w Polsce. Stwierdza to cytowany E. Mironowicz: *Wzięli oni rzeczywiście aktywny udział w tym procesie, lecz nie byli siłą decydującą. Odegrali raczej drugorzędną rolę, wspierając władzę, nie mając zresztą innego wyboru.* Autor ten podkreśla, że Białorusini znaleźli się pod presją polskiego podziemia politycznego, oskarżającego ich o dawne, sięgające początków lat dwudziestych, popieranie komuni-

stów. Atakowani przez podziemie, znaleźli się po tej samej stronie barykady co władza. Ponadto wobec dwóch zwalczających się potencji polskich, bliższa im była władza ludowa, z której zwycięstwem wiązali nadzieje na przetrwanie na swojej ziemi (podziemie terrorem zmuszało do wyjazdu do ZSRR), wzrost bezpieczeństwa oraz powrót do normalnego życia. Białorusini zainteresowani byli pozostaniem w Polsce i w rzeczywistości stanowili najbardziej lojalny element wobec ludowego państwa.

Chcąc pozostać w Polsce – kontynuuje Mironowicz – Białorusini musieli się upodobnić do Polaków, czyli przede wszystkim zrezygnować ze stawiania postulatów narodowych. W praktyce traktowano ich wtedy jako obywateli polskich – i faktycznie Polaków – wyznania prawosławnego. Uzyskali dostęp do wszystkich instytucji stanowiących elementy składowe ludowego państwa: PPR, UBP, MO, ORMO, rad narodowych. Stanowili w nich znaczny odsetek składu osobowego. Białorusini zyskali szerokie możliwości awansu społecznego, uczestniczenia w życiu politycznym, kulturalnym i gospodarczym, lecz żadnych możliwości rozwoju własnego życia narodowego. Otrzymali pełnię praw jako Polacy, nie natomiast jako Białorusini.

W potocznej opinii wciąż żywej na Białostocczyźnie Białorusinów pomawia się o wyjątkową skłonność do komunizmu. Uogólnienie to jest krzywdzące, choć prawdą jest, że Białorusini w sposób wyraźniejszy niż Polacy włączyli się w narzucanie krajowi ustroju komunistycznego. Po prostu w ustroju tym dostrzegli swoją szansę. Że nie jest to tylko przypadek białoruski, świadczy wyraźne zaangażowanie się Polaków z Zaolzia po stronie partii komunistycznej jako jedynej, która zapowiadała możliwość kultywowania kultury narodowej polskiej mniejszości. Białorusini zrobili to wręcz ostentacyjnie. Dane z połowy 1945 r. są nad wyraz wymowne. W powiecie białostockim Białorusini stanowili 25% ludności, a w PPR ich udział sięgał ponad 75%. W powiecie bielskim wskaźniki wynosiły odpowiednio 45% i ponad 84%.

W tym samym czasie władze przystąpiły do likwidacji białoruskiego szkolnictwa, szermując hasłem, że *Białorusini wyjeżdżają z Polski i szkoły takie nikomu nie są już potrzebne*. Zlikwidowano też białoruski zespół teatralny „Połymia”. Doszło do tego, że Białorusini składali w ambasadzie ZSRR w Warszawie petycje domagające się przywrócenia szkolnictwa w języku ojczystym. Od lata 1949 r. rozpoczął się – jak to określa Mironowicz – *ruch wokół białoruskiego szkolnictwa*. Charakterystyczne, że w województwie białostockim organizację tego szkolnictwa zaczęły zajmować się nie tylko władze oświatowe,

lecz także cała administracja, komitety partyjne i Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

Ludność białoruska traktowała tę akcję z podejrzliwością. Obawiano się także – pisze Mironowicz – *że samo istnienie takich szkół może doprowadzić do konfliktów z ludnością polską*³. Niewątpliwie część Białorusinów chciała się wtopić w polskie tło, lękając się oskarżenia o białoruski nacjonalizm i separatyzm i tym bardziej podkreślając swe przywiązanie do komunizmu i polskości. Starosta białostocki stwierdzał w 1948 r., *że na terenie powiatu być może i były elementy, które nazywały siebie Białorusinami, lecz obecnie wszyscy demonstracyjnie podkreślają swoją polskość*⁴.

Nastroje zmieniły się w połowie lat pięćdziesiątych. W lutym 1956 r. powstało Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne (BTSK), zaczęło się ukazywać białoruskie czasopismo „Niwa”, a także pojawiły się inne białoruskie wydawnictwa. Przy wszystkich zastrzeżeniach do ówczesnej polityki narodowościowej poddanej czujnemu nadzorowi MSW, została stworzona możliwość kultywowania białoruskiej kultury. Po tamtej stronie granicy białoruskość była w odwrocie, coś dopiero mówić o polskości!

Nowy etap

Począwszy od 1989 r. rozpoczął się nowy etap w naszej polityce narodowościowej. Rozpad ZSRR umożliwia wreszcie nawiązywanie partnerskich stosunków między Rzeczpospolitą Polską i jej wschodnimi sąsiadami: Litwą, Ukrainą i Białorusią. Ważnym elementem tych stosunków są sprawy mniejszości białoruskiej w Polsce i polskiej na Białorusi. Po tamtej stronie granicy działa prężny Związek Polaków na Białorusi (ZPB) i inne organizacje, po naszej stronie najsilniejszą organizacją białoruską jest wciąż Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, choć straciło na szczęście status monopolisty.

Latem 1993 r. w Białymstoku doszło do spotkania Białorusinów z Polski i Polaków z Białorusi. W ten sposób rozpoczęto cykliczną

³ E. Mironowicz, *Uwarunkowania polityczne rozwoju życia narodowego Białorusinów w Polsce Ludowej*, w: *Polska – Polacy – mniejszości narodowe*, dz. cyt., s. 279, 281, 283.

⁴ G. Janusz, *Usytuowanie mniejszości narodowych w społeczeństwie i polityce państwa polskiego po 1945 r.*, w: *Mniejszości narodowe w polskiej myśli politycznej XX wieku*, dz. cyt., s. 231.

imprezę kulturalną nazwaną „Białystok – Grodno”, organizowaną wspólnie przez obie grupy narodowe po obu stronach granicy. Licznie zebranej publiczności prezentowały się białoruskie zespoły artystyczne z Białostocczyzny i polskie z Grodzieńszczyzny. Występy zapowiadała para konferansjerów: Białorusinka z Białegostoku i Polak z Grodna. Oboje dwujęzyczni, podzielili się rolami, aby podkreślić wspólnotę losów i historii: pani Wala mówiła po polsku, pan Roman po białorusku. A wszystko to na tle Orła i białoruskiej Pogoni, na tle flag: biało-czerwonej i biało-czerwono-białej.

Latem 1994 r. podobne spotkanie odbędzie się w Grodnie.

Michał Jagiełło

Alfred Cholewiński SJ
**Chrześcijaństwo
ponownie odkrywane**

wyd. II poprawione, ss. 236, cena 40 000 zł

Wybór konferencji i homilii wygłoszonych w Radiu Watykańskim w latach 1976–1985. Książka ta, to owoc biblijnych studiów autora oraz refleksji nad doświadczeniem chrześcijańskim, którego doznał na drodze wspólnot neokatechumenalnych.

Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym.
Zamówienia prosimy kierować pod adresem:

Oficyna Przeglądu Powszechnego, ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa

sesje - sympozja

**DOŚWIADCZANIE
BRATERSTWA**

*II Europejskie
Spotkanie Jezuitów
Wschód-Zachód*

Częstochowa, 19–24 VII 1993 r.

„Misja jezuitów w jednoczącej się Europie” – pod takim hasłem odbyło się drugie spotkanie jezuitów europejskich. Pierwsze odbyło się w Chantilly pod Paryżem w 1991 r. Wtedy miało ono szczególny charakter w tym sensie, że jego pomysł zrodził się oddolnie, jako wyraz pragnienia spotkania współbraci, zwłaszcza tych z tzw. Wschodu, którzy odzyskali pełną wolność po latach prześladowań i życia ukrytego. Towarzyszyła mu również troska, by dramatyczne doświadczenia ostatnich dziesięcioleci nie przeszły bez echa, a przeciwnie – by mogły ubogacić jezuitów z Europy Zachodniej. W ciągu ostatnich dwu lat Towarzystwo Jezusowe w Europie Wschodniej na nowo powołało swoje placówki. W taki oto sposób stało się możliwe podjęcie tematu misji, jaką mają do spełnienia jezuiti w jednoczącej się Europie.

Spotkaniu w Częstochowie, w którym wzięli udział jezuiti z 17 krajów i na które przybył asystent

przełożonego generalnego na Europę Wschodnią, o. Bogusław Steczek, miało dwa uzupełniające się wymiary: odbywały się spotkania formalne poświęcone zaproponowanemu tematowi oraz wymiana braterska i spotkania nieformalne.

Jeśli chodzi o pierwszy wymiar, to refleksja i praca w grupach skupiała się na trzech głównych referatach. Alicja Grześkowiak, wicemarszałek Senatu Rzeczypospolitej Polskiej i wiceprzewodnicząca Grupy Chrześcijańskich Demokratów przy Radzie Europy, w swoim referacie „Integracja Europy a problem zagrożeń wartości chrześcijańskich” zwróciła uwagę na realne niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się Europa dążąca do zjednoczenia, a mianowicie pomijanie wartości chrześcijańskich w przygotowujących dokumentach legislacyjnych mających obowiązywać w krajach zjednoczonej Europy.

O. Andrzej Koprowski swoje refleksje poświęcił charakterystyce jezuickich zaangażowań duszpasterskich w sytuacji radykalnych zmian kulturowych, politycznych, ekonomicznych i religijnych. Wskazywał na potrzebę przemyślenia na nowo tradycyjnych prac (zważywszy postępujące starzenie się Towarzystwa Jezusowego w Europie, a zwłaszcza jej zachodniej części), mając na uwadze Ignacjanąską zasadę *dobra bardziej powszechnego*.

Podczas spotkania z ks. abpem Józefem Kowalczykiem, nuncjuszem apostolskim w Polsce, była okazja do szczerzej wymiany zdań na temat sytuacji religijnej w Polsce i problemów związanych z rolą Kościoła w dzisiejszym świecie.

Dominikanin Hervé Legrand, profesor Instytutu Katolickiego w Paryżu i doradca Konferencji Biskupów Europejskich mówił o dzisiejszej Europie jako kontekście głoszenia Dobrej Nowiny, (por. tekst w niniejszym numerze „PP”).

Do tych wystąpień należałoby jeszcze dodać dwugłos, tym razem jezuicki: o. J.-Y. Calveza z Paryża (por. tekst w niniejszym numerze „PP”) i o. Adama Żaka z Krakowa. Pierwszy mówił o swoim widzeniu Wschodu, drugi dzielił się przemyśleniami na temat Zachodu. Dyskusja, która nastąpiła po tych wystąpieniach, odsłoniła przed uczestnikami liczne trudności we wzajemnym zrozumieniu się.

Jeśli chodzi o drugi wymiar spotkania w Częstochowie, ten mniej formalny, to wymyka się on opisowi. Nie sposób oddać atmosfery braterstwa, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej odczuwalna. Sprzyjała temu praca w małych grupach językowych i tematycznych, świadectwa przedstawicieli poszczególnych prowincji (szczególnie poruszające były świadectwa z Litwy, Czech, Rumunii i Syberii). Nie sposób pominąć też spotkań wieczornych, które były okazją nie tylko do bliższego poznania się, ale i sondowania konkretnych możliwości wzajemnej pomocy.

Warto w zakończeniu podkreślić, że właśnie doświadczenie braterstwa stanowi o pożyteczności podobnych inicjatyw, których potrzebują zwłaszcza jezuici pracujący samotnie albo z dala od własnych prowincji. Każdy z uczestników spotkania wrócił do domu ubogacony duchowo

i z większą świadomością przynależności do Towarzystwa Jezusowego.

Stanisław Obirek SJ



SUB SPECIE HOMINIS

Srebrny Oset

**Galeria u Jezuitów, Poznań
17 XI – 20 XII 1993 r.**

Dzięki kolejnej wystawie zorganizowanej przez Janusza Marciniaka środowisko artystyczne Poznania, w którym nadal dominuje czysto formalne eksperymentatorstwo i postawangardowe nowinkarstwo, otrzymało silną dawkę problematyki egzystencjalnej. Wzięło w niej udział 5 artystów z Krakowa: Tadeusz Boruta, Adam Brincken, Dorota Ćwieluch-Brincken, Aldona Mickiewicz, Maciej Zychowicz. Ich sztuka ma charakter dość jednorodny, przy czym owa zgodność odnosi się przede wszystkim do prezentowanych treści. Środki wyrazu pozostają zindywidualizowane. Szczególnie godną podkreślenia cechą jest jej sakralność – poszukiwanie głębszego, duchowego sensu rzeczywistości, tajemnicy istnienia, prawdy o człowieku. Obszar tych penetracji jest dość rozległy i nie ogranicza się do tematyki biblijnej, choć także ona odgrywa istotną rolę. Bardziej jeszcze fundamentalne znaczenie ma

przyjęta tu opcja, swoisty punkt widzenia zastosowany w wyborze i interpretacji ukazywanych zjawisk i problemów. Można go określić mianem antropocentryzmu. Człowiek jest głównym przedmiotem i stanowi wyłączną perspektywę postrzegania. Rzeczywistość zostaje ukazana sub specie hominis – z punktu widzenia jego doświadczeń. Warto przy tym zaznaczyć, że antropocentryzm ten jest wyraźnie zsynchronizowany z teo- i chrystocentryzmem. Pojęcie homocentryzmu w sztuce jesteśmy na ogół skłonni wiązać ze starożytnością grecką czy rzymską, a także renesansem włoskim. Opiewano wówczas harmonijne piękno człowieczego ciała i powaby otaczającej go natury. Nawet cierpienie ukazywano w sposób wysublimowany i pełen szlachetności. Ta idealistyczna formuła jest obca krakowskiemu artyście. Tu człowiek został przedstawiony w swej kruchości i dramatycznym rozdarciu. Podobnie jak w znanym obrazie T. Boruty „Z szat obnażony”, odarto go z królewskiej purpury, pozbawiono złudzeń i znamion wielkości. Do końca swoich dni musi smakować gorycz owocu z drzewa, które rośnie w środku ogrodu zwanego Edenem. To nie złoty wiek ludzkości bywa tematem tych prac. Prezentowana w nich rzeczywistość ma na ogół wymiar tragiczny. Jest bowiem rzeczywistością wygnania.

Szczególnie przejmujące i pełne ekspresji są obrazy Grzegorza Bednarskiego. Straszliwe cierpienie doprowadziło w efekcie do totalnej destrukcji, zarówno ludzkiej physis jak i psyche, przypominającej skutki

jakieś przeraźliwej, kosmicznej katastrofy. Męczarni nie ma jednak końca. Z okaleczonych, pozbawionych korpusu głów nadal wydobywa się jęk rozpacz, zmasakrowane szczątki dłoni układają się w gest absurdałnej już modlitwy, a szybujący w przestrzeni nóż dosięga jeszcze strzępów krwawiącego mięsa. Świat tortur, okrucieństwa, bólu i szyderstwa jest bezkresny. Uwieczony w obrazie jak w klatce krzyk Hioba brzmieć będzie nawet w Wieczności.

Wizja zagłady, na jaką skazane są również otaczające nas przedmioty, czai się w obrazach Aldony Mickiewicz. Tu pozornie wszystko wygląda zwyczajnie, wręcz pospolicie. Dzieciący becik pełen koronek i ozdobnych zmarszczeń, starodawna cynkowa wanna, metalowa tarka do warzyw – każdą z owych rzeczy ukazano z rzadką dziś precyzją. Nie po raz pierwszy w dziejach sztuki towarzysząca nam prozaiczna rzeczywistość staje się źródłem refleksji malarzkiej. Czuły pędzel, ołówek i wrażliwe oko wiele już razy odkrywały przed nami jej swoiste piękno, tak rzadko dostrzegane w codziennej krzątaninie. Tajemnicza i zbawcza zarazem moc sztuki sprawiała, że wszystko wokół nas wypełniało się sensem i nabierało blasku. Tu przeciwnie, starannie wyeksponowana trywialność nie poddaje się estetyzacji, lecz groźnie szczyrzy na nas zęby. Finezyjny rysunek i nadzwyczaj miękki światłocien uzyskują wręcz perwersyjny charakter. Z nadprutej poduszki wylażą pióra, tarkę toczy rdza, brudnoszarą wannę wypełnia sarta śmieci, wśród których sterzą tradycyjne symbole wanitatywne: wyszczerbione czaszki zwie-

rząt, zwietrzałe piszczele. Wszystko jest zarażone śmiercią, zgnilizną, rozkładem.

Sprawy ostateczne absorbują też uwagę Doroty Ćwieluch-Brincken. W jej przewrotnie kameralnych, subtelnych pastelach o cieplej, wyśmakowanej gamie barwnej znów kryje się wszechobecna tu przestroga: *memento mori*. Niewinny z pozoru *cmbrion*, natrętnie obecny w obrazach z cyklu „Przesłony”, równocześnie ma cechy zgrzybiałego starca. Narodziny i śmierć stanowią nierozdzielny jedność, a samo życie jest jedynie powolnym umieraniem.

Monumentalne płótna Tadeusza Boruty są na ogół tematycznie związane z Biblią. Spotkamy się w nich z głęboką i dojrzałą refleksją na temat Ofiary i Odkupienia. Także tutaj świat został przedstawiony jako miejsce wygnania i pokuty. Personalistyczny punkt widzenia, charakterystyczny zresztą nie tylko dla twórców z Krakowa, ale właściwy też wielu innym przejawom współczesnej sztuki religijnej, w obrazach Boruty dochodzi do głosu z niebywałą mocą. Męczeństwo i śmierć Chrystusa artysta wyobraża niezwykle werystycznie. Prawdziwie ludzki wizerunek Zbawiciela, któremu malarz przydaje własną twarz i postać, przeplata się tu z wizją człowieka naznaczonego piętnem iście boskiego cierpienia. Zaciera się granica między sacrum a profanum, nie zawsze więc wiadomo, kogo w istocie przedstawia dany obraz. Kto dźwiga belkę krzyża, kogo z szat obnażono – człowieka czy Boga? Twórczość T. Boruty nie ogranicza się jednak do malarskiej refleksji nad człowieczą naturą

Chrystusa, tożsamością bosko-ludzkich doświadczeń. Śmierć Boga i dramat czystoencjonalny człowieka zostały ukazane w perspektywie eschatycznej. To właśnie cierpienie otwiera człowieka na działanie Łaski, a dzięki obecności odkupiającego przebaczenia Boga nabiera sensu metafizycznego i w konsekwencji zostaje przezwyciężone.

Tematyka pasyjna wraz z bogactwem ewokowanych przez nią znaczeń bliska jest też znanemu rzeźbiarzowi, Maciejowi Zychowiczowi. Realizacje sakralne stanowią istotną część jego twórczości. Niektóre z nich znajdują się w kilku kościołach krakowskich: Św. Marka, Św. Szczepana, a także Bł. Królowej Jadwigi. W ostatniej z wymienionych świątyń artysta zrealizował znakomite stacje Drogi Krzyżowej, a także monumentalne rzeźby w ołtarzu: krucyfiks oraz klęczącą postać patronki kościoła. Na wystawie w Galerii u Jezuitów zaprezentowano m.in. cykl rysunków do tej właśnie Drogi, a także kilka niewielkich płaskorzeźb w brązie. Niezwykła biegłość wykonania, oryginalne pomysły w zakresie kompozycji oraz siła wyrazu łączą się tu z głębią treści religijnych. Obok pełnego ekspresji realizmu formy i wielkiej precyzji w opracowaniu detali, pojawia się też bogaty repertuar jakości symbolicznych. Osiągnięte dzięki temu bogactwo semantyczne sprawia, że zamiast często spotykanej w sztuce kościelnej nachalnej dydaktyki, otrzymujemy dzieła zadziwiające głębią znaczeń, otwarte na indywidualną interpretację. Szczególnie silnie dochodzi głosu symbolika światła. *Lumen divinum* – od-

wieczny symbol zbawczej Epifanii gwałtownie wnika do wnętrza materii, ożywia i dynamizuje kształty, narusza ciągłość i konkretność formy mnóstwem drobnych muśnięć. Dychotomia światła i ciemności, pustki i pełni, prostoty i komplikacji, dynamiki i spokoju – wszystkie te jakości symboliczne, stosowane od wieków do ewokowania atmosfery sakralności, znalazły tu świeży i oryginalny wyraz.

Zdecydowana dominacja sztuki o charakterze figuratywnym została na wystawie nieco zneutralizowana efektywnym environment Adama Brinckena, złożonym z kilkunastu usytuowanych w przestrzeni elementów. Towarzystwo im obrazy o charakterze abstrakcyjnym. Ta interesująca całość nie jest jedynie czystą grą formalną. Eksperymentatorska twórczość Brinckena, polegająca m.in. na rozbijaniu płaszczyzny obrazu, wyabstrahowywaniu i przetwarzaniu właściwych mu form na obiekty przestrzenne, od dawna obfituje w znaczenia eschatyczne.

Wystawa w Galerii u Jezuitów budzi niewątpliwie wiele różnych refleksji. Pojawia się też niejedno pytanie. Na przykład o to, komu jest dziś jeszcze potrzebna taka sztuka, kto właściwie jest skłonny szukać w niej obiektywizacji własnych niepokojów egzystencjalnych i – nieprzymuszony – chce się napawać wizją samotności i śmierci nawet, jeśli wyobrażono je w perspektywie eschatycznej? Czy w sytuacji, gdy nasza świadomość bywa co dzień dręczona dziesiątkami istic apokaliptycznych informacji i obrazów, można jeszcze liczyć na katharyczną moc... fikcji? Komu udało się za-

chować wiarę w zbawczą siłę sztuki, zdolnej przemieniać zło na dobro? Czyż ona sama dawno już nie wyrzekła się tej niewygodnej, bo trudnej, a przede wszystkim odpowiedzialnej roli?

Walka karnawału z postem toczy się w ludzkiej świadomości zapewne od zarania dziejów. I nie ma nic dziwnego w odwiecznym pragnieniu szczęścia i nieustannej woli zabawy, po to wszakże, by w upojeniu szale umknąć przed nękającą umysł świadomością nieuchronnego końca. Jak twierdzą historycy i niestrudzeni moralisci, bywały w przeszłości i takie okresy, w których potrafiiono zachować zbawienną równowagę pomiędzy wolą życia a świadomością śmierci. Ale nawet wówczas tylko bardzo nieliczni zdobywali się na wyczyn prawdziwie heroiczny – ucieczkę od życia po to, by w samotności, jedynie *tête à tête* z nieodzownym rekwizytem – trupią czaszką – oddawać się rozmyślaniom nad pośmiertną zgnilizną. Dziś te czasy, zdaje się, należą do bezpowrotnej przeszłości, podobnie jak towarzysząca im sztuka, z upodobaniem przywołująca obrazy konania, tańce i tryumfy śmierci. Teraz dominuje wizja życia zdecydowanie hedonistyczna, wpajana od kołyski przez wszechobecne media. I nie ma to niestety nic wspólnego ze stoicką pogardą dla lęku przed śmiercią. Ta budzi strach miesza się z odrazą. Wypełniono ją więc ze świadomości i uwięziono za murami hospicjów i szpitali. Człowiek współczesny stracił metafizyczną perspektywę widzenia własnego losu, i nie pragnie być konfrontowany z możliwością istnienia tajemnicy. Także przez

sztukę, tym bardziej jeśli wymaga trudu (i ryzyka?) refleksji, kiedy to, co zostało wyobrazone – samo w sobie istotne – jest równocześnie środkiem do głębszych jeszcze treści danych do myślenia. Omawiana tu twórczość nie wyczerpuje się bowiem w ukazaniu człowieka w jego negatywności i rozdarciu. Bez doświadczenia zła nie da się przecież pojąć realności dobra, w śmierci zawiera się nadzieja życia wiecznego, a doświadczenie cierpienia jest tylko momentem w spełnieniu się przyszłej wolności.

A jednak wystawa nie spotkała się z jednoznaczną dezaprobatą, przeciwnie, przyciągnęła wielu, często zupełnie młodych ludzi. W posłyszanych sądach i ocenach dystans czy wręcz negacja mieszały się z fascynacją i uznaniem. Podświadomy głód wartości? Podobną ambiwalencję można znaleźć w znakomicie sarkastycznym tekście Zbyluta Grzywacza, który przed trzema laty tak pisał o płótnach Bednarskiego, Brinckena i Boruty: *Patrzę na obrazy i włos mi się na głowie jeży. Przecie to jatka. Tu mordują, krew, posoka się leje na płótnach. (...) Stęk, stęchlizna, lód, trupi odór, światło ostre, kaleczące, zapach potu i uryny. (...) Nie wierzę, żeście tak ze śmiercią sprzęgnięci, że poczucie życia i poczucie humoru całkiem wam odjęło. Nie wierzę w zimny, nieludzki katechizm Boruty, (...) histeryczne wrzaski głów Bednarskiego, w estetycznie okrwawione kikuty Brinckena. Tumult, jazgot, gigantomania – wszystko to nastraja mnie nieprzychylnie. (...) Ale i nie wierzę, by do wielkiej sztuki prowadziła współcześnie inna droga niż ta*

Wasza, pomyłona. Nie wejdą do jej ogrodu ci niby jej pokorni ogrodnicy, którzy pracowicie, od asystenta do dziekana, odbębniają kolejne lata w Akademii. Martwe natury i martwe kościoły upačkane w pogodne kolorki przynoszące ulgę wzdętym ludzkim brzuchom, te obrazy jak fotele wygodne i zapierdżiane, to alternatywa nie do przyjęcia...

Czy tę alternatywę może jednak stanowić pielęgnowany nie mniej pracowicie na innych uczelniach artystycznych ów drugi, postawangardowy biegun sztuki współczesnej, który często odcina się od wszelkich treści i jakkolwiek pojętego zaangażowania, bądź przeciwnie, szafuje niemożliwą do zweryfikowania, ezoteryczną terminologią, mającą świadczyć o przepastnie głębokich spekulacjach, całkowicie oderwanych od rzeczywistości?

Renata Rogozińska



**SZEKSPIR
W RYTMIE MENUETA**

Teatr Polski w Warszawie

***Stracone zachody
miłości
William Szekspira***

**przekład – Stanisław Barańczak
scenografia – Zofia de Ines
reżyseria – Maciej Prus
premiera 17 III 1994 r.**

Maciej Prus już po raz drugi w tym sezonie zmierzył się z Szekspirem; tragedia, czyli „Ryszard III”, stała się porażką reżysera (pisałam o tym w „PP” 12/93), z komedią natomiast poszło mu zdecydowanie lepiej. „Stracone zachody miłości” nie są może spektaklem wybitnym, ale za to nader urokliwym.

Przedstawienie uderza przede wszystkim wielką, plastyczną urodą teatralną, z którą tak rzadko mamy do czynienia na polskich scenach – uderza też starannością wykonania najdrobniejszych, zaprojektowanych przez scenografa, szczegółów. Często się bowiem i tak u nas dzieje, że wspinałe na papierze dekoracje i kostiumy są zwyczajnie paskudzone przez teatralnych rzemieślników. W Polskim natomiast świetne pomysły Z. de Ines zostały pieczołowicie zrealizowane.

Po obu stronach sceny, na jasnym podeście rosną wielkie żywopłoty; są to właściwie geometryczne rzeźby pracowicie, gęsto oplecione drobnymi, intensywnie zielonymi listkami. Na tym tle i na tle czarnego horyzontu doskonale się prezentują wysmakowane kolorystycznie, po mistrzowsku skrojone kostiumy, w których wszyscy aktorzy – co równie rzadko się zdarza – wyglądają znakomicie. W dużej mierze dzięki tym kostiumom niektóre żywe obrazy zapierają niemal dech w piersiach; takie, jak scenka, gdy dworskie amazonki, polujące z lukami, zastygają w wyrafinowanych pozach albo gdy zażywające sjestry panny rozkładają się na ziemi otoczone różnobarwnymi kielichami sukien. Wynalazcze i niezwykle zabawne są także rekwizyty: eleganckie, kilometrowe zwoje, na których amanci spisują swoje nie kończące się wyznania miłosne, czy osobliwy przyrząd do nawijania tych listów, żywo przypominający wyzmaczkę pralki typu „Frania”.

Ogląda się więc to przedstawienie z wielką przyjemnością, a i słucha się go równie dobrze. Nowy przekład S. Barańczaka wzbudził wprawdzie opory koneserów, mających za złe nadmierną ilość ornamentów, zawijasów stylistycznych, zbyt spiętanie kalamburów i za daleko idące uwspółcześnienie języka. Jest w tym żdźbło prawdy, lecz mimo wszelkich usterek przekład angażuje uwagę, sensy są doskonale czytelne, a dowcipy, otrzepane z kurzu, naprawdę śmieszą. Przy tym zakończona sukcesem weryfikacja utylitarnej, by tak rzec, popularyzatorskiej wartości tego tłumaczenia

dokonała się na moich własnych zdumionych oczach. Spektakl oglądałam bowiem mniej więcej w tydzień po premierze, gdy widownię wypełniały w trzech czwartych wycieczki szkolne, złożone z osobników bez wyjątku hałaśliwych i rozfiglowanych, doprowadzonych tu w sposób oczywisty pod przymusem. Można było oczekiwać najgorszego; jednak nie minęło 10 minut spektaklu, a młodzież zaczęła reagować znakomicie. Bawiła się grą słów, bezbłędnie wylapywała najcieńsze żarty, cichła natomiast w skupieniu przy scenach wyznań i tyrad miłosnych.

Tu przy okazji chciałabym odbiec na chwilę od tematu i pozwolić sobie na małą dygresję, dotyczącą kwestii obyczajów personelu teatralnego. Niektórzy z pracowników mają najwyraźniej mentalność strażników więziennych, a patologiczną podejrzliwość uważają za swój święty obowiązek. Młodzi ludzie, którzy siedzieli na widowni Polskiego, zostali przez bileterki z góry i nieodwołalnie uznani za tzw. element; podczas całego spektaklu panie te spacerowały wzdłuż sali rzucając na spłoszoną publiczność spojrzenia rasowych klawiszów i co chwila karząc donośnym szepem każdy niemal ruch czy swobodniejszą reakcję młodych ludzi. Daję słowo, że gdyby była to moja pierwsza wizyta w tym teatrze, nigdy więcej bym już tu nie zawitała.

Wracając do przedstawienia; obraz, słowo i kompozycja scen są największymi atutami spektaklu – aktorstwo jest zaś jego najsłabszą stroną. Tylko Leon Charewicz w roli Armada, *bosko idiotycznego* (jak by

powiedział Tuwim) ekscentryka, ma wielką siłę komiczną, przy tym zaś momenty prawdy w monologu miłosnym. Reszta aktorów, przede wszystkim ósemka zakochanych, robi wrażenie dość sztuczne i manieryczne. Są właściwie ruchomymi przekąźnikami tekstu, nie zaś pełnokrwistymi postaciami scenicznymi.

Dla całości ma ten defekt doniosłe konsekwencje – takie mianowicie, że owa inscenizacja komedii Szekspira staje się przedstawieniem, w którym Szekspirowskiej atmosfery jest najmniej. Zabrakło „mięsa” scenicznego, czyli autentyzmu emocji; zabrakło teatralnego życia. Jest wdzięcznie upozowana i pociągająca uroda, lekkość i zwiewność, a zamiast uczuć – sentymenty owiane mgiełką. Krótko mówiąc, przedstawienie wydaje się raczej delikatnym obrazkiem rokokowym niż wyrazistym elżbietańskim malowidłem.

Nie mam jednak tego teatrowi za złe; akurat „Stracone zachody miłości” nie są sztuką szczególnie wybitną, trudno się też w niej doszukać jakichś głębi i podtekstów, uczucia zaś stokroć lepiej udawało się Szekspirowi portretować w innych dramatach. „Stracone zachody” to szlachetna artystycznie czysta rozrywka – i tę cechę udało się Prusowi ocalić. Zamiast po Pimkowsku kręcić nosem, lepiej pozwolić się uwieść. Może będzie to niewielka zdrada wobec stratfordczyka, ale spektakl jest wart grzechu.

Joanna Godlewska



SIEWCA NADZIEI

Lista Schindlera Stevena Spielberga

Krakowska premiera „Listy Schindlera” (2 marca w kinie „Kijów”) zgromadziła przedstawicieli polskiego życia kulturalnego, naukowego i politycznego. Tłumy gości świadczyły o tym, że film uhonorowany trzema Złotymi Globusami i niedługo później obdarowany siedmioma Oscarami, jest godzien najwyższego uznania. Na pokaz odbywający się dokładnie w pierwszą rocznicę rozpoczęcia zdjęć przyleciał z USA Steven Spielberg. Podczas powitania, obiadu w „Wierzyńku”, spotkania z dziennikarzami i wreszcie przed seansem reżyser podkreślał, że ten film nie mógłby powstać nigdzie indziej, jak tylko w Polsce, w Krakowie, w atmosferze Kazimierza i płaszowieckiej rampy. Tylko tu los Żydów pomordowanych i Żydów ocalonych przez Schindlera mógł znaleźć wyraz w dramatyzmie czarno-białych obrazów. Film został wyprodukowany przy znacznym udziale polskiej ekipy. Trzy Oscary otrzymali polscy realizatorzy: Janusz Kamiński za zdjęcia oraz Ewa Braun i Allan Starski za scenografię. Do ról drugoplanowych zostali zaangażowani polscy aktorzy: Henryk Bista, Andrzej Seweryn, Jacek Wójcicki, Piotr Polk, Wojtek Kłata i in.

– profesjonalizm całego zespołu został oceniony bardzo wysoko.

O najnowszym dziele Spielberga napisano już dużo i z pewnością krytycy napiszą o nim jeszcze więcej, bo film wchodzi do historii kina. Jednak wbrew interesowi krytyka filmowego, radzę Państwu: nie czytać gazet, nie ufać recenzjom ani zasłyszczanym opiniom, lecz po prostu obejrzeć film. „Lista Schindlera” robi wstrząsające wrażenie. Amerykanie nazwali ją fabularyzowanym dokumentem o zagładzie Żydów i rzeczywiście jest to stwierdzenie trafne. Reżyser podjął się niewiarygodnie trudnego zadania – skonstruowania takiej opowieści o wspólnocie krakowskich Żydów i ich wybawcy w czasach Holocaustu, niemieckim przemysłowcu Oskarze Schindlerze, która zawiera przesłanie nadziei.

Film cechuje maksymalna wierność realiom, a także syntetyczne podejście do tematu. Tragiczne losy społeczności żydowskiej są naszkicowane dosyć schematycznie. Jednakże ich znamiennym dopełnieniem są przejmujące losy jednostek. Oto jeden z przykładów: krakowscy Żydzi aż do wiosny 1943 r. mieszkali na terenie getta. Kiedy zapadła decyzja o jego likwidacji, Niemcy wysiedlali całe rodziny, wyrzucano z domów bogaczy i biedaków, gnano ich w kierunku obozu pracy przymusowej w Płaszowie. Czarny pochód struchlałych ludzi wylewał się ulicami, szczuty psami i poganiany kolbami karabinów. Jakby wbrew zakazom biegła przed siebie, pod prąd fali, mała dziewczynka w czerwonym płaszczyku. Ten sam czerwony płaszczyk dostrzeżemy raz

jeszcze... Ta scena chwytą za gardło. Spielberg wie, że widzowie przyzwyczajeni do relacji telewizyjnych z katastrof, wojen, rzezi nie reagują już nieomal na sceny zbiorowych egzekucji i mordów. Dlatego obok nich umieszcza kadry skupione na pojedynczych twarzach, rękach, oczach. Widz potrafi identyfikować się w pełni tylko z pojedynczym bohaterem. Tylko przez poszukiwanie prawdy o człowieku można pokazać prawdę o ludziach. Zgodnie z tą dewizą Spielberg opisuje swoje pierwszoplanowe postacie: Oskara Schindlera i Amona Götha.

Schindler nie był przekonującym kandydatem na bohatera. Przystojny, elegancki kobieciarz i człowiek z głową do interesów przyjechał w październiku 1939 r. do Krakowa, żeby skorzystać z wojennej szansy zarobienia dużych pieniędzy. Członek NSDAP i bywalec salonów odkupił przy pomocy Żydów fabrykę naczyń emaliowanych „Rekord”, zatrudnił w niej tanich żydowskich robotników i rozpoczął produkcję sprzętu dla wojska. Później całą zarobioną fortunę przeznaczył na ratowanie swoich pracowników. Co było motorem jego działania? Tego nie dowiemy się nigdy, po co zresztą osądzać intencje, o człowieku świadczą czyny. Schindler w interpretacji Liama Neesona nie stanowi „ucieleśnienia ideału dobra”, przechodzi przeobrażenie – najpierw trwoni pieniądze, później bardzo skrupulatnie je liczy. Każdy grosz wydłuża jego listę ocalonych. Postać Schindlera jest w scenariuszu opozycją do patologicznej osobowości komendanta płażowskiego obozu, Götha. Kontrast jest wyjątkowo

jaskrawy – Göth ma cechy demoniczne, przyjemność sprawia mu „polowanie” na ludzi z balkonu willi, dobija targu nawet o służącą, do której czuł cię sympatii. Wśród głosów recenzentów pojawiło się porównanie Schindlera do Mojżesza, do kogo zatem można porównać Götha?

Film kończy się jedyną kolorową sekwencją spotkania przy grobie Oskara Schindlera w Izraelu generacji wyrosłych z grupki ocalonych (około 1000 osób). Gromada potomków liczy sobie dzisiaj około 6000 osób, podczas gdy w Polsce żyje dzisiaj 4000 Żydów. Jednak samo to zestawienie liczb nie ma na celu oskarżenia Polaków o bierność i opieszałość w ratowaniu Żydów. Jest stwierdzeniem faktu: granicząca z cudem Schindlerowska „Arka” zaszczerpiła wiarę w możliwość przeżycia, zagwarantowała odrodzenie pokoleń, udowodniła, że życie jest silniejsze niż śmierć.

Przy okazji filmu Spielberga w prasie wybuchły z nową siłą dyskusje o antysemityzmie, polskim znacznie bardziej katastroficznym spojrzeniu na okupację, wreszcie o odejściu od wizerunku Żyda-ofiary, perspektywy, do której byliśmy dotąd przyzwyczajeni. Tym wszystkim, którzy nie mogą się oderwać od utartych torów myślenia albo są na nie szczególnie podatni, proponuję, jako pewnego rodzaju aneks do filmu, lekturę wspomnień Henryka Voglera („Wyzwanie mojżeszowe”, PIW, 1994 – o dzielnicę żydowskiej w przedwojennym Krakowie). Jej autor wieńczy swoją gawędę głęboką, pojednawczą refleksją: *Mam tylko jedną szansę i jedną, jedyną*

nadzieję. Jeżeli istnieje gdzieś wysoko, ponad naszą rzeczywistością, jakiś rodzaj Najpotężniejszej Siły, jakaś wprawiająca materię w wieczny ruch Elementarna Energia – a Ta istnieć musi, gdyż doświadczyłem jej działania, kiedy na kilka dni przed napisaniem tych ostatnich słów znalazłem się w epicentrum amerykańskiego trzęsienia ziemi i wszystko chwiało się dookoła mnie, a ja razem z tym wszystkim – to na pewno nie jest Ona ani żydowska, ani polska, ani też nie posiada żadnego innego narodowego, religijnego, czy rasowego wyznacznika. Tam, wysoko, moje wyznanie winno zostać przyjęte z pobłażliwą wyrozumiałością. I ufam, że wszystkie błędy i grzechy, i te, które tu wyznałem, i te, które zataiłem, jak wreszcie te, o których nie pamiętałem, że tak moja polskość, jak i moje żydostwo – zostaną mi wspaniałomyślnie wybaczone.

Myślę, że podobnych słów mógłby użyć Schindler czyniąc rachunek sumienia ze swojej niemieckości. Oskar Schindler – siewca nadziei.

Anna Pietrzak

książki

MIŁOŚĆ NAJBLIŻSZEGO

Kazimierz Nowosielski

Najbliższa dal

Gdańska Oficyna Wydawnicza,
Gdańsk 1989, ss. 82

Wilga i deszcz

Wyd. „Marpress”, Gdańsk
1994, ss. 55

K. Nowosielski od lat pozostaje wierny w swojej poezji idei pierwotnej sakralności sztuki, idei, do której nawiązują i zawsze nawiązywały wszystkie poważne programy i postawy twórcze. Także w swojej działalności eseistycznej i historycznoliterackiej (jest pracownikiem naukowym na wydziale polonistycznym Uniwersytetu Gdańskiego) zajmuje się zjawiskami poddającymi się kryteriom metafizycznym, należącymi do sakralnej sfery ludzkich doświadczeń. W pierwszym rozdziale książki „Przestrzeń oczekiwania. Historia, natura, sacrum we współczesnej poezji polskiej” (Wyd. Uniwersytetu Gdańskiego 1993), uzasadniając własną metodę pisania o poezji, Nowosielski wyznaje, że interesuje go *sztuka słowa, które jest nie tylko narzędziem, lecz i swoiście*

pojmowanym metafizycznym zobowiązaniem. Powołując się na wiersze Miłosza, Herberta, Twardowskiego, Kamieńskiego, którym poświęca m.in. osobne szkice, stwierdza, że twórczość tych poetów *jest to także sztuka starająca się stale stawiać pytania o sens życia niemożliwego z jego ziemską skończonością*. W zakończeniu programowego rozdziału „Przestrzeni oczekiwania” Nowosielski formułuje następującą tezę: *Wołanie o Absolut, które w jakimś istotnym, nie dającym się pominąć natężeniu, stale przenika sztukę, pozwala mniemać, że nie musi to być tylko błędne koło, które zatacza poszukujący swej Prawdy człowiek*.

Jako poeta jest Nowosielski po trosze uczniem wszystkich tych moralistów polskiej poezji, którzy zafascynowali jego wyobraźnię poszukiwaniami ostatecznego wyrazu własnego człowieczeństwa. Pisząc kilka lat temu o poprzednim zbiorze wierszy poety, „Uparte oddychanie” („PP” 9/1990), zwróciłam uwagę na obecność w nim metafizycznej nostalgii, dzięki której w poszczególnych wierszach objawia się jakby naturalny wizerunek Boga odbity w rzeczach tego świata. Dwa kolejne zbiory wierszy pogłębiają jeszcze ten naturalny nurt nieoczywistej oczywistości istnienia Boga, w której Nowosielski sytuuje metafizyczną przestrzeń swojej liryki. W „Najbliższej dali” dominuje ton rozmów z umarłymi, pojawiają się pytania o sens odwiecznych ludzkich doświadczeń skazujących istotę ludzką na ostateczną niepewność. Świadomość dziedziczenia w poszczególnym istnieniu całych pokoleń myśli, uczuć, pytań, wątpliwości werbalizuje

się w wierszu „Zdanie”: *Zdanie / które nie my zaczęliśmy / ale je spełniamy – w szłochu / w niedoczekaniu – w nadziei większej / niżli przeznaczenie*.

Poczucie rozdarcia świata na „moje” i „nie moje” dzieli rzeczywistość na rzeczy i ich cienie, rodzi w poecie pragnienie nazwania tego co najważniejsze, co otacza go najbliższym kręgiem znaczeń, a jest to owo *Trudne Prawie że niemożliwe / życie, w którym nic / nie powinno się przeoczyć zaniedbać*. Poeta skupia się więc na szczegółach, drobiazgach, momentach, aby wyluskać z poszczególnego to co wieczne, nieprzemijające, trwałe, czego synonimem w wierszu „Raj” staje się *wonna wieczna trawa*. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość jednoczą się w aktach nagłych wzruszeń widokiem czyjejś twarzy, biciem własnego serca, wspomnieniem z dzieciństwa, tęsknotą za bliskimi zmarłymi. Cały świat w wizji Nowosielskiego staje się jakby żywą tkanką wzruszenia, którą przenika współczucie poety. Wierzymy w szczerość poetyckiej intencji, kiedy czytamy w wierszu „Noc z aniołem”: *Biorę mój ból na własność*. Pojawiające się raz po raz w zbiorze motywy biblijne osiągają liryczną kulminację w wierszu „Testament Łazarza” zakończonym słowami: *Co ja mógłbym bez ciebie / moja królewska niedolo!* Chrystianizm jako idea religijna i jako wzór ludzkiej drogi ku świętości oświetniają „Najbliższą dal” światłem świadomości przyjmowanego cierpienia.

W 1990 r. Nowosielski otrzymał prestiżową, ogólnopolską nagrodę

literacką im. Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, przyznawaną za twórczość o walorach metafizycznych. *Jest to poezja żarząca się cichym skupieniem i pobudzająca do współuczestnictwa* – napisano w werdykcie jury, któremu przewodniczył Zbigniew Bieńkowski. Definicja poety sformułowana przez Z. Bieńkowskiego stanowi jedną z kluczowych formuł artystycznych wprowadzonych przez Nowosielskiego do „Przestrzeni oczekiwania”. Bieńkowski pisał w związku z poezją Karola Wojtyły: *Poeta jest istotą religijną. Jest w tym sensie, że słowem doświadcza bytu. Słowem-uczuciem, słowem-przeczcuciem, słowem-mysłą, słowem-wzruszeniem pielgrzymuje do najdalszych dostępnych granic poznania, poznania siebie, tej wciąż odkrywanej i nigdy nie odkrytej ostatecznie, raz na zawsze, tajemnicy istnienia*. Najnowszy zbiór wierszy K. Nowosielskiego „Wilga i deszcz” może być bezpośrednią ilustracją tej właśnie definicji. Osiągnął w nim bowiem poeta maksymalne skupienie na sprawach ostatecznych, nie rozwiązując ich przecież ani nawet nie próbując uniwersalizować czy radykalizować własnej metody twórczej. Refleksyjność tego zbioru wyraża się po prostu większym nateżeniem aforyzmów, prawdy ogólne wynikają wprost z żywych reakcji poety na sytuacje dostępne w jednostkowym, często jednorazowym doświadczeniu. Wybór poety jest całkowicie świadomy, kiedy mówi: *cóż na to poradzę / że moja miłość jest właśnie stąd / i tylko – dla ciebie / a w swej słabości wolę wybierać / raczej wolność tęsknoty / niżli niewolę pożegnań*.

W najnowszych wierszach Nowosielski wydaje się najbliższy dwójga mistrzów: Jana Twardowskiego i Anny Kamieńskiej z jej ostatnich wierszy, szczególnie z „Milceń”. Od nich wziął poeta *lekcję rzeczy*, a także lekcję natury, ową *miłość najbliższego* wypowiedaną każdym nieomal poetyckim obrazem. W zwięzłych, aforystycznych frazach przedstawia to wszystko, co można wywieść z rzeczy i zjawisk istniejących w zasięgu zmysłów. Wieczność, *nieśpieszność rzeczy ostatecznych*, wolność, niebywałość i nicistnienie – te niematerialne kategorie metafizyczne otrzymują w poezji Nowosielskiego konkretne wymiary, stają się rzeczywistymi postaciami dramatu istnienia. Subtelna przenikliwość, z jaką poeta dostrzega i odczytuje ukryty w rzeczach najbliższych sens niepojętości, czyni jego wiersze mini-traktatami filozoficznymi nie ujmując im przecież nic z lirycznej bezpośredniości i prostoty:

*Ale pusta jest wieczność
jeśli nie czeka w niej ona
Jeśli nie ma tam słońca i słońce
wpadając przez okno nie mruży*
[kocich ślepiów
*Spojrzenie miłości jest światłem
czuwają w nim rzeczy ostatnie
stół parę krzesół trzy wycierane*
[w fartuch
– trochę smutku w wiecznej miłości
takiej czystej jak krew w opłatku
(„Matka”)

Tajemnica istnienia jawi się w tej poezji doprawdy jakby w zasięgu ręki, wydaje się mniej tajemnicza i mniej groźna niż gdzie indziej.

Poeta oswaja ją własnym wzruszeniem, godzi z własnym bólem, zabawia własnym żartem: *Być z sobą – ale bez nachalności / przynależnej temu / co i tak się stanie Wszak śmierci / nie da się z nas wyprosić / Bo i dokąd –*. Pogoda tej poezji wynika z pogodzenia sprzeczności nie przez ich eliminację czy spiętrzenie, ale przez mądrą aprobatę, przez pokorę wobec *prawdy tak krótkiego życia*, w którym *Jestem tu – lecz moje wszystko / nie stąd tylko –*. A także poprzez gotowość przyjęcia nawet ostatecznej porażki:

Niech to co jasne

(...)

wesprze się o ciemne / na odwrót

A wiersze niech stają godnie

na sądzie zdradzonych słów

(„Uczynki”)

Niewymuszony heroizm tej poezji polega nie na braku złudzeń poety na temat praw rządzących tym światem, ale na uduchowieniu, wewnętrznej nobilitacji każdego, nawet najbardziej bolesnego doświadczenia egzystencjalnego. Poezja w przypadku K. Nowosielskiego jako nieklamane odbicie życia duszy jest najwyższym aktem wiary.

Adriana Szymańska

TAJEMNICE PRAWDY I MIRAŻE

Witold Zalewski
*Major, śmierć
i diabeł*

„Czytelnik”, Warszawa 1993,
ss. 146

Najnowsza książka Witolda Zalewskiego (którą nb. trudno znaleźć w księgarniach poza Warszawą, sam na próżno szukałem jej w kilku miastach) wyłamuje się z logicznej linii dotychczasowego rozwoju twórczości autora „Pożegnania Twierdzy”, odstępstwo od dość konsekwentnej drogi ideowej i estetycznej – cechującej prozę Zalewskiego – daje się tu zaobserwować nie tyle w dziedzinie tematów i problemów stawianych w tekstach, ile w sposobie prezentacji interpretacji świata przedstawionego. Pasje ideowe i fascynacje twórcze pisarza zawsze krążyły wokół związków człowieka z historią jego przypisania do dziejów, niemożności indywidualnego wymknienia się jednostki z matni ogólnego – narzuconego przez obiektywny rozwój wydarzeń – losu społecznego; przy czym dzieje były w tej prozie postrzegane z reguły nie w perspektywie uniwersalnej czy metafizycznej, ale konkretnie, z dobrze wiadomymi adresami i czytelnymi punktami odniesienia, choć zarazem przez pryzmat bardzo żywy-indywidualizowanej biografii bohatera. I z reguły chodziło w książkach Zalewskiego o stawiającą najtrudniejsze wyzwania ideowe, nader skom-

plikowaną, podlegającą ciągle manipulacjom przeszłość polską, o kwestie polskiej tożsamości, racji stanu itp. Nawet wówczas kiedy – jak w wydany pod koniec lat 80. „Wysłanniku” – bohaterem stawał się niemiecki pisarz Paul Martens, przebywający na emigracji w czasie kulminacji hitlerowskiego reżimu, odczytywało się bez trudu w powieści aluzje i przesłania kierowane do polskich czytelników. Niemiecka alegoria spinała katalog uwag i przestróg kierowanych może najbardziej pod adresem polskiej inteligencji twórczej lat 80., miotającej się w sieci rodzimej monokultury politycznej.

W utworach poświęconych różnym okresom dziejów narodu – takich jak „Ostatni postój”, „Pożegnanie Twierdzy”, wcześniejszy „Splot słoneczny” czy „Pruski mur” – Zalewski prezentował losy podobnie duchowo skonstruowanych postaci – młodych zapaleńców czy wręcz desperatów zatrudnianych w różnych epokach i różnych okolicznościach do spektaklu polskiej historii. Pisarz z narastającym przekonaniem i coraz głębszą paletą dowodów podkreślał w swojej prozie mitogeny charakter wszelkich zbiorowych działań składających się na dzieje. Najchętniej skupiał uwagę na najbardziej burzliwych momentach rodzimej przeszłości i próbował wykazać, że we wszystkich naszych insurekcjach (od kościuszkowskiej po warszawską 1944), we wszelkich zrywach narodowych, spiskach przeciw despotacji znajdował ujście romantyczny mit młodości – młodości pragnącej zmieść z powierzchni ziemi zastany porządek i usta-

nowić nowy, lepszy. Czyn wyzwoleńczy w tej interpretacji był wyrazem dążeń nie tylko politycznych; stanowił też spełnienie podbudowującej rytm ludzkich dziejów (zwłaszcza w takim jak polskie wydaniu) maksymalistycznej i na ogół utopijnej mitologii młodości. Każde wchodzące na scenę historii pokolenie wierzy, że jemu uda się dokonać znaczącego przewrotu, nie tylko w planie politycznym, lecz i w skali świadomości społecznej. Tymczasem wiadomo, że metodami „w gorącej wodzie kąpanymi” – kiedy się sięga od razu, i tylko, po oręż – na pewno się to nie uda. Co nie znaczy wcale, że należy z góry potępiać i odrzucać mity, ideały czy mrzonki czasu młodzięczego – bowiem wtedy (czego dowodził „Ostatni postój”, pośrednio „Wysłannik”) pojawia się niebezpieczeństwo, że wybierając rozważę, umiar i logiczne racje przejdzie się w konsekwencji, czasem w sposób nie zauważony przez siebie, na stronę despotacji i totalitaryzmów. Udziałem i rolą inteligencji jest – mimo wszystko, wbrew logice (np. stałemu polskiemu dowodowi „geopolitycznemu”) – opowiedzenie się za mitem czy może raczej, jeśli się da, przeformułowanie go na użytek sprawy narodowej.

We wszystkich wymienionych i nie wymienionych swoich utworach – odmiennie niż w omawianym tu najnowszym tomie opowiadań – Zalewski, jak można wnosić też z powyższego krótkiego wywodu interpretacyjnego, próbował racjonalnie „zdekonstruować” (tak się to teraz nazywa) drogi rozwoju, węzłowe punkty i mitologie naszych dziejów. Narrator, zdawało się, żywi

nadzieję, że może i przy jego wysiłku historia da się wytłumaczyć, a przynajmniej uporządkować; że w każdym razie będzie można wyciągnąć z niej właściwe lekcje, rozszyfrować przyczyny wciąż fatalnego obrotu spraw dla kolejnych rzucających wyzwanie fatum dziejowemu młodych generacji Polaków. W tomie „Major, śmierć i diabeł” nadzieje te zanikają, wraz z nimi tracą kontur przesłanki racjonalnego dowodu historycznego; po raz pierwszy w takiej skali dochodzą w prozie Zalewskiego do głosu irracjonalne motywacje, metafizyczne intuicje. Narrator zanurza bohaterów swych opowiadań w wir wydarzeń – wiążących się z najbardziej obłąkańczymi konfliktami dziejów XX w. – które nie dają się już rozumowo pojąć, a może i w ogóle w jakikolwiek sposób wytłumaczyć. Losy chłopaka wyrwanego w dzieciństwie z polskiego gniazda rodzinnego w rewolucyjnym czasie 1917 r. i wywiezionego na Daleki Wschód – bohatera otwierającego książkę opowiadania „We dnie, w nocy...” – są serią następujących po sobie niezwykłych przypadków, którym uzasadnienie poddaje tylko intencjonalnie kierowana ku przeszłości wyobraźnia młodzieńca. Trudno w relacji z tej niezwyklej odysei XX-wiecznej oddzielić fakty od imaginacji; sam narrator ma kłopoty z odróżnieniem żywych osób ze wspomnień od kreacji wyobraźni. Fatalna wędrówka znajduje w końcu szczęśliwy finał w postaci powrotu bohatera na łono rodziny po odzyskaniu niepodległości przez Polskę – ale do końca nie wiadomo, jakim dobrym ludziom czy patronującym

duchom lub jakim skrytym siłom dziejów chłopiec zawdzięcza swe ocalenie. *Dzisiaj, kiedy myślę o tym, jak zmądrzawszy, do końca oślepiłem, i próbuję sobie odpowiedzieć, czy był taki jeden moment, w którym nastąpiło pierwsze, wyraźne zmęczenie, świat ukazał mi się nagle do góry nogami, a powróciwszy do pozycji wyjściowej nie był już w istocie tym, czym przedtem.* Podobnie Majorowi z tytułowego opowiadania świat ukazuje się w kluczowym momencie jego – wcześniej rutynowego – życia, można rzec, do góry nogami; narrator okazuje się równie bezradny wobec procesów zachodzących w świadomości swego bohatera, tak jak w poprzednim opowiadaniu. Zły stan psychiczny Majora (wywołany wiadomością o nadchodzącym zwolnieniu ze stanowiska) powoduje, że traci on grunt pod nogami; dotychczasowa jasność widzenia świata przeistacza się nagle w spowijającą zewsząd metafizyczną ciemność i niepełność: *Zawsze przecież poruszał się między ostatecznymi granicami klęski i zwycięstwa. Stawiał swoje życie w zakład. I nadal jest gotów. Ale tutaj wyjrzało spod zetłalej purpury zupełnie inne oblicze. Ten grymas triumfującego, wszechobejmującego szyderszwa. Niezrozumiały do końca...* Podobnie jak sam bohater, nie umiemy w prezentowanej nam historii oddzielić jawy od maligny, rozróżnić obszarów świadomości i wyobraźni – które się wzajemnie tłumaczą, uzupełniają. Te dwa najlepsze opowiadania w tomie (może w całości niezbyt zintegrowanym ideowo i warsztatowo) najwyraźniej wskazują na syndrom opusz-

czania przez samego pisarza okopów racjonalizmu i kierowania się przez niego ku *tajemnicy nad wszystkim panującej prawdy*, która może okazać się tylko *mirażem w duszy*...

Mieczysław Orski

ZE ŚRODKA WIRU

Jan Stanisław Wojciechowski
*Z punktu widzenia
rzeźbiarza
Sztuka lat 80.*

Centrum Rzeźby Polskiej
Orońsk 1993

Nowa książka J.S. Wojciechowskiego – rzeźbiarza i krytyka sztuki, poświęcona sztuce współczesnej tak jak dwie jego poprzednio wydane: „Pokolenia, sztuka, postawy” (1978) oraz „Współczesne życie artystyczne” (1987), stanowi rzadką na naszym rynku wydawniczym próbę wciągnięcia ambitniejszego czytelnika i odbiorcy sztuki w sam wir problemów z nią związanych. Jako organizator i uczestnik plenerów plastycznych, autor i współtwórca wystaw indywidualnych i zbiorowych, ale także czujny obserwator nowych zjawisk w sztuce światowej, zdobyte doświadczenie i wiedzę werbalizował już od lat, relacjonując na łamach prasy jej przemiany widziane od środka. Tematyka sztuki aktualnej, dość niechętnie podejmowana przez historyków sztuki, znalazła w nim rzecznika nie bezkrytycznego, ale przesadą byłoby okre-

lić jego postawę jako bezstronną. Na przeszkodzie takiemu przedstawieniu jej obrazu stoją zarówno osobiste preferencje Wojciechowskiego jak i naturalny brak dystansu czasowego do niej. Za główny walor jego piarstwa należy więc uznać przede wszystkim to, że stanowi ono relację świadka i uczestnika wydarzeń plastycznych, poszerzoną o przemysłownia skonfrontowane z opiniami innych artystów i teoretyków sztuki.

Zbiór 55 recenzji, szkiców, wstępów do katalogów wystaw oraz obszerniejszych artykułów problemowych, które składają się na tę publikację, został ułożony w porządku chronologicznym w dwu częściach. Pierwsza, zatytułowana „Sztuka”, zawiera teksty dotyczące ważniejszych wystaw zbiorowych oraz rozważania ogólne. Druga, „Artyści”, poświęcona jest poszczególnym twórcom. Książka zawiera artykuły publikowane między 1980 a 1991 r. oraz kilka tekstów nie drukowanych. Najwięcej pochodzi z lat współpracy Wojciechowskiego z „Przeglądem Powszechnym” (1986–1990). Pozostałe zamieszczał m.in. w takich pismach krajowych, jak „Literatura”, „Magazyn Artystyczny”, „Tygodnik Powszechny”, „Obieg”, a z zagranicznych: „Moderna Museet”, „Sunday Times”, „Flash Art”. Uzupełniają je wstępy do katalogów wystaw zbiorowych (m.in. „Pokolenie '70”, „Moderniści i katastrofiści”) oraz indywidualnych (np. Jacka Drabika czy Grzegorza Morycińskiego).

Oddając temperaturę sporów wokół sztuki lat 80., broniąc jej racji lub wchodząc w spory, Wojciechowski raz po raz zapuszcza się w regiony sztuki czasowo wcześniejszej,

w dekady poprzedzające pamiętny rok 1980. Jeden z esejów, ujmujący zjawiska w sztuce polskiej w szerokiej perspektywie, nosi tytuł dekad: „Sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, osiemdziesiąte”. W lata 50. autor cofa się w relacji z wystawy poświęconej sztuce realizmu socjalistycznego, otwartej w 1987 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie. W końcowej fazie formowania zbioru pokusił się nawet o wizję, co prawda ostrożną, preferencji w sztuce dekady obecnej (w eseu „Prognoza pogody”). Tak więc tytuł zbioru nie odpowiada ściśle zawartej w nim treści, choć akcent faktycznie jest położony na sztuce dekady historycznie przełomowej.

Wydarzenia polityczne w tle miały wszystkie wielkie wystawy tamtych lat: „Konstrukcja w procesie” (Łódź 1981 i 1990), „Rzeźba polska 1944–1984” (Poznań), „Oblicza socrealizmu” (1987, w MN w Warszawie), „Co słyszeć” (1987, w Zakładach Norblina w Warszawie), „Świeżo malowane” (1988, w Zachęcie). Wielokrotnie też Wojciechowski powraca, najczęściej w tonie polemicznym, do wystawy młodych polskich ekspresjonistów spod znaku *Neue Wilde* i ich głośnego wystąpienia na wystawie zatytułowanej „Arsenal '88”.

Jako rzeźbiarz zabierał też głos w zawsze kontrowersyjnej u nas sprawie pomników. W sprawie Pomnika Poległych Robotników w Gdańsku, we frustrującej nie tylko środowisko rzeźbiarskie sprawie Pomnika Powstania Warszawskiego, a także projektów pomników nie zrealizowanych w Gdyni i w Poznaniu, którą to listę można powiększyć

o przeciąganą sprawę realizacji pomnika AK.

Lokalne spory i problemy są ukazane w książce w ich wielorakich związkach ze sztuką najnowszą, prezentowaną w europejskich centrach: Paryżu, Wenecji, Kassel. Znalazło to odbicie w takich tekstach, jak: „Nowe Paryskie Biennale '85” pamiętne udziałem prac Józefa Czapskiego i przełomowe dla recepcji jego sztuki na Zachodzie, „Biennale w Wenecji 1986” oraz „8 Documenta Kassel” z 1987 r. W dwu ostatnich od dawna brali udział polscy artyści.

J.S. Wojciechowski należy do nielicznych krytyków sztuki, którzy zdobywają się na ryzyko promocji artystów najmłodszego pokolenia. Tak więc obok sylwetek klasyków naszej współczesności: Stefana Gierowskiego, Jerzego Tchórzewskiego, Jacka Sempolińskiego czy artystów pokolenia średniego (Adam Myjak, Jan Rylke, Jan Dobkowski, Edward Dwurnik), prezentuje artystów startujących niedawno: M. Kijowskiego, R. Grzyba, L. Knaflewskiego, W. Pawlaka, K. Skarbka, M. Sobczyka, P. Susida.

Jak wynika z zestawu nazwisk, większość z nich to malarze. Im bowiem faktycznie przyszło wieść prym w sztuce powojennej. Nie inaczej było i przedtem z prozaicznej przyczyny kosztów uprawiania obu rodzajów sztuki. Łatwiej eksperymentować malarzom, grafikom, fotografikom. Gra rzeźby szła zawsze jakby o wyższą stawkę ze względu na cenę materiału, choć najnowsze demonstracje (np. pokazana w styczniu tego roku w Centrum Sztuki Współczesnej na Zamku

Ujazdowskim w Warszawie wystawa młodych) przeczą temu.

W całym zestawie tekstów Wojciechowskiego wyczuwa się pragnienie rzetelnego zrozumienia kondycji sztuki, mechanizmów rządzących jej przemianami i klimatów historycznego tła, na którym rozgrywają się jej demonstracje. Uderza w nich pasja artysty zaangażowanego, współuczestnika wydarzeń, który usiłuje swoimi ocenami i opiniami wpływać na bieg wydarzeń, a przynajmniej je rejestrować. Dostrzega kryzys sztuki współczesnej, jej zagrożenia i ślepe tropy.

Postawa twórcy uwikłanego osobście w przemiany nowej sztuki poddyktowała mu te słowa wyważonej w nadziejach prognozy na jej najbliższą przyszłość: *Z wielkim trudem, lecz także prędzej czy później, w Polsce ma szansę odrodzić się artystyczna opcja na nowość form i środków wyrazu artystycznego w miejsce królujących dziś tradycyjnych technik i materiałów. Przyjdzie może znów pora na utopie przyszłości wraz z przywróceniem wartości historii jako humanistycznego dziedzictwa (...) Przyjdzie pewnie dobry klimat dla racjonalności i realizmu w miejsce ekspresji. A zatem również pewnie znów objawi się sympatia dla analizy w miejsce synkretyzmu, antykomercjalizm w miejsce rynkowej sztuki (...) awangardy w miejsce transawangardy, elitaryzmu zamiast populizmu...* Pojawia się – jak pisze w innym miejscu – takie postawy, które bardziej cenić będą wartości rozumu krytycznego związanego z wielkimi humanistycznymi narracjami.

Krystyna Paluch Staszkiel

Janusz Adamczyk, *Plonąć, aby żyć*

„Kerygma”, Lublin 1993, ss. 80

Kolejny tomik poetycki autora ur. w 1947 r., pracującego jako nauczyciel w Świdniku k. Lublina.

Daniel Ange, *Homoseksualizm. Czym jest? Do czego prowadzi?*

„M”, Kraków 1993, ss. 103

Książka powstała w wyniku rozmów, dyskusji i zwierzeń gromadzonych przez autora w ciągu 10 lat. Jest próbą spojrzenia na homoseksualizm przez pryzmat miłości.

ks. Franciszek Bargieł SJ, *Nowosądeckie Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia. Przewodnik* WAM, Kraków 1993, ss. 85

Systematyczne omówienie osobliwości sanktuarium w aspekcie historycznym, artystycznym i duszpasterkim.

Biblioteka Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, seria II: Janusz Styceń, *Poezja mroku*, Karol Maliszewski, *Młody poeta pyta o –*, Tomasz Majeran, *Elegia na dwa głosy*, Marian Jachimowicz *W blasku istnienia*, Jerzy Bogdan Kos, *Pergamin piasku*, Jerzy Pluta, *Stacja metro: Franz Kafka*

Wyd. „Okis”, Wrocław 1994

Pięknie wydana seria utworów poetyckich młodych poetów.

Z życia Kościoła

1. ZA I PRZECIW KONKORDATOWI. Na przełomie lutego i marca br., gdy rząd RP przyjął projekt ustawy o ratyfikowaniu konkordatu między Rzeczpospolitą Polską a Stolicą Apostolską, Stowarzyszenie na Rzecz Praw i Wolności Bez Dogmatu zwróciło się do parlamentarzystów z apelem, w którym napisano m.in., że konkordat *godzi w wolność sumienia i wyznania oraz tworzy podwaliny państwa ideologicznego*. W komunikacie Biura Prasowego Rządu z 8 III 1994 r. podkreślono, że *stosunki państwo – Kościół mają być oparte na formule autonomiczności i niezależności obu instytucji. Rząd uznał, że powyższe uregulowanie nie stoi w sprzeczności z obowiązującymi w naszym kraju normami prawno-ustrojowymi*. Konkordat – podkreślono – *gwarantuje interes państwa tak dalece, jak tylko to jest we współczesnym modelu stosunków Kościoła z demokratycznymi państwami możliwe*. Przypomina się również, że niektóre dziedziny misji Kościoła, jak organizowanie kultu publicznego, obrót mieniem i prawami majątkowymi oraz działalność szkół katolickich będą musiały odpowiadać warunkom określonym przepisami prawa polskiego. Bp Tadeusz Pierson, wyraził zadowolenie, że rząd w sposób bardzo rozsądny i jasny ustosunkował się do konkordatu.

2. ŚWIĘCENIA KAPŁAŃSKIE KOBIET. W 12 III 1994 r. w anglikańskiej katedrze w Bristolu miejscowy bp Barry Rogerson wyświęcił 32 kobiety. Była to pierwsza tego typu ceremonia w Kościele Anglii. W niedzielę nowo wyświęcone kapłanki odprawiły w swoich parafiach pierwsze niedzielne msze święte. Do końca tego roku w 32 diecezjach anglikańskich święcenia kapłańskie otrzyma ok. 1200 kobiet.

Powinniśmy się cieszyć, że kobiety przyjęły i uznały święcenia prezbiteratu jako dar Boży – powiedział bp Rogerson w swojej homilii. Wezwał on wszystkich anglikanów do jedności i modlitwy za tych, dla których wydarzenie to niesie smutek. Prymas Kościoła Anglii abp Canterbury George Carey i abp Yorku John Hadgood we wspólnie wydanym oświadczeniu określili pierwsze święcenia kapłańskie kobiet jako kamień milowy w dziejach Kościoła Anglii. Większość naszych wiernych widzi w dopuszczeniu kobiet do posługi duchowej wolę Bożą – głosi oświadczenie. Zaznaczono w nim także, że inni oceniają tę nowość jako błąd. Dokument wzywa wszystkich anglikanów do tolerancji oraz wzajemnego zrozumienia pełnego cierpliwości.

Dyrektor Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej Joaquim Navarro Valls złożył następujące oświadczenie: *Święcenia kobiet we Wspólnocie Anglikańskiej, nie biorąc wystarczająco pod uwagę ekumenicznego i eklezjologicznego wymiaru zagadnienia, rzucają cień na porozumienie osiągnięte przez Międzynarodową Komisję ds. Dialogu Teologicznego Anglikańsko-Rzymskokatolickiego (ARCICI) w sprawie Eucharystii, posługi kapłańskiej i samej natury tej posługi. Nie chodzi tu wyłącznie o kwestie dyscypliny, bo fakt ten ma przede wszystkim poważne implikacje eklezjologiczne. Nie jest to tylko sprawa równości czy sprawiedliwości, lecz dotyczy samej rzeczywistości Kościoła i sposobu, w jaki pojmuje on sakramenty. Kościół katolicki z uzasadnionych powodów teologicznych, wierny nauczaniu Jezusa Chrystusa i nieprzerwanej odwiecznej praktyce, nie uważa, by miał prawo godzić się na ten rodzaj święceń. Również prawosławni wyrazili swoje zastrzeżenia wobec tych święceń. (...). Ta nowa przeszkoda czyni jeszcze trudniejszą jedność, która była i pozostaje wielką nadzieją.*

3. PAPIESKA AKADEMIA ŻYCIA. Motu proprio „Vitae mysterium”, (11 II 1994 r.) Jan Paweł II powołał Papieską Akademię Życia. W momencie, gdy tajemnica życia, (...) przyciąga coraz bardziej uwagę uczonych, zachęcanych coraz bardziej wspaniałymi możliwościami, jakie otwiera przed ich badaniami postęp nauki i techniki – pisze papież w swoim dokumencie – nasuwają się liczne i nowe pytania z dziedziny moralnej, których człowiek nie może lekceważyć, nie ryzykując jednocześnie, że uczyni kroki, które okazać się mogą nieodwracalne.

Specyficznym założeniem Akademii są badania, informacja i formacja w dziedzinie głównych zagadnień biomedycyny i prawa, odnoszących się do promocji życia, a przede wszystkim ich bezpośrednich związków z moralnością chrześcijańską i wytycznymi Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. Statut tej nowej placówki naukowej przewiduje, że jej członkiem z nominacji papieskiej może zostać każdy, kto podziela stanowisko Kościoła w sprawie życia, bez względu na światopogląd i wyznanie. W momencie przyjęcia nominacji członek Akademii podpisze zobowiązanie (*atest służby życia*), w którym zobowiązuje się służyć życiu ludzkiemu od poczęcia aż po naturalny kres (KAI).

4. SERBSCY PRAWOSŁAWNI ZANIEPOKOJENI. Episkopat serbski Kościoła prawosławnego jest zaniepokojony zwiększającym się wpływem na sprawy publiczne żony prezydenta Slobodana Milosevica, Miry Markovic. Żona prezydenta coraz bardziej propaguje idee antyreligijne

i antyklerykalne. Jej zdaniem zbyt wiele miejsca w życiu publicznym zajmują uroczystości religijne. Mira Markovic stwierdza, że jest to cofanie się do mentalności XIX w. Członkowie serbskiego Kościoła prawosławnego obawiają się, że idee propagowane przez żonę prezydenta staną się dla wielu funkcjonariuszy „dyrektywami politycznymi”, które należy realizować. Dotyczy to przede wszystkim pewnych uzgodnień dotyczących relacji Kościół – państwo: nauka religii w szkole, obecność Kościoła w środkach przekazu, odzyskanie dóbr kościelnych. W tym kontekście serbski Kościół prawosławny wyraził *zdziwienie i zaskoczenie* z powodu przyjęcia żony serbskiego prezydenta przez patriarchę moskiewskiego Aleksego II. Zwierzchnik rosyjskiego Kościoła prawosławnego przyjął M. Markovic 16 marca.

5. LIST PAPIEŻA DO RODZIN. Z okazji Międzynarodowego Roku Rodziny Jan Paweł II wystosował 39-stronicowy „List do Rodzin”. Jego adresatem jest *każda konkretna rodzina wszystkich regionów ziemi*. Jest to przede wszystkim modlitwa, jaką papież kieruje do Chrystusa, prosząc by zamieszkał w każdej ludzkiej rodzinie – *pierwszej i z wielu względów najważniejszej drodze Kościoła*. Miłość, to przede wszystkim bezinteresowny dar z siebie samego: *dar osoby dla osoby. Ta sama logika bezinteresownego daru wkracza w ich życie, kiedy mężczyzna i kobieta w małżeństwie wzajemnie się sobie oddają i wzajemnie przyjmują jako „jedno ciało”*. Rodzina – stwierdza dalej Ojciec Święty – *leży u podstaw tego, co Paweł VI nazwał „cywilizacją miłości”*. To *poprzez rodzinę przepływa główny nurt cywilizacji miłości*. „Carta magna” tej cywilizacji to hymn o miłości z 1 Listu do Koryntian, jej przeciwieństwem jest cywilizacja antynatalistyczna, cywilizacja konsumpcjonizmu i użycia.

W „Liście” Jan Paweł II m.in. zwraca uwagę na odpowiedzialne rodzicielstwo, wskazuje na zasadę pomocniczości jako kryterium kształtowania więzi między rodziną a państwem, podkreśla konieczność wychowania w prawdzie i miłości oraz przestrzega przed nowym manicheizmem, w którym ciało i dusza są tak radykalnie przeciwstawne, że ludzka seksualność pojmowana jest jako *teren manipulacji i eksploatacji*. Z całego „Listu” bije przekonanie, że Chrystus, który jest z każdą rodziną, przezwycięży każde zło. *Małżeństwa i rodziny całego świata: „jest z Wami Oblubieniec!” To nade wszystko pragnie Wam powiedzieć Papież w tym roku, który Narody Zjednoczone i Kościół poświęcają rodzinie* – pisze Jan Paweł II.

oprac. Z.K.